

They haven't got a prayer!

THRAXAS

AND THE
WARRIOR
MONKS



MARTIN SCOTT

WINNER OF THE WORLD FANTASY AWARD

SCOTT MARTIN

Thraxas #2 Thraxas i

wojowniczy mnisi

MARTIN SCOTT

Przekład Anna Czajkowska Tytuł oryginału THRAXAS AND THE WARRIOR MONKS
Wersja angielska 1999 Wersja polska 2000

1

Makri wkracza do tawerny „Pod Mściwym Toporem” z mieczem przy boku i notatkami z lekcji filozofii w ręku. Po szyi dziewczyny splywa pot.

–Na zewnątrz jest upalniej niż w orkijskim piekle – narzeka.

Chrząkam potakująco. Na nic więcej nie mam siły. W tawernie też panuje piekielny upał. Ledwo mi się udaje donieść piwo do ust.

Makri zaraz rozpoczyna zmianę. Zdejmuje męską tunikę, którą nosi, kiedy wybiera się do miasta, i rzucają za bar, a potem polewa twarz i szyję wodą z dzbanka. Woda ścieka po skąnym bikini z kolczugi, które ukazuje jej figurę niemal w całej okazałości.

Strój ten zapewnia nieprzerwany strumień napiwków rzuconych przez dokerów, marynarzy, najemników-barbarzyńców i inne szumowiny, chlające w naszej tawernie.

Makri mieszka w małym pokoiku na górze. Kilka pokoi dalej w tym samym korytarzu mieszkam ja. Nazywam się Thraxas, i kiedy nie jest aż tak gorąco, że nie można się ruszyć, zarabiam na życie jako prywatny detektyw. „Najlepszy Magiczny Detektyw w całym Turai”, głosi napis na moich drzwiach, No cóż, przyznaję, moje magiczne umiejętności są obecnie nadwątlone i systematycznie ulegają ograniczeniu, niemniej jednak, choć nie sprawiam się tak dobrze jak pałacowy czarownik, wciąż jeszcze znam parę zaklęć. Nadal mam też doskonale wyostrzone zmysły, które wyrabiają sobie ludzie studiujący magię. Poza tym, kiedy prowadzę śledztwo, nie brak mi determinacji. Myślę więc, że ten napis jest dość celny.

Nie zwracałem sobie głowy dopisywaniem, że pobieram niskie opłaty. Wszyscy już i tak o tym wiedzą. Odkąd straciłem pracę w pałacu, nie mogę powiedzieć, żeby powodziło mi się najlepiej.

Unoszę niemal bezwładną dłoń i proszę o kolejne piwo Gurda, starzejącego się barbarzyńcę z Północy, właściciela tawerny „Pod Mściwym Toporem”. – - Czyli nie masz zamiaru pracować? – pyta Makri. Lekceważąco macham ręką. – - Zostało mi jeszcze sporo z poprzedniej zapłaty.

Sześć tygodni wcześniej wyciągnąłem z oparów pretora Cyceriusza, a Cyceriusz to w naszym mieście ważna figura, znacznie ważniejsza niż zwykły senator. A teraz

ważniejsza nawet niż zwykły pretor, bowiem mój eksklient właśnie wygrał wybory na wicekonsula, dzięki czemu jest drugim najwyższym urzędnikiem państwowym po konsulu Kaliuszu, który odpowiada tylko przed królem.

–Tak rozmyślam na głos, podnosząc dzbanek. – Muszę przyznać, że stary Cycleriusz nie poskąpił pieniędzy. I nie bez powodu. Nie wygrałby tych wyborów, gdybym nie ocalił jego reputacji.

Makri prycha pogardliwie. Ta nieznośna dziewczyna kwituje pogardliwym prychnięciem wiele moich wypowiedzi. Zazwyczaj mi to nie przeszkadza. Po pierwsze, jest moją przyjaciółką, a ja mam niewielu przyjaciół w tym ohydny mieście. Po drugie, często pomaga mi w pracy. Oczywiście nie w prowadzeniu śledztwa. Raczej w bijatykach.

Tutaj, w portowej dzielnicy Dwanaście Mórz, ubogiej i pełnej przestępców, ludzie nie lubią być obiektem śledztwa. Gdy prowadzę dochodzenie, zwykle wiem, że prędzej czy później będę musiał użyć miecza. Nie przeszkadza mi to, bo nieźle sobie z nim radzę. Ale Makri, uciekinierka z orkijskiej stajni gladiatorów, to jedna z najbardziej niebezpiecznych wojowniczek, jakie kiedykolwiek chodziły po ziemi. Nie przesadzam. To co, że ma tylko dwadzieścia jeden lat i pracuje jako barmanka, aby zarobić na chleb i naukę w Kolegium Czcigodnej Federacji Gildii – dajcie jej do jednej ręki miecz, do drugiej topór, przed nią postawcie rząd nieprzyjaciół, a jatka będzie wręcz niewiarygodna.

Przez siedem lat walczyła jako gladiatorka w orkijskim więzieniu. Tam doprowadziła swą technikę niemal do doskonałości, a jednocześnie znienawidziła Orków. Wszyscy ludzie ich oczywiście nienawidzą, pomimo obowiązującego obecnie traktatu pokojowego, ale nienawiść Makri jest wyjątkowo zaciekła. Dlatego fakt, że sama ma w żyłach nieco orkijskiej krwi, staje się dla niej jeszcze trudniejszy do zniesienia. Makri jest też w części Elfem.

Stanowi to mieszankę na tyle niezwykłą, że wywołuje nieprzychylnie komentarze.

Jednak gdy Makri podaje drinki, a jej długie czarne włosy opadają na brązowe ramiona, goście zazwyczaj zapominają o swoich uprzedzeniach.

–Utyjesz – oznajmia Makri.

Z satysfakcją klepię się po wielkim brzuchu.

–Daj mu spokój – mówi Gurd, uśmiechając się szeroko i nalewając mi kolejny dzbanek. – Podczas upału Thraxas nie lubi zbyt ciężko pracować. Pamiętam, że podczas wojny z Orkami nigdy nie udało nam się zmusić go, aby uczciwie walczył przez cały dzień, jeśli świeciło słońce.

Ignoruję tę kłamliwą obelgę. Podczas wojny z Orkami walczyłem ciężko jak cholera, mówię wam. Niech się ze mnie śmieją. Zasłużyłem na odpoczynek. W zeszłym roku o tej samej porze włóczyłem się po przystani w poszukiwaniu szalonego pół-Orka, który zabił ośmiu mężczyzn (mało brakowało, a ja byłbym dziewiątym). Teraz, suto opłacony przez Cyceriusza, mogę odpoczywać przez resztę upalnego lata, jestem więc szczęśliwy jak Elf na drzewie.

–Jeszcze jedno piwo, Gurd.

Gurd ma około pięćdziesiątki, ogorzałą twarz i niemal zupełnie siwe włosy. Z wiekiem jednak nie zmniejszyły się jego mięśnie, które napinają się, kiedy nalewa mi piwo i podaje je ponad barem.

–Nie kusi cię, żeby się tym zająć? – pyta, wskazując artykuł w „Sławetnej i wiarygodnej kronice wszystkich wydarzeń światowych”, cienkiej gazecie o kiepskim druku, która specjalizuje się w opisywaniu zbrodni i skandali trapiących Turai.

Zerkam na tekst.’ – Śmierć czarownika? Nie, spaszuję. To i tak był mało ważny czarownik.

Kronika donosi, iż wspomnianego czarownika, Taliusza Zielone Oko, znaleziono wczoraj martwego w jego domu w Thamlinie. Zrodziło się podejrzenie, że został otruty, więc jego służących aresztowano. Pamiętam Taliusza z czasów, gdy pracowałem w pałacu.

Był niezbyt ważną figurą; bardziej interesował się stawianiem horoskopów młodym arystokratom niż poważnym uprawianiem magii. Co nie znaczy, że jego śmierć zostanie potraktowana lekko. Uprawianie zawodu czarownika okazało się ostatnio w Turai bardzo niebezpieczne.

Zaledwie miesiąc temu Tas ze Wschodniej Błyskawicy został zabity razem z Miriuszem Jeżdżącym na Orłach (obaj mieli pewne związki ze sprawą, nad którą pracowałem).

Ponieważ czarownicy są ważni dla każdego państwa, szczególnie tak małego jak Turai, a ich podaż jest ograniczona, sądzę, że strażnicy będą bardzo pracowicie zajmować się tą sprawą.

Niech się zajmują. Jeśli stary Taliusz rozdrażnił swoich służących do tego stopnia, że go otruli, zapewne dostał to, na co zasłużył. Ci pałacowi czarownicy to degeneraci.

Większość z nich to narkomani. Albo pijacy. Albo i jedno, i drugie.

–Nalej mi jeszcze piwa, Gurd.

Czytam kronikę do końca. Dużo w niej informacji o przestępstwach, ale tak to już jest w Turai. Jakiegoś pretora oskarżono o szmuglowanie do miasta dwa, wóz ze złotem został porwany w drodze do królewskiego skarbcza, ktoś włamał się do domu simnijskiego ambasadora...

Odrzucam gazetę. Niech się tym zajmą strażnicy. Za to im płacą.

Drzwi otwierają się z rozmachem i do środka wkraczają dwaj nieznani osobnicy. To na pewno żołnierze, ale nie zwykli najemnicy, którzy przybywają do Turai, aby się zaciągnąć do królewskiej armii. Obaj podchodzą do baru i zamawiają piwo. Gurd nalewa im kilka kufli, a oni odchodzą do stolika, aby odpocząć od upału.

Wyższy z przybyłych, groźnie wyglądający osobnik z krótko ostrzyżoną głową i ogorzałą twarzą mijając mój stolik zatrzymuje się i wbija we mnie wzrok.

Spoglądam na niego bez zainteresowania. Poznałem drania, ale mam nadzieję, że on mnie nie rozpozna. Życie byłoby wtedy o wiele łatwiejsze. Pod stołem moja ręka kieruje się automatycznie ku głównej rękojeści miecza. – - Thraxas – syczy nieznajomy. – - Czy my się znamy? – pytam. – - Dobrze wiesz, że tak. Przez ciebie spędziłem pięć lat na galerze.

–Przeze mnie? Ja cię nie zmuszałem, żebyś okradał tego elfijskiego ambasadora.

To fakt, rzeczywiście zebrałem dowody, które pomogły w posłaniu go na galery.

Facet wyciąga miecz z łatwością świadczącą o długiej praktyce. Ten niższy idzie w jego ślady i bez dalszej dyskusji skaczą ku mnie, a w oczach mają mord.

Szybko unoszę się z krzesła. To co, że mam czterdzieści trzy lata i wielki brzuch – nadal potrafię się zwijać, jeśli zajdzie potrzeba. Pierwszy napastnik wymierza cios mieczem; odparowuję go, a moja riposta sprawia, że leci w tył i z jego piersi bucha krew.

Potem odwracam się, aby stawić czoło drugiemu.

Drugi już jest martwy. W krótszym czasie niż mnie zajęło pozbycie się swego przeciwnika, Makri zdążyła chwycić miecz ukryty za barem, wskoczyć pomiędzy nas i wykończyć jego kolegę.

–Dzięki, Makri.

Gurd trzyma w dłoni swój stary topór i wydaje się rozczarowany, że nikogo nie zostawiliśmy dla niego. – - Staję się powolny – mruczy. – - O co poszło? – pyta Makri. – - Jakies pięć lat temu ograbili elfijskiego ambasadora. Zabrali mu pieniądze, kiedy leżał pijany w burdelu w Kushni. Strażnicy nie potrafili ich odszukać, ale mnie

się udało. Z galer wrócili zapewne przed kilkanaście miesiącami.

A teraz są martwi. Za każdym razem, kiedy kogoś wsadzę za kratki on zarzeka się, że mnie dopadnie, zazwyczaj jednak nie spełnia swojej groźby. To po prostu mój pech, że ta para wkroczyła dziś do tawerny „Pod Mściwym Toporem”. A raczej ich pech.

Z przyzwyczajenia obszukuję trupy, bez rezultatów. Nic nie łączy ich z żadnym z naszych gangów. Najprawdopodobniej po prostu rozkoszowali się wolnością przed ponownym wkroczeniem na przestępczą ścieżkę. Nie cieszę się, że zostali zabici, ale również niezbyt się tym przejmuję. I tak by ich powieszono, gdyby po raz kolejny coś nabroili. Jeden z nich ma na szyi sakiewkę, niestety pustą. Ani jednej monety. Następnej kradzieży zapewne dokonaliby gdzieś w pobliżu.

Krew sączy się na podłogę.

–Zajmę się tym bałaganem – mówi Makri i odnosi miecz za bar, gdzie zazwyczaj leży on obok zapasowego topora, kilku noży i gwiazdek do rzucania. Makri lubi broń. Ściera krew, a potem schyla się, aby podnieść pustą sakiewkę, którą rzuciłem na podłogę. – Ładny haft – ocenia. – Przyda mi się nowa.

Siedem lat spędzonych w stajni gladiatorów uodporniło Makri na kontakt ze śmiercią.

Bez skrupułów zawiesza sobie na szyi sakiewkę zamordowanego człowieka, bo spodobał jej się haft.

Gurd i ja wyciągamy ciała na zewnątrz. Nikt nie zwraca na to większej uwagi. W Dwunastu Morzach zwłoki na ulicy to codzienność. Większość mieszkańców jest zbyt zajęta zarabianiem na życie, żeby zwracać na nie uwagę. Łapię przechodzącego chłopca i daję mu monetę, aby zaniósł strażnikom wiadomość o tym, co się stało. Oni też zbytnio się tym nie przejmą, ponieważ jednak jestem licencjonowanym detektywem, lepiej współpracować ze stróżami prawa, niż się im narażać.

W tawernie Makri wyczyściła już podłogę, a teraz wyciera bar. Ja biorę sobie następne piwo i siadam, aby odpocząć. Z minuty na minutę robi się coraz upalniej. Tawerna zaczyna się zapelniać. W mieście ostatnio miały miejsce zamieszki i ponieważ wielu zniszczeń nadal jeszcze nie naprawiono, prace są w toku. W porze obiadowej tawerna pełna jest robotników spragnionych stawy po porannej zmianie spędzonej na rusztowaniu. Gurd dzięki temu zarabia. Zarabia też Tanrose, która przygotowuje i sprzedaje w tawernie jedzenie. Jest świetną kucharką, kupuję więc na obiad jeden z jej wielkich placków z dziczyzną.

Ponieważ po ostatniej sprawie mam mnóstwo pieniędzy przysięgam sobie, że przetrwam resztę piekielnie upalnego lata bez zajęcia. A dzisiejsza bijatyka

nieprzyjemnie przypominała pracę. – - Jak to się stało, że ambasador Elfów wylądował pijany w burdelu w Kushni? – pyta później Makri. – - Chciał się zabawić. Zaraz potem musiał wrócić w niełasce na Południowe Wyspy, a cała sprawa została zatuszowana. Król nie zaakceptuje niczego, co mogłoby zepsuć nasze stosunki z Elfami.

Zamawiam następne piwo i zastanawiam się, czy nie wziąć kolejnego placka.

Nieoczekiwany wysiłek fizyczny zazwyczaj bardzo zaostrza mój apetyt.

–Wszystko zaostrza twój apetyt – komentuje z szerokim uśmiechem czyszcząca stoły Makri.

Po zjedzeniu placka z dziczyzną obładowuję się ciastami Tanrose i kupuję kolejne piwo, aby je zabrać na górę. – - Za dużo pijesz – zauważa Tanrose. – - Po odejściu żony potrzebne mi jest jakieś hobby. – - Znalazłeś sobie to hobby znacznie wcześniej. Nie mogę zaprzeczyć. „Pod Mściwym Toporem” zajmuję dwa pokoje, jeden do spania a drugi do pracy.

Biuro ma też drzwi zewnętrzne, z których schodki prowadzą bezpośrednio na ulicę, tak że klienci mogą mnie odwiedzać nie przechodząc przez tawernę. Zamierzałem przespać całe popołudnie, ale zanim zdążyłem się położyć, słyszę gorączkowe walenie w drzwi.

Otwieram je i do środka wbiega młody mężczyzna. Wpada na mnie, odbija się i ląduje na środku pokoju, przerażony i zdezorientowany. – - Oni mnie powieszają! – woła. – Nie pozwól im na to! – - Co? Kto? – - Ja go nie zabiłem! To kłamstwo! Pomóż mi! Świdruję go wzrokiem. W moim pokoju panuje zwykły rozgardiasz, a jego obecność jeszcze pogarsza sprawę. Chłopak jest w strasznym stanie i przez dłuższy czas nie mogę zrozumieć, o co mu chodzi. Wreszcie popycham go na krzesło i rozkazuję, żeby gadał do rzeczy, albo wynosił się z mojego biura. Uspokaja się, ale ciągle nerwowo zerka na drzwi jakby oczekiwał, że w każdej chwili mogą tu wpaść jego prześladowcy.

Podchodzę do drzwi i mamrocze kilka zdań, z których składa się standardowe zaklęcie zamykające. To popularne zaklęcie i nie trzeba szczególnie znać się na magii, aby je wykorzystać, jednak młodemu człowiekowi dodaje to otuchy. – - A teraz powiedz mi, co się dzieje. Jest za gorąco, żebym tu stał i zgadywał.

Kim jesteś, kto cię ściga i dlaczego? – - Strażnicy! Twierdzą, że zabiłem Drantaaxa!

–Drantaaxa? Tego rzeźbiarza? Kiwa głową.

Drantaax to w naszym mieście znana osobistość. Nasz najlepszy rzeźbiarz. Jeden z najlepszych na całym świecie. Szanowany za swoje prace nawet przez arystokrację, która zazwyczaj patrzy z góry na rzemieślników. Jego posągi ozdabiają wiele świątyń Turai, a nawet sam pałac. – - Drantaax został zeszłej nocy zamordowany. Ale ja tego nie zrobiłem! – - Dlaczego ktoś miałby twierdzić, że to ty go zabiłeś? I w ogóle kim jesteś? – - Jestem Grosex, czeladnik Drantaaxa. Zeszłej nocy pracowałem razem z nim.

Mamy dużo pracy, bo kończymy właśnie nowy posąg św. Kwatyniusza do Sanktuarium.

Pracowaliśmy nad nim od wielu dni... ale teraz Drantaax nie żyje. Dźgnięto go w

plecy. – - Gdzie wtedy byłeś?

Odpowiada, że w sąsiednim pomieszczeniu. Kiedy wrócił do warsztatu, znalazł Drantaaxa martwego, z nożem w plecach. Potem zjawiała się Kalia, żona rzeźbiarza, i zaczęła krzyczeć.

–Kalia wezwała strażników. Przez cały czas wrzeszczała na mnie, wołała, że to ja go zabiłem. Ale nie zrobiłem tego.

Zwiesza głowę. Chłopak trzyma się teraz tylko dzięki napięciu nerwów ale widać, że czuję się źle. Proponuję mu pałeczkę thazis. Thazis, łagodny narkotyk, nadal jest w Turai nielegalne, ale wszyscy i tak go używają – no, a przynajmniej wszyscy w dzielnicy Dwanaście Mórz. Kiedy Grosex wdycha dym, jego ściągnięta twarz się uspokaja.

Domagam się więcej szczegółów. Marszczę brwi, gdy dowiaduję się, że zamiast czekać na strażników uciekł z miejsca zbrodni. Chłopak podaje też interesujący fakt, że nóż wystający z pleców Drantaaxa był jego własnością. Unoszę brew. Nietrudno zrozumieć, dlaczego wszyscy myślą, że on to zrobił. Całą noc spędził kryjąc się po zaułkach i zastanawiając się, co robić – a teraz jest tutaj, aby zatrudnić detektywa, który, mówiąc szczerze, niezbyt ma na to ochotę. Nadal jest mi zbyt gorąco. Nie potrzebuję pracy, a on równie dobrze może być winny jak cholera.

Facet wygląda żałośnie. Chociaż przyzwyczałem się już niemal do wszystkiego, co zdarza się w Turai, prawie mi go żal.

Znów rozlega się walenie w drzwi.

–Otwierać, tu Straż Obywatelska!

Poznaję ten głos. To Toliusz. Jako prefekt dzielnicy Dwanaście Mórz sprawuje kontrolę nad Strażą w tym rejonie. Oczywiście pogardza mną. Strażnicy nie lubią prywatnych detektywów. To dziwne, że zjawił się tu prefekt we własnej osobie. Zazwyczaj uważa się za zbyt ważną figurę, aby wyjść na ulicę i odwalać policyjną robotę.

Ignoruje walenie, ale ono nie cichnie. – - Thraxas, otwieraj. Wiem, że Grosex tam jest. – - Nie ma tu nikogo oprócz mnie. – - Nasz czarownik twierdzi inaczej.

Zerkam na Grosexa. Jeśli strażnicy uznali sprawę za wystarczająco poważną, aby szukać go przy pomocy urzędowego czarownika, ma naprawdę duże kłopoty.

Nadal staram się zdecydować, co robić, kiedy decyzja zostaje podjęta za mnie.

Prefekt rozkazuje swoim ludziom wylamać drzwi. Nie są one zbyt mocne, zakłęcie

zamykające również. Ku mojej wielkiej irytacji drzwi łamią się pod ciężarem ciężkich butów strażników, którzy wpadają do pokoju.

Wybucham gniewem.

–Co wy sobie myślicie, żeby wpadać tutaj i siłą wdzierać się do pokoju?! Nie możecie tu wejść bez nakazu!

Prefekt Toliusz macha mi przed oczami nakazem i przepycha się obok mnie.

Formularz najprawdopodobniej nie został wypełniony jak należy, ale nie tracę czasu na kłótnię.

–Jeśli zrobi jeden niewłaściwy ruch, aresztujcie go – rozkazuje strażnikom Toliusz.

Potem staje przed Grosexem. Czeladnik, wyczerpany, ubrany w zakurzoną roboczą tunikę, kuli się ze strachu przed ubranym w togę z żółtą lamówką prefektem.

–Masz poważne kłopoty – syczy Toliusz, chwytając Grosexa gwałtownie za tunikę. – Dlaczego zabiłeś rzeźbiarza?

Czeladnik bezradnie zapewnia o swej niewinności. Prefekt Toliusz krzywi się szyderczo, a potem popycha go w ramiona dwóch potężnych strażników.

–Zabierzcie go. Gdyby próbował uciekać, zabijcie. A jeśli chodzi o ciebie, Thraxasie... – odwraca się do mnie. – Nie waż się znowu przeszkadzać przedstawicielom prawa. Jeżeli usłyszę choćby plotkę, że zajmujesz się tą sprawą, spadnę na ciebie jak kłątwa.

Odwraca się, aby odejść, ale zatrzymuje się jeszcze przy zniszczonych drzwiach.

–Nie wahaj się zażądać od władz odszkodowania – mówi ze śmiechem. Każde takie podanie musi oczywiście zostać podpisane przez prefekta.

Po złapaniu podejrzanego i obrażeniu mnie prefekt jest szczęśliwy jak Elf na drzewie, więc oddala się z uśmiechem. Strażnicy odchodzą, ciągnąc za sobą Grosexa. Kiedy widzę go po raz ostatni, wpychają go właśnie do krytego wozu Straży, chociaż nadal żałośnie wykrzykuje, że jest niewinny.

Zamykam to, co zostało z moich drzwi. Kończę piwo, a potem schodzę na dół do Makri. – - Pracuję – oznajmiam. – Mam sprawę. – - Od kiedy? – - Od chwili gdy prefekt Toliusz rozbił mi drzwi i zaciągnął mojego klienta do więzienia. Nie chciałem pracować, ale teraz wściekłem się bardziej niż zraniony smok i dlatego poruszę niebo, ziemię i trzy księżycy, żeby pokazać Toliuszowi, że nie jestem człowiekiem, którego można tak traktować. Idę prowadzić dochodzenie. Zobaczymy się później.

Wychodzę na ulicę Kwintesencji z mieczem przy boku i ponurą determinacją w sercu.

Kiedy byłem starszym inspektorem śledczym w pałacu, ludzie traktowali mnie z szacunkiem.

Od tego czasu powodziło mi się znacznie gorzej, ale nie pozwolę, żeby jakiś mały tyran, taki jak prefekt Toliusz, łąził mi po głowie.

Na ulicy jest goręcej niż w orkijskim piekle; w powietrzu unosi się smród ryb napływający z targu przy przystani. Muszę się przedzierać przez kupy gruzu wokół jakiegoś nowego placu budowy, w miejscu, gdzie stare domy zostały zniszczone podczas zamieszek.

Zamiast nich budowniczowie wznoszą po obu stronach wąskiej ulicy nowe kamienice czynszowe. Cztery piętra to w Turai prawnie dopuszczalne maksimum, ale te prawdopodobnie będą wyższe. Większe zyski dla budowniczych i właścicieli tych slamsów.

A także dla Toliusza. Prefekci doglądają spraw budownictwa w swoim rejonie, a Toliusz zbiera nieźle łapówki, przymykając oczy na łamanie prawa. Jedną z korzyści, jakie przynosi ze sobą to stanowisko. Większość prefektów postępuje tak samo. Podobnie pretorzy. W tym mieście korupcja dotarła na same szczyty. Budowniczowie z kolei są w zмовie z Bractwem, przestępczą organizacją, która rządzi południową częścią miasta. Muszą być.

Niewiele tu można zrobić, o ile nie jest w to wmieszane Bractwo.

W Dwunastu Morzach mamy dwa posterunki Straży Obywatelskiej. Główny, znajdujący się w pobliżu, kierowany jest przez prefekta Toliusza, w mniejszym zaś, przy przystani, rządzi kapitan Railee. Znam go dobrze, ale on uparcie zabrania swoim ludziom przekazywania mi jakichkolwiek informacji. Mam też swoją wtyczkę na głównym posterunku, strażnika Jevox. Jevox nie ma nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zdradzić mi jakąś ciekawostkę, ponieważ kilka lat wcześniej uratowałem od stryczka jego ojca, ale nie mogę ryzykować, że tak szybko wpadnę na prefekta Toliusza. Toliusz nie spędza tu zbyt wiele czasu – częściej wyleguje się w jakimś burdelu lub barze w Kushni, wydając pieniądze z łapówek – ale być może nadal, przesłuchuje biednego Grosexa.

Sytuacja się wyjaśnia, kiedy z posterunku wychodzi strażnik Jevox i na mój widok zaczyna robić ostrzegawcze miny. Chowam się za rogiem. Wyglądam ostrożnie i dostrzegam Toliusza i dwóch strażników, którzy prowadzą skutego kajdankami Grosexa do krytego wozu.

Wóz odjeżdża, Jevox zaś znajduje się w jego konnej eskorcie. Moje oficjalne źródła

będą musiały poczekać, trzeba więc pomyśleć o tych nieoficjalnych. Idę dalej, nie zwracając uwagi na żebraków. Jest ich zbyt wielu, żeby postępować inaczej.

Przy końcu ulicy Kwintesencji skręcam w ulicę Spokoju, żalostną, brudną alejkę pełną prostytutek i narkomanów. prostytutki mnie ignorują. Narkomani wyciągają ręce i żebrzą.

Odkąd dwa, potężny narkotyk, opanowało miasto kilka lat temu, coraz więcej narkomanów włóczy się po ulicach, przez co dzielnica Dwanaście Mórz stała się niebezpieczna dla ludzi wychodzących po zmroku, czy też o każdej innej porze.

Dalej na ulicy Spokoju znajduje się „Syrena”, tawerna ciesząca się tak złą sławą, że nikt, kto ma rozsądek, pozycję lub poczucie własnej godności nie zbliżyłby się nawet na kilometr do tego miejsca. Ja często tam bywam. W „Syrenie” można zazwyczaj znaleźć Kerka, mojego informatora, rozwalonego przy stole lub leżącego na podłodze, jeśli dwa właśnie go powaliło. Kerk handluje narkotykiem, żeby na niego zarobić, i zdobywa wiele przydatnych informacji, które sprzedaje również po to, aby zdobyć pieniądze na dwa.

Znajduję go przed tawerą, leżącego na spalonej słońcem ziemi. Przy jego stopach widzę pusty dzban po piwie, a powietrze wokół nasyczone jest łatwym do rozpoznania aromatem spalonego dwa.

Budzę go szturchnięciem nogi. Kerk spogląda na mnie swymi wielkimi oczami, które sugerują, że gdzieś tam na jego drzewie genealogicznym można znaleźć elfijskich przodków.

Nie byłoby w tym nic dziwnego. Elfy odwiedzające miasta w Krainach Ludzi nie wzdrgają się przed wizytami u pracujących tam prostytutek. Południowe Wyspy Elfów to może i raj na ziemi, ale prostytutka jest tam rzadkością. Młode Elfy muszą jakoś zaspokajać swoje potrzeby. – - Czego chcesz? – mamrocze Kerk. – - Wiesz coś o Drantaaxie?

Narkoman automatycznie wysuwa rękę. Wkładam w jego dłoń małą monetę, jedną dziesiątą gurana. – - Rzeźbiarz. Zabity zeszłej nocy. – - Wiesz coś jeszcze? – - Zadżgany przez swego czeladnika. Tak mówią.

Po jego oczach poznaję, że wie coś więcej. Wkładam w wysuniętą dłoń kolejną monetę. – - Czelnik sypiał z jego żoną. – - Czy to plotka, czy też potwierdzony fakt? – - Plotka. Ale wiarygodna.

Słońce pali. W wąskim przesmyku ulicy Spokoju upał jest nie do zniesienia.

Maszerowałem przez pustynie, gdzie bywało chłodniej. Kerk nie wie nic więcej, ale będzie miał uszy otwarte. Daję mu jeszcze jedną monetę, a on się zbiera, ma już

bowiem dość, aby kupić trochę dwa.

Odwracam się i odchodzę. Niewiele się dowiedziałem, ale informacja była ciekawa.

Sytuacja zawsze staje się bardziej interesująca, kiedy czeladnik sypia z żoną majstra. Niestety zwiększa to również prawdopodobieństwo, że Grosex rzeczywiście zabił Drantaaxa, a ja nie chcę, aby to była prawda. Nie mam jednak żadnego rozsądnego powodu, aby wierzyć w jego niewinność, poza niejasnym wrażeniem, że nie kłamał. No i głęboką niechęcią do prefekta Toliusza. Śmierdziuszki, małe czarne ptaszki, które opanowały miasto, siedzą zmęczone upałem na ścianach domów. Kilka z nich zrywa się w powietrze z ćwierkaniem, bo przestraszył je kamień rzucony przez chłopaka noszącego żółtą chustę, która jest odznaką Królów Koolu, miejscowego gangu młodzieżowego. Chłopak podnosi kolejny kamień.

–Rzuć we mnie, mały, a wtłoczą ci go do gardła, a potem dołożę takie zaklęcie, że kiszki ci zgniją.

Chłopak wycofuje się. Jako detektyw nie jestem zbyt popularny wśród Królów Koolu, wiedzą jednak, że nie powinni ze mną zadzierać. Kiedy prowadzę dochodzenie w dzień tak upalny jak ten, nie jestem w nastroju do żartów.

Kiedy przechodzę, krzywi się szyderczo. Ja odpowiadam tym samym. Dzieciaki.

Dopóki nie pojawiło się dwa, kradły owoce na rynku. Teraz rabują z bronią w rękę, żeby zarobić na narkotyki. Turai schodzi na psy, i to szybko. Jeśli tutejsza ludność nie wykończy się sama zamieszkami, kradzieżami i narkotykami, król Lamarchus z Nioj nadejdzie z Północy i zetrze nas z powierzchni ziemi. Potrzebny mu tylko jakiś pretekst, i to niekoniecznie dobry.

Ponieważ zrobiłem pewne postępy, postanawiam odwiedzić tawernę „Pod Mściwym Toporem”, zanim pójdę sprawdzić, czego uda mi się dowiedzieć w pracowni Drantaaxa.

Skoro mam przed sobą cały dzień pracy potrzebuję piwa, a może i trochę jedzenia.

Chodzi mi też po głowie myśl, że powinienem znaleźć w książkach kilka zaklęć. Szczerze przyznaję, że obecnie kiepski ze mnie czarownik – męczy mnie nawet noszenie w pamięci standardowego zaklęcia obronnego – nadal jednak znam parę sztuczek. Nieźle mnie wkurzyło, że prefekt Toliusz mógł sobie tak po prostu wparować do mojego pokoju i zaaresztować Grosexa tuż pod moim nosem. Moja reputacja może ucierpieć, jeśli moich klientów będą spotykać takie przygody.

Tak się skoncentrowałem na przemykaniu wśród zalegającego ulicę gruzu, że dopiero po sekundzie lub dwóch dociera do mnie wygląd osoby, która wita mnie u drzwi tawerny.

Jestem przyzwyczajony do dziwnych widoków na ulicach Turai: śpiewający pielgrzymi, potężni barbarzyńcy z Północy, czasem ubrany na zielono Elf. No i oczywiście sama Makri z jej czerwono-brązowym ciałem opiętym bikini z kolczugi. Na dodatek ostatnio przekłuła sobie nos, aby nosić w nim kółeczko, ozdobę bardzo rzadką w mieście, co nie uzyskało mojej aprobaty. Zrobili to dla niej Palax i Kaby, para wędrownych śpiewaków i muzyków, którzy wyglądają coraz bardziej malowniczo – włosy ufarbowane na krzykliwe kolory, ubrania jeszcze jaskrawsze i twarze poprzekłuwane w wielu miejscach. Pomimo to jednak nie byłem przygotowany na widok kobiety chodzącej na bosaka – co za śmieszny i niebezpieczny pomysł, biorąc pod uwagę stan naszych ulic! – ubranej w długą spódnicę ozdobioną znakami zodiaku i z girlandą kwiatów we włosach.

Mrugam oczami jak głupiec, kiedy ten cudak staje przede mną. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego ktoś mógłby chodzić na bosaka.

–Hej, Thraxasie – mówi Makri i, pojawiając się z tacą. – To Mniszek. Chce zaproponować ci pracę.

Zanim zdążyłem oświadczyć, że nikt nie może mieć na imię Mniszek, kobieta bierze mnie za rękę, patrzy mi głęboko w oczy i oznajmia, że na pewno przyszła do właściwego człowieka. – - Widzę, że masz duszę pełną współczucia. Makri chichocze gdzieś z tyłu. – - Chcesz mnie zatrudnić? – - Tak. W imieniu delfinów. – - Delfinów? – - Delfinów mieszkających w zatoce.

–Tych, które potrafią rozmawiać z ludźmi – dodaje Makri. Chrząkam. Ludzie rzeczywiście gadają, że te delfiny potrafią mówić. Osobiście jakoś nie mogę w to uwierzyć.

–One także śpiewają – dodaje Mniszek wesoło. Z trudem udaje mi się zapanować nad sobą.

–Jestem zapracowanym człowiekiem. Czy ten wykład o faunie ma jakiś cel? – - Ależ tak. Delfiny są w okropnych tarapatach. Ktoś ukradł ich uzdrowicielski kamień. Chcą cię zatrudnić, abys go odzyskał. – - Ich uzdrowicielski kamień?

–Dokładnie. Jest dla nich bardzo cenny, bo spadł z nieba. Mniszek uśmiecha się słodko, a ja porzucam wszystkie próby zapanowania nad sobą.

–Mogłabyś zejść mi z drogi? Jestem zapracowanym człowiekiem i właśnie prowadzę śledztwo. Prawdziwe śledztwo w sprawie morderstwa. Nie mam czasu stać tutaj i słuchać, jak jakaś wariatka z kwiatami we włosach bredzi o delfinach i uzdrowicielskim kamieniu, który spadł z nieba. A teraz przepraszam.

Przepycham się obok niej, Mniszek jednak znów zagraża mi drogę.

–Koniecznie musisz im pomóc! – - Poszukaj innego detektywa. – - Delfinom zależy na tobie. Uznały, że reprezentujesz ten sam poziom.

Ledwo się powstrzymuję, żeby jej nie uderzyć. Makri, jak widzę, uważa całą sprawę za bardzo zabawną. Niech sama idzie i pomaga delfinom. Ja muszę zająć się morderstwem.

Ruszam na górę, nawet nie zatrzymując się, aby wziąć piwo. Potrzebuję czegoś mocniejszego. Wyciągam butelkę Hee» alkoholu pędzonego w górach za miastem. Po niedawnych sukcesach nabyłem lepszy gatunek niż ten, na który zazwyczaj mnie stać, ale i tak alkohol piecze mnie w gardle, kiedy przełykam. Potrząsam głową i nalewam sobie kolejny kieliszek. Gadające delfiny – akurat! Mam dość problemów z Orkami, Elfami i Ludźmi. Ryby mogą same się o siebie zatroszczyć.

Po spotkaniu z idiotycznym Mniszkiem i wysłuchaniu bredni o delfinach wracam do prawdziwego świata i ruszam do pracowni Drantaaxa. Już dość się nachodziłem w tym upale, łapię więc powóz, rozsiadam się i pozwalam, aby konny wóz wiozł mnie przez Dwanaście Mórz i dalej na północ, do Pashish. Pashish to spokojniejsza dzielnica, zamieszkała przez rodziny ubogich, lecz przyzwoitych robotników, którzy utrzymują nasze miasto.

Nie ma tu przepychu, ulice są jednak nieco szersze i mniej obskurne niż w sąsiedztwie przystani. W pobliżu mieszka mój przyjaciel, czarownik Astrath Potrójny Księżyc, do którego zapewne później wpadnę.

W czasie jazdy rozmyślam o dwóch sprawach. Po pierwsze, kto zabił Drantaaxa?

Kiedy nieco ochłonąłem z gniewu wywołanego wtargnięciem Toliusza, dostrzegam także, że zabrałem się do roboty bez żadnej zapłaty, co jak na mnie jest dość niezwykle.

Nie bawię się przecież w śledztwo dla przyjemności – ja tym zarabiam na życie. Oficjalnie nie mam nawet klienta. Grosex został zatrzymany, zanim zdążył mnie zatrudnić. Przychodzi mi do głowy niepokojąca myśl, że jako młody czeladnik nie śmierdzi groszem. Być może wydał swoje nędzne zarobki na prezenty dla żony rzeźbiarza.

Muszę po prostu wierzyć, że wszystko pójdzie dobrze. Chociaż nie narzekam na brak gotówki, nie znaczy to, że nagle stałem się altruistą. Biorąc pod uwagę pecha, który mnie ostatnio prześladowa, wkrótce znów będę biedakiem. Najprawdopodobniej zaraz po najbliższym wyścigu rydwanów.

Powóz staje na rogu, zatrzymany przez grupę śpiewających pielgrzymów śpieszących do Sanktuarium św. Kwatyniusza w zachodniej części miasta. Wyciągam rękę i biorę gazetę od ulicznego sprzedawcy. „Sławetna i wiarygodna

kronika wszystkich wydarzeń światowych” zawsze chętnie opisuje drastyczne wydarzenia, a śmierć rzeźbiarza to doskonały temat. Morderstwa są w naszym mieście na porządku dziennym, jednak Drantaax był na tyle słynny, aby ta wiadomość stała się ważna. W Turai pracuje wielu różnych artystów, skuszonych mitem bogactwa, jaki nadal krąży wśród dekadencjonalnych wyższych warstw naszego społeczeństwa, żaden jednak nie cieszył się taką sławą jak Drantaax.

Kronika wyjaśnia, że posąg, nad którym pracował – naturalnych rozmiarów figura św.

Kwatyniusza na koniu – został w części sfinansowany przez Prawdziwy Kościół w Nioj.

Gazeta opisuje wydarzenie dość ogólnie, bez bliższych szczegółów, a potem dodaje, że posąg zniknął. Zakładam, że to pomyłka skryby. W Turai mamy wielu sprytnych przestępców, ale nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł uciec niezauważony z posągiem z brązu przedstawiającym mężczyznę na koniu naturalnej wielkości. Bóg jeden wie, ile coś takiego może ważyć. Ale te pieniądze z Nioj to zła wiadomość. Nioj to państwo fundamentalistyczne.

Król jest tam jednocześnie Naczelnym Pontyfikiem, a na dodatek to fanatyk religijny, ma więc teraz doskonały powód, aby gniewać się na Turai.

Dom Drantaaxa znajduje się na drugim końcu Pashish, gdzie mieszkańcom żyje się nieco mniej uciążliwie. Ulice są czyste, a chodniki w dobrym stanie. Wsiadam kilka domów wcześniej, płacę woźnicy i dochodzę pieszo. Domu i warsztatu pilnują dwaj strażnicy. Kiedy ich informuję, że jestem tu z powodu śledztwa, patrzą na mnie z kamiennymi twarzami i nie chcą się ruszyć.

–Tego mi tylko było trzeba – rozlega się głos za moimi plecami. – Thraxas wpychający swoje wielkie brzuszysko w sprawy Straży.

Odwracam się.

–Witam, kapitanie Rallee. Cieszę się, że to pan zajmuje się sprawą.

–To uczucie jest nieodwzajemnione. Czego chcesz? Kapitan Rallee i ja znamy się od dawna. Razem walczyliśmy podczas wojny z Orkami. We trójkę z Gurdem przeżyliśmy kilka mrożących krew w żyłach przygód, którymi nadal zabawiam słuchaczy podczas popijaw „Pod Mściwym Toporem”. Po wojnie, kiedy zostałem starszym detektywem w pałacu, kapitan Rallee również spędził tam wiele czasu, zanim stracił zaufanie Rycjusza, wówczas wicekonsula, i znów znalazł się na posterunku. Jego rewir przy przystani obejmuje jeden z najtrudniejszych rejonów miasta, a to nie byle co. Rallee nie przejmuje się tym, że bywa tam niebezpiecznie – nie jest to bowiem człowiek, który wzdraga się przed wypełnianiem swoim

obowiązków – uważa jednak, że strażnik z jego doświadczeniem powinien już dostać jakąś lepszą posadę.

Chociaż kiedyś byliśmy niemal zaprzyjaźnieni i obu nas wyrzucił z pałacu Rycjusz, odsunęliśmy się od siebie przez ostatnie lata. Ja jestem wolnym strzelcem, Rallee zaś strażnikiem, a te dwa gatunki ludzi nigdy nie żyją ze sobą w zgodzie. Kapitan oddał mi już kilka przysług i wie, że nie jestem głupcem, jednak fakt, że to on zajmuje się sprawą nie stanowi gwarancji, że otrzymam pomoc Straży.

–Jak się żyje w Straży Obywatelskiej?

–Lepiej niż na więziennej galerze. Skoro jednak pojawiłeś się ty, może się to zmienić.

Mówię mu, że dobrze się trzyma, co jest prawdą. Kapitan starzeje się jakoś ładniej ode mnie. Włosy związuje w kucyk z tyłu głowy, tak jak ja, ale jego są jasne i lśniące. Podobnie wąs. Mój zaczyna już siwieć. Sądzę, że mój stary kompan nadal podoba się kobietom.

Kapitan ignoruje komplement. – - Pracujesz nad tą sprawą, czy też po prostu wypychasz nos dla przyjemności? – - Po prostu zarabiam na życie, panie kapitanie. Grosex zatrudnił mnie, zanim Toliusz go dopadł. – - Ten czeladnik? Zatrudnił cię? A jak ci zapłacił? – - Dał standardową zaliczkę – kłamie.

Kapitan prycha i informuje mnie, że Grosex nie miał grosza przy duszy, nie mówiąc już o trzydziestu guranach na zaliczkę potrzebną do zatrudnienia detektywa.

–Zatem to prawda, że miał romans z żoną Drantaaxa? Kapitan wzrusza ramionami. – - Tak mówią. Służący zeznali, że Kalia z jakiegoś powodu była bardzo szczęśliwa. – - Gdzie on jest teraz? – - W więzieniu. A ty się z nim nie zobaczysz. Toliusz zamknął chłopaka na trzy spusty i nie zaryzykuje utraty uznania, jakie przyniosło mu szybkie zatrzymanie sprawcy.

Straci je, gdy pozwoli ci porozmawiać ze swoim klientem. Kiepsko z nim, Thraxasie.

Prawdziwy Kościół w Turai stracił wiele czasu, aby przekonać Kościół z Nioj do sfinansowaniu posągu. Zamierzali zaprosić kilku niojańskich kleryków na ceremonię jego odsłonięcia. Pewnie dzięki temu miały się poprawić stosunki między naszymi państwami.

Teraz rzeźbiarz jest martwy, a posąg zniknął. Królowi Lamachusowi na pewno się to nie spodoba. – - Gdzie jest żona Drantaaxa? Muszę z nią pomówić.

–Nie możesz. Zaczyna mnie to irytować. – - Co pana ugryzło, kapitanie? Odkąd to detektywowi zabrania się porozmawiać ze świadkiem? – - Nikt ci niczego nie zabrania. Nie możesz z nią porozmawiać, bo zniknęła.

Uciekła, zanim tu dotarliśmy.

Kapitan wyjaśnia, że po znalezieniu ciała Kalia wysłała służącego, aby zawiadomił strażników. Kiedy przybyli, już jej nie było.

–Nikt nie widział, jak wychodziła. Kalia wymknęła się podczas zamieszania. Mamy więc teraz jednego martwego rzeźbiarza, jedną zaginioną żonę i jeden zaginiony posąg. – - Posąg naprawdę zaginął? Jak ktoś mógłby go przenieść? Kapitan wzrusza ramionami. – - Nie mam pojęcia. Ale naprawdę zniknął. Całe dwie tony.

— Toliusz wytropił u mnie Grosexa przy pomocy czarownika. Czy ten czarownik nie może odnaleźć posągu? – - Najwyraźniej nie. Uprzedzając twoje pytanie – nie, na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnych oznak użycia magii. Nasi ludzie przeszukali cały dom i nie znaleźli najmniejszego jej śladu. Nie wiadomo, jak posąg zdołał zniknąć. Służący zarzekają się, że Drantaax pracował nad nim jeszcze tego samego ranka. Jego żona znalazła ciało tuż po zabójstwie, nie było więc czasu na to, aby przetransportować gdzieś posąg. A jednak zniknął. – - Dlaczego Toliusz jest tak pewien, że rzeźbiarza zabił Grosex? – - To jego nóż tkwił w ciele. – - No i co? To nic nie znaczy. Każdy mógł użyć tego noża. – - Być może. Zobaczymy, co powie nasz czarownik, kiedy zbada narzędzie zbrodni, sądzę jednak, że znajdzie na nim aurę czeladnika. A teraz jestem zajęty. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajmę się pracą. – - Muszę zajrzeć do środka. – - Idź do diabła.

Kapitan Rallee był kiedyś oficerem łącznikowym pomiędzy Pałacem Sprawiedliwości, główną siedzibą straży, a Ochroną Pałacową. Miła, wygodna posadka, chociaż oczywiście po wielu latach spędzonych na walce z turajską przestępczością na pewno na nią zasłużył. A teraz z powrotem patroluje ulice i niezbyt mu się to podoba. Rzadko jest w dobrym nastroju. – - No, o co chodzi? Mam prawo zajrzeć do środka. – - „O co chodzi?” O to, że prefekt Toliusz siedzi mi na głowie, żebyśmy tę sprawę załatwili tak szybko, jak to możliwe, aby Prawdziwy Kościół i Niojanie byli zadowoleni. Z kolei konsul Kaliusz popędza mnie, abym szybko znalazł skradzione królewskie złoto, że nie wspomnę o milionie innych spraw, od pielgrzymów okradanych w sanktuarium do ośmiu zabójstw związanych z dwa, które popełniono w Kushni w ciągu ostatnich dwóch dni. Czy to ci wystarczy?

Chrząkam ze współczuciem, zauważam jednak, że jako prawny przedstawiciel Grosexa mam prawo obejrzeć miejsce zbrodni. Kapitan duma o tym przez chwilę. Nie chce, abym tam wchodził, jednakże trzeba mu oddać sprawiedliwość – nie jest to człowiek, który łamie prawo.

–Wobec tego zajrzyj. Jeśli zjawi się Toliusz i wsadzi cię do więzienia, nie przylatuj do mnie z płaczem.

W tym momencie, kiedy mamy właśnie wejść do domu, z wielu wież wznoszących

się nad miastem rozlega się wezwanie do popołudniowych modłów, musimy więc uklęknąć i pochylić głowy ku ziemi. W Turai nie można się od tego wymigać. Trzy razy dziennie odbywają się oficjalne modły i każdy, kto nie uklęknie, będzie miał problemy z władzami.

Klękam więc i modlę się obok kapitana Rallee i jego dwóch strażników, co jest w gruncie rzeczy zabawne, chociaż podczas pracy nieraz musiałem się modlić w dużo dziwniejszym towarzystwie. Raz zdarzyło się nawet, że z kimś walczyłem, kiedy rozbrzmiało wezwanie, musiałem więc uklęknąć obok faceta, a potem wstać i go zabić. No cóż, przynajmniej poszedł na spotkanie ze swoim Stwórcą dobrze przygotowany.

Upał jest okropny i muszę dobrze się starać, aby nie zasnąć. Kiedy rozbrzmiewa wezwanie do zakończenia modłów, ze znużeniem podnoszę się na nogi. – - Robisz się powolny, Thraxasie – zauważa kapitan Rallee. – Czas, abyś zniknął z ulicy. Otwórz sobie tawcrnę. – - Szybko bym przepił cały interes.

Wchodzimy do domu, gdzie zabieram się do badania miejsca zbrodni pod czujnym okiem strażnika, któremu nakazano chodzić za mną i pilnować, żebym nie robił nic, czego robić nie powinienem.

Dom Drantaaxa to standardowy budynek, być może nieco wykwintniej szy niż większość podobnych, ale bez przesady. Gdyby nie znakomite rzeźby zdobiące pokoje, ogród i centralny dziedziniec, można by go wziąć za mieszkanie średnio zamożnego kupca. Posągi są jednak piękne. Nawet niewyćwiczone oko, takie jak moje, dostrzeże od razu, że są znacznie lepsze, niż większość tych, które można zobaczyć w świątyniach i bibliotekach naszego miasta.

Duży warsztat Drantaaxa przylega do tylnej ściany domu, jednak na miejscu zbrodni niewiele jest do zobaczenia, za wyjątkiem bladej plamy krwi w miejscu, gdzie leżało ciało i wielkiej pustki tam, gdzie powinien znajdować się posąg. Skupiani się, żeby sprawdzić, czy zdołam wyczuć magię. Nie zdołałem. Jestem pewien, że nikt jej tu nie używał w ciągu ostatnich kilku dni. Według kapitana Rallee posąg na pewno stał tu jeszcze wczoraj. Widział go pontyfik Prawdziwego Kościoła, przysłany, aby zobaczył, jak idzie praca.

Posąg został wykonany z brązu. Drantaax kształtuje swoje dzieła w gipsie i wysyła modele do odlewni, która je dla niego odlewa i odsyła w sześciu kawałkach.

Później rzeźbiarz składa wszystkie części, szlifuje je, dokonuje ewentualnych poprawek, no i proszę – powstaje posąg z brązu. Takie posągi są puste w środku, ale i tak święty, koń i cokół musiały razem ważyć kilka ton, ponieważ Drantaax złożył już całość.

A teraz posągu nie ma. Zniknął. Nikt niczego nie widział. Do przewiezienia gotowego dzieła potrzeba sześciu mężczyzn z podnośnikiem i specjalnym wzmocnionym wozem.

Oglądam kołowroty zamocowane w warsztacie specjalnie do podnoszenia ciężkich dzieł sztuki. To z pewnością kłopotliwy proces. Nie da się go przeprowadzić w pośpiechu. Ktoś jednak przeniósł posąg i nikt niczego nie widział. Żaden z sąsiadów ani żaden z przechodniów, których zdołali odszukać strażnicy nie dostrzegł niczego dziwnego w domu lub w jego okolicy. Po drugiej stronie ulicy codziennie siedzi żebrak, który przysięga, że w dniu morderstwa z dziedzińca nie wyjechał żaden wóz.

–Nie mógł tak po prostu zniknąć.

Kapitan Rallee informuje mnie sucho, że sam już doszedł do takiego wniosku.

–A stary Hazjusz Wspaniały twierdzi, że nie używano tu magii? Bardzo dziwne.

W warsztacie znajdują się również inne dzieła sztuki – niektóre w trakcie tworzenia, inne już gotowe. Piękne i jak sądzę cenne dla kolekcjonerów. Żadne nie jest tak duże. Są wśród nich popiersia, które mogłyby wynieść jeden człowiek. Dlaczego więc złodziej zdecydował się zabrać ze sobą coś tak masywnego? I na dodatek niemożliwego do sprzedania, nawet w Turai, ulubionym schronieniu nieuczciwych kupców.

Za domem jest grządka, gdzie mała marmurowa nimfa leśna spoczywa pośród czerwonych kwiatów. Kwiaty nieźle wytrzymałyby szalony upał, ale już zaczynają więdnąć.

Płatki pokrywają ścieżkę, tworząc małą plamę czerwieni. W środku dostrzegam coś żółtego.

Schylam się, aby obejrzeć to z bliska. Wśród czerwonych płatków leży też kilka żółtych.

Znów patrzę na grządkę. Nie ma na niej żółtych kwiatów. Dziwne. Może te kwiaty miały także po kilka żółtych płatków, które akurat wszystkie spadły? A może nie?

Podnoszę tajemnicze płatki i wkładam je do sakiewki, którą noszę przy pasie na takie właśnie okazje.

Rozglądam się jeszcze przez jakiś czas, ale niczego nowego się nie dowiaduję.

Kapitan Rallee twierdzi, że nie ma żadnych informacji o miejscu pobytu żony Drantaaxa. Jeśli coś wie, nie chce mi powiedzieć. Trójkę służących będzie trzymał pod kluczem do przesłuchania i nie wygląda na to, żebym w najbliższym czasie mógł

z nimi porozmawiać.

Dochodzę do wniosku, że czas odejść.

Muszę szybko zobaczyć się z Grosexem, ale ponieważ jestem w pobliżu domu Astratha Potrójnego Księżyca, postanawiam odwiedzić go najpierw. Astrath to czarownik, i to dobry, może więc będzie mógł mi pomóc.

Gdy idę ulicą, nagle dochodzę do wniosku, że jestem śledzony. Zawsze potrafię to wyczuć, to taki instynkt. W ten sposób między innymi manifestuje się wrażliwość, jaką wyrobiłem sobie jako czeladnik czarownika; a która służyła mi dobrze, kiedy byłem najemnikiem. Uczucie to nie opuszcza mnie, kiedy docieram do domu Astratha.

Dzwonię do drzwi i rozglądam się szybko, ale nie dostrzegam nikogo.

Służący wprowadza mnie do domu, który jest o wiele mniejszy, niż można by oczekiwać w przypadku czarownika tak potężnego jak Astrath Potrójny Księżyc.

Podobnie jak mnie, nie wiodło mu się najlepiej. Astrath wpadł w tarapaty kilka lat temu i ma szczęście, że w ogóle jest jeszcze w mieście. Pracował wtedy jako oficjalny czarownik na Stadionie Superbiusza, a jego obowiązkiem było pilnowanie, aby wszystkie walki i wyścigi rydwanów odbywały się uczciwie i bez użycia magii.

Obywatele Turai są na tym punkcie bardzo wrażliwi – nikt nie lubi, kiedy okazuje się, że na rydwan, na który postawił ktoś rzucił zły urok. Czarownik ze Stadionu ma więc ważne zadanie. Po serii podejrzanych wyników rozeszła się pogłoska, że Astrath w zamian za łapówki przymyka oko na magiczne oszustwa. Groził mu długi pobyt w więzieniu, a może i publiczny lincz, ale ja namotałem trochę i oczyściłem jego imię. No, może niezupełnie oczyściłem, ponieważ był winny jak diabli, ale tak namąciłem, że w sądzie nie można było przedstawić żadnego dowodu. W wyniku tego Astrathowi udało się uniknąć wyrzucenia z Gildii Magów, ale musiał podać się do dymisji. Skandal zmusił go też do opuszczenia bogatej willi w Thamlinie, wyładował więc w Pashish, gdzie służy biedakom.

Często proszę go o radę. To co, że ma słabość do przyjmowania łapówek – kiedy w grę wchodzi magia, jest chytry jak simnijski lis. Szczodrze dzieli się też jadłem i napitkiem, i zazwyczaj cieszy się na mój widok. Nikt z jego dawnych przyjaciół z Gildii Magów nie zbliżyłby się teraz do niego na kilometr, odczuwa więc brak inteligentnej konwersacji.

Kiedy wchodzę, Astrath natychmiast nakazuje służącemu, aby przyniósł wino i owoce. Jego nieduży pokój pełen jest książek, eliksirów i innych magicznych akcesoriów, musi więc zrzucić kilka zwojów, żeby zrobić miejsce na karafkę. – - Jak się żyje? – pytam. – - Lepiej niż na więziennej galerze, ale niewiele. Jeśli będę musiał

postawić następny horoskop tutejszej sprzedawczynie ryb, przysięgam, że zatruję jej następny połów.

To mnie dobija, Thraxasie. Baba ma czternaścioro dzieci i chce wiedzieć wszystko, co każde z nich czeka w przyszłości. Niby jak mam zgadnąć, czy jej siódma córka dobrze wyjdzie za mąż?

Wzdycha i nalewa wino. Rozmawiamy przez chwilę o wydarzeniach w mieście i spekulujemy, czy sytuacja poprawi się teraz, gdy Cycleriusz został wicekonsulem, i czy zbliża się wojna z Nioj lub Mattesh.

–Słyszałeś o Drantaaxie? Słyszał. – Świetny rzeźbiarz. Kiedy tylko dowiedziałem się o morderstwie, sprawdziłem koniunkcje, aby zobaczyć, czy będę mógł się czegoś dowiedzieć. Niestety jednak księżycy nie były dobrze ustawione.

Potężni czarownicy, tacy jak Astrath Potrójny Księżyc, potrafią czasem spojrzeć w przeszłość. Na szczęście dla jurajskich przestępców jest to bardzo trudne zadanie i zupełnie niewykonalne, jeśli nasze trzy księżycy znajdowały w niewłaściwych fazach w porównaniu z ich obecną pozycją na niebie. Od czasu do czasu czarownicy z Pałacu Sprawiedliwości dokonują niezwykłych wyczynów: rozwiązują trudne sprawy kryminalne, zaglądając w otchłanie czasu i dowiadując się dokładnie, kto gdzie był i co się stało. To jednak rzadkość.

Zazwyczaj strażnicy muszą chodzić po ulicach i zadawać pytania, tak samo jak ja.

Opowiadam Astrathowi o wszystkim, co wiem, i pytam go o posąg.

–Jak sądzisz, w jaki sposób mogli go przenieść?

Głodzi brodę. Brody są rzadkością w Turai, ale lubią je czarownicy i członkowie kilku innych gildii, na przykład nauczyciele i bazarze. – - Żadnych śladów magii? – - Żadnych. Strażnicy ich nie znaleźli, a ja sam przysięgłbym, że nikt nie wypowiedział tam ostatnio żadnego zaklęcia. Chociaż byłem zaledwie czeladnikiem czarownika, w moim zawodzie człowiek uczy się takie rzeczy wyczuwać. – - Dobry czarownik mógł ukryć ślady magii, Thraxasie. Który czarownik ze Straży badał to miejsce? – - Hazjusz Wspaniały. – - Sam stary Hazjusz, co? To musi być ważne, skoro strażnicy sprowadzili go z Pałacu Sprawiedliwości. No cóż, to zmienia postać rzeczy. Żaden czarownik nie zdołałby ukryć śladów swojej aury lub swoich zaklęć przed starym Hazjuszem. To upierdliwy staruszek, ale zna się na magii. Posąg musiał zostać wyniesiony ręcznie. – - Niemożliwe. Nie było na to czasu. Jeszcze rano posąg stał w warsztacie.

Kilka osób przysięga, że go widziało. A warsztat Drantaaxa znajduje się na głównej ulicy w Pashish. Nie ma mowy, żeby ktoś nie zobaczył, jak posąg wyjeżdża na wozie. Do załadowania go potrzeba sześciu mężczyzn i dwóch godzin. Większa operacja.

Ale nikt nic nie zauważył. Posąg po prostu zniknął. Wiem, że stary Hazjusz Wspaniały przeszukiwał miasto, nic jednak nie może znaleźć.

Astrath przyznaje, że cała ta sprawa jest bardzo dziwna, ale nie ma nic do zaproponowania. – - A tak na marginesie, Thraxasie, czy to dla ciebie ważne, co się stało z tym posągiem? To znaczy, że chcesz uwolnić Grosexa od oskarżenia o morderstwo. – - Dobrze pytanie, Astrath. Może nie będzie to miało żadnego znaczenia, jeśli znajdę jakikolwiek inny punkt zaczepienia. Ale prefekt trzyma czeladnika pod kluczem i trudno mi znaleźć jakiś trop. Sądzę, że gdybym wiedział, gdzie jest posąg, prawdopodobnie dowiedziałbym się też, co się za tym wszystkim kryje. Posąg mógłby też pomóc strażnikom, gdyby zbadali jego aurę.

Astrath zgadza się przeszukać miasto; być może coś odkryje.

Przed odejściem pytam go, czy mógłby mi coś zaproponować, aby na przyszłość uniknąć takiej klęski jak ta, którą poniosłem dzisiaj, kiedy Toliusz po prostu wszedł sobie i zabrał Grosexa. – - Zakłęcie wywołujące niewidzialność? – proponuje. – Aby twój klient stał się niewidzialny dla przedstawicieli władz? – - Niestety, to znacznie przekracza moje możliwości. Nigdy bym sobie z tym nie poradził. Obecnie potrafię tylko stosować zakłęcie nasenne, którym odbieram przeciwnikom przytomność.

–Hmm.

Astrath bierze z półki księgę zaklęć i przegląda spis treści.

–A co powiesz o tym? Chwilowa dezorientacja. Proste krótkie zakłęcie. Dzięki niemu każda osoba przeszukująca twój pokój będzie nieco ogłupiona. Nie jest stuprocentowo pewne, oczywiście, jeśli masz do czynienia z kimś o bardzo silnej woli, ale powinno wystarczyć, abyś mógł kogoś ukryć przed wścibskimi strażnikami.

To chyba sposób, który mógłby poskutkować. Dziękuję czarownikowi, kończę wino i wychodzę. Jest już wieczór, ale po chłodzie panującym w domu Astratha na ulicy nadal jest trudno wytrzymać, a w drodze do domu ktoś znów mnie śledzi. Nie próbuję pozbyć się cienia, wolałbym bowiem raczej odkryć jego tożsamość, ale drań jest sprytny i nie udaje mi się go zobaczyć. „Pod Mściwym Toporem” Makri skończyła już zmianę i zamierza właśnie zaszyć się w pokoju, aby wkuwać matematykę, która jest jednym z przedmiotów w Kolegium Gildii.

Ambicją Makri jest wstąpienie na Uniwersytet Imperialny. To jest jednak niemożliwe, bowiem Uniwersytet nie przyjmuje kobiet. Wstępują do niego tylko synowie senatorów lub najbogatszych kupców, a już z pewnością nie przyjmą tam nikogo, kto ma w żyłach krew Orków. Pomimo to Makri daje się zniechęcić. – - Do Kolegium Gildii też nie chcieli mnie przyjąć – zauważa. – A zobacz, jak dobrze sobie tam radzę. – - W zeszłym tygodniu biłaś się z ośmioma studentami. – - Obrażają moje uszy.

Niezwykły rodowód Makri daje o sobie znać między innymi tym, że ma ona spiczaste uszy. Zazwyczaj zakrywa je długimi i gęstymi włosami. – - No i co? Ja obrażałem twoje uszy wielokrotnie. – - TV jesteś zapijaczonym prostakiem, który nie wie, jak należy się zachować – ripostuje Makri. – Studenci powinni być uprzejmi. Poza tym nie nazwałabym tego bójką.

Większość z nich po prostu uciekła. A zaraz potem zdałam egzamin z filozofii.

Dostrzegam, że Makri ukryła między papierami kilka pałeczek thazis zabranych z baru. Biorę jedną, kiedy idziemy na górę. – - Lepiej, żeby Gurd nie zobaczył, że podkradasz mu thazis. – - Powinien mi więcej płacić. Dlaczego nie chciałeś pomóc delfinom? – - Pomóc delfinom? Czyli pracować dla Mniszka? Chyba żartujesz. Jestem detektywem i zajmuję się sprawą morderstwa. Nie mam czasu, żeby biegać za jakimś cudakiem z kwiatami we włosach i słuchać tak zwanych mówiących delfinów, jak kwiczą o swym uzdrawiającym kamieniu. Ta kobieta jest ewidentnie szalona.

Makri śmieje się. – - Ja ją polubiłam. – - Tylko dlatego, że zawsze lubisz ludzi, którzy mnie doprowadzają do szału. – - Na przykład? – - Na przykład Hanamę Mistrzynię Zabójstw. Baba omal mnie nie zabiła, a ty teraz chodzisz razem z nią na spotkania.

Ten fakt jest źródłem pewnych napięć między mną a Makri. Moja przyjaciółka związała się z Ligą Kobiet Wyzwolonych, grupą zawiązaną w celu walki o prawa kobiet, które, muszę przyznać, są w Turai dość ograniczone. Nie mogą one na przykład wstępować do cechów, za wyjątkiem kilku bardzo wyspecjalizowanych, jak Gildia Magów i Cech Zabójców. Nie mogą też wstąpić do Szanownego Czcigodnego Stowarzyszenia, co poważnie ogranicza możliwość prowadzenia interesów. Nie mogą głosować, nie mogą zasiadać w Senacie. Nie wpuszcza się ich również do luksusowych łaźni i przybytków odnowy biologicznej w centrum miasta. Co, muszę przyznać, nigdy mi specjalnie nie przeszkadzało, dopóki Makri nie wstąpiła do Ligi Kobiet Wyzwolonych i nie zaczęła robić z tego wielkiej sprawy.

Ogólnie rzecz biorąc, nie zamierzam walczyć z jej poglądami. Zwisa mi to. Daję jej gurana lub dwa na jej zbiórki i odczepia się ode mnie. Jak się jednak niedawno na swoje nieszczęście dowiedziałem, liczba członkiń Ligi ostatnio wzrosła zastraszająco. Większość obywateli Turai byłaby bardzo zaskoczona na wieść o tym; że Ligę wspierają nie tylko kobiety takie jak piekarka Minarixa czy zielarka Chiaraxi, ale może ono również liczyć na dyskretne wsparcie księżniczki Du-Akai, trzeciej w kolejce do tronu. Król na pewno nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział. Ani Prawdziwy Kościół, który uważa Ligę Kobiet Wyzwolonych za potworność.

Lisutaris Kochanka Niebios, bardzo potężna czarownica (w chwilach, gdy nie pali opium), to kolejna sympatyczka Ligi. Co najdziwniejsze, jestem całkiem przekonany, że Hanama, trzecia co do znaczenia osoba w Cechu Zabójców, również ją popiera.

Myśl o Makri chodzącej na sekretne spotkania z tymi ludźmi niepokoi mnie, bo pewne osoby mogą w ten sposób dowiedzieć się o moich sprawach czegoś, czego wiedzieć nie powinny. Nie, żeby Makri świadomie zdradzała moje sekrety, ale mieszka w naszym mieście dopiero od roku i nadal nie jest obyta z cywilizacją. Wciąż ma trudności z używaniem sztucców, a ja ciągle jeszcze mogę ją bezkarnie okłamywać.

Makri odchodzi, aby się uczyć. Ja idę spać.

Następnego dnia budzę się tak wcześnie, że prawie zdążam na poranne modły, co nie zdarzyło mi się od lat. Jednak pomimo tak obiecujących początków poranek przynosi tylko frustrację. Jadę powozem do więzienia, ale nie udaje mi się zobaczyć z Grosexem.

Wszystkim więźniom przepisy gwarantują możliwość spotkań ze swoimi przedstawicielami, ale w Turai prawo nie jest zawsze respektowane. W więzieniu informują mnie szorstko, że Grosex nie może się z nikim widzieć i odsyłają mnie z kwitkiem. Kiedy głośno i długo protestuję, urzędnik żąda, abym przedstawił dowód, że rzeczywiście Grosex zatrudnił mnie do przeprowadzenia śledztwa.

–Prefekt Toliusz zabrał go, zanim zdążył wypisać mi upoważnienie.

To oczywiście niewiele pomaga. Najwyraźniej władze chcą szybko zakończyć sprawę bez kłopotu, jaki mógłby im sprawić ktoś starający się wypracować rozsądną linię obrony.

Proces Grosexa ma się odbyć w następnym tygodniu i jeśli tak dalej pójdzie, chłopak na pewno będzie wisiał. Drantaax był w mieście ceniony i opinia publiczna głośno domaga się krwi zabójcy.

Przeklinam swój brak wpływów u urzędników miejskich. Mam wiele kontaktów w półświatku, ale od czasu gdy wyrzucono mnie z pałacu, wiele potężnych osobistości zamknęło przede mną drzwi.

Przychodzi mi do głowy, że Cycleriusz, nasz nowy wicekonsul, mógłby udzielić mi pewnej pomocy ze względu na przysługę, jaką mu ostatnio oddałem. Cycleriusz jednak wyjechał z oficjalną misją do Mattesh, na razie więc jestem w kropce.

Skoro nie mogę zobaczyć się z Grosexem, powinienem porozmawiać z żoną Drantaaxa, ale wszystkie ślady prowadzą donikąd. Nikt nie widział, jak wychodziła, i nikt nic nie wie o jej obecnym miejscu pobytu. W mieście Kalia ma tylko jednego krewnego, brata, który pracuje w magazynach przy porcie. On też nic nie może mi powiedzieć, i najwyraźniej niewiele go to obchodzi. Nigdy im się nie układało. – - Czy miała romans z czeladnikiem? – pytam. – - Prawdopodobnie – odpowiada, dając mi do zrozumienia, że czas, abym sobie poszedł. Dalej mu się naprzykrzam, ale nie dowiaduję się niczego więcej oprócz rewelacji, że obecnie sprowadzamy dużo pszenicy drogą morską.

To ciekawe, że żona Drantaaxa, Kalia, pochodzi z rodziny pracowników portowych.

Oznacza to, że wyszła za mąż poza swoją klasą. Drantaax nie był co prawda

arystokratą, ale znany rzeźbiarz zajmuje wyższą pozycję niż zwykły robotnik. Wszyscy w Turai zdają sobie sprawę z takich różnic.

Odwiedzam posterunek Straży; Toliusz odjechał, ale strażnik Jevox nie wie, gdzie jest Kalia i nie sądzi, żeby Straż miała jakieś pomysły. – - Niemożliwe żeby kobiecie bez rodziny tak łatwo udało się ukryć w tym mieście.

Gdzie miała pójść? Służący twierdzą, że nie zabrała ze sobą żadnych pieniędzy. I dlaczego zniknęła? – - Może go zabiła, żeby móc się zejść z czeladnikiem – podsuwa Jevox. – - Jeśli jednak to zrobiła, użycie jego noża i w rezultacie posłanie go na szubienicę było nieostrożne.

Zastanawiam się nad sprawą Kalii i Grosexa. Jeżeli naprawdę mieli romans to dziwne, że wzięła nogi za pas i zostawiła go swojemu losowi.

Jevox mówi mi, że ją znał, kiedy jeszcze mieszkała przy przystani. Pamięta ją jako bardzo piękną młodą kobietę.

–Nic dziwnego, że wyszła za bogatego rzeźbiarza. Gdyby trochę poczekała, zapewne zaszłaby jeszcze wyżej.

Jevox jest zajęty. Toliusz zamęcza swoich ludzi, bowiem senator Lodiusz, lider partii opozycyjnej, Popularów, wykorzystuje najnowszą falę przestępstw jako bicz na Tradycjonalistów.

–Obrabowane domy ambasadorów! – krzyczy w Senacie. – Królewskie złoto skradzione! Uczciwi obywatele mordowani na ulicach! Dwa rozchodzi się po mieście jak zaraza! A co nasi przedstawiciele robią w sprawie tego kryzysu?

Jego mowa była jeszcze dłuższa – jak donosi kronika – i naturalnie spowodowała, że każdy urzędnik miejski od konsula Kaliusza w dół czuje się teraz niepewnie.

Popularzy senatora Lodiusza wypadli nieco gorzej podczas ostatnich wyborów, jest on jednak nadal ważną osobistością w mieście i mógłby sprawić wiele kłopotów, jeśli pociągnie za sobą tłumy. Wszyscy strażnicy muszą więc stawać na głowie, żeby rozwiązać kilka największych spraw i wcale nie są z tego zadowoleni. Zostawiam Jevoxa wpatrzonego ponuro w stos zeznań świadków w sprawie morderstwa na tle dwa popełnionego przy przystani. Żaden świadek najwyraźniej nic nie widział Jak to zazwyczaj bywa, kiedy przestępstw dokonują potężne gangi narkotykowe.

Gdybym miał coś, co należało do Kalii, mógłbym użyć zaklęcia, aby ją odnaleźć, ale niczego takiego nie posiadam. Wracam do domu rzeźbiarza. Dom jednak jest już zamknięty i pilnowany, i moje słowa nie odnoszą żadnego skutku. Przeklinam samego siebie za to, że nie wziąłem czegoś wcześniej, kiedy miałem okazję. Ale Mag Straży również nie posunie się dalej, bo księżyce ustawią się w odpowiednim

złączeniu dopiero za kilka miesięcy. Grosexnie może czekać tak długo.

Skarżę się na to Astrathowi Potrójnemu Księżycowi. – - Za każdym razem, kiedy chcę kogoś szybko znaleźć, księżyce są nieodpowiednio ustawione. Magia jest do niczego, kiedy chodzi o rozwiązywanie spraw kryminalnych. – - Nie zawsze. W przeszłości kilka razy pomogłem ci uzyskać dobre rezultaty.

To prawda. Poza tym w gruncie rzeczy to dobrze, że magia nie wystarczy do zwalczania przestępczości w mieście, bo wtedy straciłbym pracę.

Astrath szuka posągu, ale bez rezultatów. To dowodzi, że został on wywieziony bardzo daleko, ale jak – nadal pozostaje tajemnicą. Kiedy wreszcie wracam do tawerny „Pod Mściwym Toporem”, skarżą się Makri na brak wyników. – - Jedyna nowość to fakt, że jestem śledzony. – - Śledzony? Przez kogo? – - Nie wiem. Nie udało mi się go zobaczyć. Ale czuję to. – - Próbowałeś kuriyf!

Potrząsam głową. Kuńya, ciemny i tajemniczy płyn, pokazuje czasem obrazy w odpowiedzi na pytanie, pod warunkiem że pytający nauczył się, jak to robić. To sztuczka, którą nadal od czasu do czasu potrafię wykonać z dobrym rezultatem, po takim zabiegu czuję się ostatnio zupełnie wypompowany. Niestety, nie zawsze udaje się uzyskać odpowiedź, a płyn, importowany z dalekiego Zachodu, jest straszliwie drogi, więc będę mógł skorzystać z niego tylko raz. Wolę zdobyć informacje na temat Grosexa niż osoby, która mnie śledzi.

Zajmę się nią osobiście, kiedy tylko się pokaże.

Kończę poobiednie piwo. Nie mogę się zobaczyć z Grosexem, nie mogę znaleźć żadnych świadków, a muszę wiedzieć, co się wydarzyło. Wracam myślami do żony Drantaaxa, Kalii. Może kuńya da mi jakąś wskazówkę. Warto spróbować. Bez niej nie dam rady.

Wprowadzenie umysłu w odpowiedni stan zabiera mi dużo czasu. Czarownik powinien pracować w spokojnym otoczeniu, ale w Dwunastu Morzach rzadko panuje spokój.

Sprzedawcy ryb, handlarze dwa i prostytutki przekrzykują się nawzajem, zachwalając swój towar. Bezdomne psy wyją i walczą ze sobą; dzieci bawią się hałaśliwie w błocie, a kobiety krzyczana sklepikarzy, targując się o tanie warzywa. Do tego hałasu dołączają się odgłosy prac budowlanych. Niełatwo jest wprowadzić się w trans, ale robię, co mogę.

Przede mną stoi spodeczek wypełniony cennym czarnym płynem. Jedyne kupiec, który sprowadza go z dalekiego Zachodu twierdzi, że to krew smoka. To nieprawda (wiem, bo widziałem krew smoków), ale w ten sposób uzyskuje powód, żeby żądać tak zwariowanej ceny. Tak czy siak, kuńya potrafi dać odpowiedź przenikliwemu

umysłowi zdolnego czarownika – a nawet takiego człowieka jak ja, chociaż nigdy nie byłem niczym więcej niż tylko czeladnikiem.

Zaciągam zasłony i oświetlam pokój wielką czerwoną świecą. Czarny płyn odbija światło. Koncentrując się na płomieniu, myślę o żonie Drantaaxa i jej obecnym miejscu pobytu.

Przez jakiś czas nic się nie dzieje. Trwa to długo; zaczynam już myśleć, że nic z tego.

Nie wychodzę jednak z transu. Czas mija. W pokoju robi się chłodno i nie słyszę hałasów z zewnątrz. Wreszcie zaczyna powstawać obraz: to dom, duży dom... biała willa na zalesionym wzgórzu.

Staram się dojrzeć ją wyraźniej, kiedy przez moje skupienie przebija się słabe uczucie niepokoju. Nie wiem, o co chodzi. Usiłuję je ignorować. Niepokój nie znika.

Staram się skoncentrować na wizji, jednak zaczyna mi się ona wymykać. Nadal pozostaję w głębokim transie, ale zdaję sobie sprawę, że w moim pokoju ktoś jest. Przeszywa mnie dreszcz strachu, okropny lęk wywołany świadomością, że jestem bezbronny w obliczu wroga.

Wydostaję się z transu z rykiem przerażenia, skaczę na nogi i obracam się szybko, aby zobaczyć, kto to. Świat przez chwilę wiruje szaleńczo, a potem mój wzrok koncentruje się na dwóch postaciach znajdujących się kilka metrów od miejsca, w którym przed chwilą klęczałem. Jedna z nich przegląda papiery na moim biurku, podczas gdy druga stoi na czatach. Obaj intruzi mają na sobie czerwone szaty. Obaj mają ogolone głowy. Mnisi włamywacze?

–Kim do diabła jesteście?! – ryczą.

Odwracają się i ruszają do drzwi. Skaczę za nimi, łapię najbliższego za ramię i obracam go ku sobie.

–Co się dzieje?

Mnich odsuwa się. Nadal roztrzęsiony po nagłym wyrwaniu z transu, mam jeszcze mniej cierpliwości niż zwykle. Wymierzam cios, po którym mnich powinien był przelecieć przez ścianę. On go kontruje, Jestem zaskoczony. Próbuję znowu. On znów kontruje, automatycznie, bez widocznego wysiłku. Kiedy wymierzam kolejny cios w jego twarz, on dotyka tylko mojego ramienia i nagle stoję już zwrócony twarzą w drugą stronę, Bóg jeden wie jakim cudem. Potem lecę przez pokój, pchnięty potężnym uderzeniem pomiędzy łopatki.

Uderzam w ścianę i osuwam się na podłogę.

Makri wpada do środka i znajduje mnie pod ścianą oszołomionego i zdezorientowanego. Biegnie do zewnętrznych drzwi, ale nikogo tam nie ma.

Napastnicy odeszli tak szybko i tajemniczo, jak się pojawili. – - Kto to był? – pyta Makri, pomagając mi wstać. – - Po prostu dwóch mnichów wojowników szukających rozrywki – sapię i padam na kozetkę, wyczerpany zagładaniem w kurię. Kiedy trzeba jeszcze stawić czoło mnichom wojownikom, to jak na mniejużza dużo. – - Kto to są mnisi wojownicy? – - Mnisi, którzy są również wojownikami. Połowę czasu spędzają na modlitwach i medytacjach, połowę na nauce sztuki walki. Wybacz mi, Makri, ale muszę się położyć.

Kręci mi się w głowie. To uderzenie pozbawiło mnie tchu. Poleżę na kozetce, póki mi nie przejdzie. Makri przynosi mi piwo i powoli zaczynam wracać do prawdziwego świata.

–Przekłęci mnisi. Kiedy przyszli, właśnie zaczął mi się pojawiać obraz.

Staram się przypomnieć sobie, jak wyglądał dom, który zobaczyłem w kuźni. Willa na zalesionym wzgórzu. To może być każdy dom na obrzeżach bogatego przedmieścia Thamlinu, gdzie teren wznosi się ku pałacowi. Ale willa może się też znajdować gdzie indziej – nawet w innym mieście.

Nie. Kalia nie zdążyłaby dotrzeć tak daleko. Gdyby popłynęła statkiem, strażnicy dowiedzieliby się o tym. Nie sądzę też, aby odjechała konno. Rallee powiedział mi, że dokładnie sprawdzali, kto tego dnia wypożyczał konie. Sprawdzali też opuszczające miasto wozy kupców.

Makri zastanawia się, dlaczego strażnicy tak się w to zaangażowali. – - Zadają sobie zadziwiająco wiele trudu, jak na zwykłe morderstwo... – - Być może. Senator Lodiusz znów jednak wygłasza przemówienia o tym, jak to nasze miasto popada w ruinę. Strażnicy pracują więc jak mogą, aby udowodnić, że wbrew temu, co twierdzi przywódca Popularów, na coś się w końcu przydadają. Biedny Jevox cieszył się na tydzień urlopu, a zamiast tego siedzi zakopany po uszy w zeznaniach świadków i jest ponury jak dziwka z Nioj. Strażnicy nie mogą pokpić sprawy morderstwa Drantaaxa, i sądzą, że zrobili dobry początek, skoro tak szybko dokonali aresztowania. Nie chcą ryzykować, że sknocą proces zabójcy rzeźbiarza.

Powinienem udać się do Thamlinu i zobaczyć, czy uda mi się znaleźć tę willę.

Przekłęci mnisi, dlaczego mi przerwali?

Gurd puka i wsadza głowę przez drzwi.

–Makri – mówi. – Powinnaś pracować. Thraxasie, na dole czeka ktoś na ciebie.

–Kto? – - Chyba nazywa się Mniszek. – - Powiedz jej, że wyszedłem – mówię, wstając szybko. – Ważne śledztwo. Makri, nie patrz tak na mnie. Nie zamierzam szukać uzdrowicielskiego kamienia delfinów, który spadł z nieba, i to jest moje ostatnie słowo. Jeśli tak się tym przejmujesz, zabierz Mniszka na jedno z tych spotkań Ligi Kobiet Wyzwolonych. Już one ją ustawia.

Chwytam miecz, biorę trochę pieniędzy, aby kupić bochenek chleba w piekarni Minarixy, i wychodzę.

Kiedy tylko znajduję się na ulicy znowu czuję, że jestem śledzony. Marszczę brwi.

Mam już tego powoli dosyć. Wskakuję do powozu i nakazuję woźnicy, aby szybko zabrał mnie do Thamlinu. Robi, co może, ale przy tych wszystkich budowach, dziurach w jezdni i masie ludzi podążających na targ, posuwamy się wolno i nie udaje mi się pozbyć ogona. Żałuję, że wcześniej się tym nie zająłem.

Thamlin to inny świat w porównaniu z brudną dzielnicą Dwanaście Mórz. Tutaj ulice są czyste i wyłożone płytkami w kolorach bladozielonym i żółtym. Luksusowe wille stoją wśród zielonych ogrodów, otoczone białymi murami, wzdłuż których przechadzają się członkowie Gildii Ochroniarzy. Ulice patroluje wielu strażników, którzy pilnują, aby nie włączyło się tu pospólstwo. Nikt nie zakłóca spokoju. Nawet śmierzduszk, małe czarne ptaszki, które opanowały miasto, tutaj wyglądają na lepiej odżywione. Każdy kto przyjdzie do Thamlinu trochę pożebrać, wkrótce zostanie przepędzony, aby nie zakłócał spokoju naszej arystokracji.

Kiedyś sam tu mieszkałem. Teraz witają mnie tu jak Orka na weselu Elfów.

Nie mam pojęcia, gdzie rozpocząć poszukiwania zatrzymuję więc landus na ulicy Prawda jest Pięknem, przy której mieszkają czarownice. Wchodzę po łagodnym zboczu przylegającym do terenów Pałacu Imperialnego. Wszędzie dookoła stoją domy podobne do tego, który widziałem w kuriyi. Staram sobie przypomnieć jakieś cechy charakterystyczne, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Po prostu jeszcze jedna luksusowa willa, gdzie mieszkańcy mogą leżeć w cieniu, pijąc wino z własnych winnic i jedząc ryby z prywatnych stawów.

Marszczę brwi. Ależ mi się udało to śledztwo!

Przed jedną z mniejszych willi nieco oddalonych od ulicy dostrzegam strażnika.

Oprócz niego nie widać nikogo – żadnych służących strzyżących trawniki czy pielęgnujących grządki. Domyślałam się, że jest to dom Taliusza Zielone Oko, czarownika, którego niedawno zamordowano.

To nie moja sprawa. Powinienem się trzymać z daleka... Podchodzę więc, aby się przyjrzeć. Strażnik nie zwraca specjalnej uwagi na swoje otoczenie. Nie dostrzega

nawet, jak przelażą przez niski mur i dostają się do ogrodu. Nie wiem, dlaczego to robię.

Pewnie taką już mam naturę, że ciekawią mnie morderstwa czarowników.

Ogród jest dobrze utrzymany, ale pusty. Zapewne wszyscy służący zmarłego czarownika przebywają jeszcze w areszcie, przepytывani ze swojej wiedzy na temat trucizn.

Przechodzę szybko między wysokimi drzewami i docieram do ozdobnego stawu na tyłach domu. W przeciwieństwie do niektórych bogatszych obywateli, Taliusz nie hodował w nim ryb. Dobrze zaopatrzony staw rybny to w Turai symbol wysokiej pozycji społecznej; arystokratycznamatronanie może zaprosić na obiad członka rodziny królewskiej, jeśli nie jest w stanie podać mu na pierwsze danie ryb z własnego stawu. Na utrzymanie takiego luksusu trzeba jednak sporo pieniędzy.

Jestem teraz blisko kuchennych drzwi, pomalowanych na żółto, z małymi posągami świętego Kwatyniusza po obu stronach. W Turai uważa się, że żółte kuchenne drzwi przynoszą szczęście. Frontowe powinny być białe. Prawie wszyscy postępują zgodnie z tą zasadą. Nawet jeśli ktoś nie jest zabobonny, po co kusić los?

Zbliżam się właśnie do drzwi, kiedy słyszę jakiś dźwięk dobiegający z wewnątrz.

Uciekam za duży krzew. Po kolejnym dźwięku zaszywam się głębiej w krzaki i patrzę z zainteresowaniem, które przeradza się w zdumienie. Najpierw drzwi się otwierają i na zewnątrz, bardzo cichutko, wychodzi trzech ogolonych mnichów w czerwonych szatach.

Ostrożnie prześlizgują się przez portal i przed wyruszeniem dalej na teren posiadłości sprawdzają, czy nie są przypadkiem obserwowani. Wtedy z krzaków za mną wynurzają się czterej inni mnisi, również z ogolonymi głowami, ale odziani na żółto.

Natychmiast rzucają się na tych czerwonych i atakują bez ostrzeżenia.

Cisza zostaje przerwana, bowiem zaczyna się bitwa i to na dodatek bardzo zacięta.

Ludzie dużo gadają o bojowych umiejętnościach mnichów wojowników, ale ja sam nigdy jeszcze nie widziałem takiego pokazu. Patrzę zdumiony, jak wymierzają kopnięcia, skacząc na wysokość głów przeciwników i miażdżącymi ciosami odrzucają ich daleko na trawnik.

Ofiary tych ciosów zrywają się jednak na nogi i znów rzucają się w wir walki.

Większości uderzeń towarzyszą niezwykle intensywne okrzyki, cała okolica słyszy

więc z pewnością, co się dzieje.

Nie mija wiele czasu, kiedy pojawia się strażnik, który stał przed domem. Widząc siedmiu walczących mnichów, roztropnie nie włącza się do walki, ale wzywa pomoc przenikliwym głosem gwizdka.

Na dźwięk gwizdka mnisi rozłączają się, mierzą nawzajem nienawistnym wzrokiem, a potem rozpierzchają się w różnych kierunkach, pomagając w ucieczce swoim rannym.

Tym razem również demonstrują wielką zręczność, przeskakując przez mury i różne inne przeszkody w drodze ku wolności.

W każdej chwili może się zjawić więcej strażników. Ledwo mam czas zniknąć.

Powinienem uciec stąd tak daleko jak się da... Wracam jednak do drzwi i wchodzę do środka.

Czasami zachowuję się jak głupiec. Niepohamowana ciekawość – lub wścibstwo – od urodzenia wpędzają mnie w kłopoty.

Wewnątrz przynajmniej mogę się ukryć przed palącym słońcem. W kuchni polewam sobie szyję wodą z dzbanka i idę dalej. W pierwszym pokoju, do którego wchodzę – obszernym, spokojnym, białym pokoju z pastelowymi gobelinami na ścianach – spotykam pijaną młodą kobietę z nożem w ręce. Stawia mi czoło z dużą energią i próbuje rozplatać mi brzuch, ale potyka się o pustą butelkę. Idee leżącą u jej stóp i pada na ziemię.

Kolejna niespodzianka. Marszczę brwi. Jestem pewien, że Taliusz nie był żonaty, ona jednak ma na sobie togę pani domu. Pewnie to jego córka.

Kobieta spogląda na mnie z podłogi i pyta groźnie, co tu robię. – - Badam sprawę śmierci Taliusza – kłamię. – - Nie jesteś strażnikiem – niepewnie zbiera się na nogi. – Ale to i lepiej.

Strażnicy nie dowiedzą się, kto zabił mojego ojca. Tyle z nich pożytku, co z eunucha w burdelu.

Jestem zaskoczony, kiedy słyszę tak brzydkie słowa wypowiedziane głosem dobrze wychowanej osoby. Kobieta sięga po kolejną butelkę klee stojącą na półce za jej plecami.

Wypiła już dosyć, a nawet więcej, dochodzę jednak do wniosku, że to nie moja sprawa, i nie powstrzymuję jej. Wydaje mi się, że słyszę na zewnątrz głosy, co oznacza, że przybyło więcej strażników.

–Strażnicy będą tu lada chwila. Jestem detektywem. Pomogę ci, jeśli mi opowiesz, co się stało.

Zabrzmiało to całkiem szczerze. Może nawet i byłem szczerzy. Trochę mi żal tej dziewczyny, pijanej i samotnej, która niedawno pochowała ojca. – - Co tu jest do opowiadania? – - Kto zabił twojego ojca? – - Pewnie handlarz, który dostarczał mu dwa.

To dla mnie zupełne zaskoczenie. Nie fakt, że Taliusz Zielone Oko brał dwa – nałóg ten spotyka się wśród przedstawicieli wszystkich klas społecznych, a czarownicy są nań szczególnie podatni. W raportach o zabójstwie nie było jednak żadnej wzmianki o narkotykach jako o motywie zbrodni.

–Myślałem, że otruł go służący.

Kobieta śmieje się głupim, pijackim śmiechem.

–Tak mówią. Nie chcieli, żeby kolejny narkotykowy skandal wstrząsnął pałacem.

Za dużo ich już było. Mój ojciec nie został otruty. Zabito go strzałem z kuszy. Nie mógł zapłacić handlarzowi dwa.

Na zewnątrz słyhać kroki i do domu wchodzą strażnicy.

–Zatrudnij mnie, abym znalazł zabójcę – mówię szybko, ale jest już za późno. W tej samej chwili, kiedy kobieta osuwa się nieprzytomna na ziemię, do pokoju wkraczają strażnicy, na czele z samym prefektem Galwiniuszem, ich szefem w Thamlinie.

Prefekt Galwiniusz dobrze mnie zna i nie znosi niemal tak samo, jak prefekt Toliusz.

A może bardziej. Jedno spojrzenie na leżące ciało i już nakazuje, aby mnie natychmiast aresztowano, zostaję więc załadowany do wozu i odstawiony do więzienia.

Nie ma nic niezwykłego w tym, że podczas śledztwa trafiam do celi. Kiedy jednak myślę, że tym razem zostałem aresztowany z powodu sprawy, której w ogóle nie prowadzę, zaczynam dochodzić do wniosku, że nawet w tym wieku nie jest jeszcze za późno na ukrócenie mojej wrodzonej ciekawości.

Najgorszy w więzieniu jest upał. I smród. Oraz to, że nie można dostać piwa.

Towarzystwo też jest paskudne. Wiele złego można powiedzieć o pobycie w więzieniu.

W mojej małej celi jest jeszcze drugi więzień, który nie chce nic mówić i leży na

pryczy ponury jak dziwka z Nioj. Kiedy rozlega się wezwanie do modlitwy, to niemal ulga.

Przynajmniej mam co robić.

Strażnicy rutynowo ignorują moje prośby o adwokata, do czego upoważnia mnie prawo. Tak naprawdę nie zatrudniam własnego prawnika (choć w tym zawodzie powinienem), jednak ponieważ jestem obywatelem Turai, państwo powinno mi zapewnić obrońcę z urzędu. Nie zapewnia. Jest już późny wieczór, kiedy wreszcie jakiś urzędnik zwraca na mnie uwagę. Dwaj strażnicy otwierają drzwi i zabierają mnie do pokoju przesłuchań, gdzie za biurkiem siedzi z kamienną twarzą prefekt Prazjusz.

Jego widok trochę mnie nawet ucieszył. Prazjusz nie czuje do mnie większej sympatii niż inni prefekci, ale nie jest tak głupi jak reszta. Jest młodszy niż jego szef Galwinusz, i bardzo ładnie mówi, czego można się było spodziewać. W Turai, aby zostać wybranym na stanowisko publiczne lub otrzymać awans, należy być człowiekiem dobrze urodzonym, z imieniem kończącym się na – jusz. Imię takie jak Thraxas to oznaka niskiego urodzenia. Nie ma żadnych podstaw prawnych, żeby przedstawiciel klas niższych nie mógł zostać wybrany, ale arystokraci praktycznie podporządkowali sobie Senat za pomocą pieniędzy i patronatu, nowym ludziom niezwykle trudno jest więc się przebić. – - No, Thraxasie. Zechcesz nam powiedzieć, co robiłeś w domu Toliusza? – - A czy pan zechce mi powiedzieć, gdzie jest mój obrońca z urzędu?

Prazjusz odwraca się do strażników.

–On chce wiedzieć, gdzie jest jego obrońca z urzędu. Ktoś widział jego obrońcę?

Strażnicy potrzęsają głowami, aż trzęsą się eleganckie frędzelki na ramionach ich tunik. – - Wygląda na to, że nikt go nie widział. – - Mam do niego prawo. – - Masz prawo przestać pytać o prawnika i zacząć odpowiadać na pytania. Mów, co robiłeś w domu Taliusza? I dlaczego zaatakowałeś jego córkę Soolanis?

Pochylam się do przodu i wlepiam w niego wzrok.

–Prazjusz. Czy od każdego urzędnika rzeczywiście wymaga się, aby był głupi jak Ork? Naprawdę myślisz, że możesz mnie przestraszyć? Idź do diabła. Sprowadź mi prawnika, a wtedy może coś powiem. A może nie. Zależy, jaki będę miał nastrój. A tymczasem lepiej zaprowadź mnie z powrotem do celi. Jeśli chcesz mnie przetrzymywać nielegalnie, proszę bardzo. Spodziewam się sówitej zapłaty, kiedy już zaciągnę cię do sądu.

Nie tak należy się zwracać do zastępcy prefekta, jeśli chcemy wydostać się z więzienia, ale ja nie zamierzam skapitulować wobec tych ludzi. Zabierają mnie z powrotem do celi. Mój współlokator nadal leży na pryczy, a nastrój najwyraźniej mu

się nie poprawił.

Później płacę strażnikowi, aby przyniósł mi egzemplarz „Sławetnej i wiarygodnej kroniki wszystkich wydarzeń światowych”. Nie ma w niej nic ciekawego dla kogoś, kogo nie interesuje najnowsza skandaliczna plotka o żonie senatora i jakimś kapitanie, a ja jestem właśnie taką osobą. Wydawca poświęca nieco miejsca na wyśmiewanie nieudolności strażników, którzy nie potrafią odnaleźć nawet dwutonowego posągu. Posąg świętego Kwatyniusza miał być poświęcony w przyszłym miesiącu, podczas ważnej religijnej uroczystości, w obecności delegatów z różnych miast-państw. Gazeta wścieka się na myśl o tym, że można mieć kłopoty ze znalezieniem tak ogromnego obiektu, i wyraźnie sugeruje, że kryją się za tym łapówki i korupcja. To całkiem prawdopodobne. Jednak ja też nie zdołałem osiągnąć lepszych rezultatów niż strażnicy, a mnie nikt nie próbuje przekupić.

Na ostatniej stronie znajduję wzmiankę o dzielnicy Dwanaście Mórz – gazeta informuje, że spłonęła jedna z naszych tawera „Pod Głową Dzika”, a śmierć w płomieniach poniósł jej właściciel, Trineks.

Tawerna „Pod Głową Dzika” jest kiepska, zawsze pełno tam handlarzy dwa i egzotycznych tancerek. Nie będzie mi jej brakowało. Trinexa też nigdy nie lubiłem. W tawernie rządziło Bractwo, a Trinex należał do tej organizacji, co czyni sprawą interesującą.

Bractwo nie lubi, gdy płoną placówki, na których zarabia. To źle wpływa na interesy.

Jestem przyzwyczajony do przebywania w celi – dość często mi się to przydarza – specjalnie się więc nie przejmuję. Męcząca jest jednak świadomość, że niczego nie odkryłem w sprawie Grosexa, a czasu zaczyna już brakować. Po wykonaniu standardowych testów magicznych mag Straży znalazł aurę czeladnika na nożu. Tylko jego aurę, nikogo innego. I to wystarczy, aby przekonać strażników, a być może również przysięgłych, że chłopak zabił rzeźbiarza. Sądy naszego miasta potrafią uporać się ze sprawą o morderstwo w ciągu pięciu dni, jeśli mają ochotę. O ile się nie dowiem, kto naprawdę zabił Drantaaxa, Grosex może zostać powieszony za niecały tydzień. Nie posunąłem się ani o krok dalej i to się nie zmieni nawet kiedy wyjdę z więzienia. Nie potrafię rozpoznać białej willi, którą zobaczyłem w kuriyi, A nawet gdybym mógł, nie mam gwarancji, że znajdę tam żonę Drantaaxa.

Najwyraźniej zapędziłem się w ślepią uliczkę.

Zastanawiam się nad tym, co się wydarzyło w domu czarownika Taliusza. Chociaż nie jestem zaangażowany w tę sprawę, ciekawi mnie bieg związanych z tym wydarzeń.

Dlaczego mówi się, że otruił go służący, skoro jego córka twierdzi, że został zabity

przez handlarza dwa! I czy rzeczywiście zginął od strzały z kuszy? Kusza to bardzo rzadka broń w Turai. W obrębie murów miejskich noszenie jej jest nielegalne. Jakiś czas temu miałem jednak do czynienia ze śmiertelnie niebezpieczną morderczynią używającą kuszy, Sarin Bezlitosną, którą łączyły pewne powiązania z hadlarzami dwa. Zastanawiam się, czy wróciła do miasta?

Nie mam nic przeciwko temu, żeby ją znowu spotkać. Rozesłano za nią listy gończe, a ja zawsze chętnie inkasuję nagrody.

Spośród wszystkich moich niedawnych doświadczeń najciekawsze było pojawienie się mnichów. Co oni tam robili? Może mają jakieś związki z handlem dwa! To nie stanowiłoby dla mnie zaskoczenia. Praktycznie każdy mieszkaniec Turai ma jakieś związki z dwa, odkąd opanowało ono życie tylu ludzi. Ale może też chodzić o coś zupełnie innego.

Może Taliusz miał jakiś przedmiot kultu, który mnisi chcieli zdobyć? Ale Taliusz był poślednim czarownikiem i mało prawdopodobne, żeby wszedł w posiadanie jakiegoś przedmiotu o dużym znaczeniu. Może przyszli po prostu, aby im postawił horoskop.

Zastanawiam się, co to były za dwie grupy i dlaczego ze sobą walczyły. To dziwny zbieg okoliczności, że tego samego dnia dwaj mnisi włamują się do mojego pokoju, a niedługo potem trafiam na innych mnichów, którzy naporzają się na trawniku w Thamlinie.

Zastanawiam się, w co tym razem wdepnąłem, ale nie przychodzi mi do głowy żadna hipoteza pasująca do faktów. Niewiele wiem o mnichach wojownikach. Ale z drugiej strony, kto o nich coś wie?

Noc spędzam w celi. Następnego dnia jest gorąco jak w orkijskim piekle. Jedzenie nie nadaje się dla ludzi, a ja okropnie tęsknię za piwem. Mam właśnie wyrazić swoją frustrację kopaniem w drzwi, kiedy otwierają się one i wkracza córka Taliusza. Mocniej trzyma się na nogach, ale i tak widać, że piła. Nie mnie ją za to potępiać. To już przesada, żeby nie można się było upić po tym, jak ojciec został zamordowany.

–Powiedziano mi Thraxasie, że naprawdę jesteś detektywem. Myślałam, że tylko kolejnym oszustem.

Kiedy obudziła się z pijackiego snu, stwierdziła, że mnisi w czerwonych szatach przeszukują jej dom. Nic dziwnego, że była wzburzona. Przeprasza, że próbowała mnie dźgnąć, a ja lekceważąco macham ręką.

–Spotkanie z mnichami, którzy włamali się do twego mieszkania, każdego by rozstroiło. Wierz mi, wiem, co mówię.

Kobieta szybko przechodzi do rzeczy. Strażnicy nie są w stanie niczego odkryć w

sprawie śmierci jej ojca, chce więc zatrudnić mnie.

Oglądam się na swojego współwięźnia. Chyba śpi, ale i tak nie chcę niczego omawiać w jego obecności. Zastępca prefekta Prazjusz jest dość inteligentny, aby wprowadzić tu kogoś ze swoich ludzi, żeby mnie szpiegował.

–Wezmę tę sprawę, ale nie możemy o tym rozmawiać tutaj. Najpierw będziesz mnie musiała wydostać z tej celi.

Kobieta wyjmuje z torby flaszkę i pociąga łyk. Jest ładna, z szopą czarnych włosów i niezwykle zielonymi oczami. Na tyle urocza, że mógłbym jej powiedzieć komplement, gdybym nie był starym grubasem, któremu się w życiu nie wiedzie i któremu nie wypada podrywać młodych kobiet. – - Mogę cię jakoś wydostać? – - Jasne. Powiedz po prostu zastępcy prefekta, że wszedłem do waszego domu na twoje zaproszenie. Nic innego na mnie nie mają.

To odbywa się całkiem gładko. Zastępca prefekta Prazjusz każe mi czekać i konsultuje się z Galwiniuszem. Niezbyt im się to podoba, jednak skoro Soolanis twierdzi, że mnie zaprosiła, nic nie mogą zrobić. Żadnego innego przestępstwa nie popełniłem. W końcu mag Straży odprowadza nas do głównego wejścia, gdzie wypowiada zakłęcie otwierające drzwi.

Wychodzę na palące słońce.

–Potrzebuję piwa.

Soolanis też. Zatrzymujemy się w tawernie na skraju Thamlina, znacznie lepszej niż te, do których zazwyczaj uczęszczam. Właściciel patrzy na mnie podejrzliwie, ale obecność niewątpliwie dobrze urodzonej Soolanis dodaje mu otuchy – dopóki moja towarzyszka nie zaczyna wlewać w siebie kolejnych szklanek klee w sposób, jaki zupełnie nie pasuje do damy.

W końcu muszę ją zapakować do powozu i ruszamy na południe.

Skracając w ulicę Kwintesencji, mijamy nadal dymiące ruiny tawerny „Pod Głową Dzika”. Nie została się ani jedna belka. Ktokolwiek ją podpalił, wykonał dobrą robotę – chociaż oczywiście nie jest zbyt trudno podpalić rozklekotane drewniane budynki dzielnicy Dwanaście Mórz, wysuszone przez bezlitosne letnie słońce. Pożar w Turai to stałe zagrożenie.

O wiele większych zniszczeń uniknięto zapewne tylko dlatego, że teren wokół tawerny został oczyszczony pod nową budowę. Kasax, tutejszy szef Bractwa, i Ixkar, wyższy rangą urzędnik w Cechu Karczmarzy, stoją obok ruin z ponurymi minami. Raczej nie omawiają planów niedzielnej wycieczki. Nie chciałbym być na miejscu podpalacza, kiedy ci dwaj go dorwą.

W drodze do tawerny „Pod Mściwym Toporem” Soolanis prawie zasypia. Z trudem udaje się jej wejść na schody. Wewnątrz osuwa się na moją kozetkę i zapada w sen. Patrzę na nią nieco zirytowany. Mogłaby zachować przytomność przynajmniej do czasu, kiedy da mi zaliczkę.

W sypialni mam wielki dzban wody. Wchodzę tam, aby obmyć sobie twarz. Dzban jest pusty, a na moim łóżku śpi młoda prostytutka. Wiem, czym się trudni, bo we włosach ma czerwone wstążki. Nigdy przedtem jej nie widziałem.

Idę szukać Makii Makri akurat poszła szukać mnie i spotykamy się przy moich drzwiach. Makri zerka na Soolanis rozłożoną na kozetce. – - Wreszcie znalazłeś sobie przyjaciółkę, która pije tyle samo, co ty. – - Bardzo śmieszne. Kto śpi na moim łóżku? – - Na twoim łóżku? Aha, mówisz o Quen. To dziwka. – - Wiem, że to dziwka. Widziałem wstążki. Czy to ma być jakiś dowcip?

Makri kręci się nieswojo.

–Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz. Myślałam, że dłużej zostaniesz w więzieniu...

Wybucham gniewem. – - Dobra z ciebie przyjaciółka, Makri! Ktoś inny starałby się coś zrobić, na przykład znaleźć prawnika, aby mnie wydostać z więzienia. Ale nie ty. Ty upychasz w moim pokoju dziwki i masz nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas posiedzę. Zabieraj ją stąd! – - Nie mogę – jęczy Makri ze zrozpaczoną miną. – Wszyscy jej szukają. – - Kto to są wszyscy? – - Strażnicy. I Bractwo. I Cech Karczmarzy.

Okropne podejrzenie zaczyna się budzić w moim umyśle. – - Nie chcesz chyba powiedzieć, że... – - To ona spaliła tę budę „Pod Głową Dzika”. Ale nie miała zamiaru zabić właściciela. Chciała mu tylko dać nauczkę.

–I dała niezłą, bez dwóch zdań. No dobra, teraz już wiem, kim ona jest, ale nadal nie wiem, co tutaj robi.

–Po prostu tu przybiegła. W panice. Szukała mnie. Poznałyśmy się wcześniej, na spotkaniu Ligi Kobiet Wyzwolonych.

Patrzę na Makri z przerażeniem. – - Ty ją znasz? I przyszła do baru na dole? Po prostu weszła sobie tutaj tuż po tym, jak spaliła lokal „Pod Głową Dzika” kilkadziesiąt metrów dalej? A ty ją zabrałaś na górę?

Dlaczego nie wystawiłaś po prostu wielkiej tablicy z napisem: Poszukiwana podpaiaczka ukrywa się w pokoju Thraxasa? Zabieraj ją stąd w tej chwili! – - Ale ona jest tu bezpieczna.

–Wcale nie jest bezpieczna. Bractwo ma oczy wszędzie. Bóg wie, ilu ludzi widziało, jak tu wchodziła. A nawet gdyby nikt jej nie zobaczył, Bractwo wykorzysta czarownika.

Dziesięć do jednego, że Kasax już jakiegoś zapędził do roboty.

Makri nie wiedziała, że taweraa „Pod Głową Dzika” należała do Bractwa. Zdaje sobie sprawę, że sytuacja jest poważna. Oczywiście, nie byłoby to też błahostką, gdyby dziewczyny szukali tylko strażnicy i Cech Karczmarzy. Podobnie jak większość cechów, karczmarze mają kilku potężnych popleczników. – - Co możemy zrobić, aby jej pomóc? – - Ty możesz robić, co chcesz, Makri. Ja nie robię nic. Po prostu wyrzucić ją stąd. I to szybko. – - Ale właściciel tawerny rzucił się na nią! – - Wyrazy współczucia. Życie egzotycznej tancerki musi być trudne. A teraz pytam: czy ty się jej pozbędziesz, czy też sam muszę ją wyrzucić?

Gurd stuka do drzwi i wsadza głowę do środka.

–Thraxasie, na dole są strażnicy i szukają ciebie. Chcesz, żebym ich trochę zatrzymał?

Kiwam głową i Gurd wychodzi.

Słysząc gwałtowne walenie w zewnętrzne drzwi.

–Thraxasie – odzywa się głos, którego wolałbym nie rozpoznać. – To ja, Kasax.

Muszę z tobą pomówić.

No to świetnie. Na dole są strażnicy, a przy zewnętrznych drzwiach tutejszy szef Bractwa. Mierzę Makri nienawistnym spojrzeniem. Ona wzrusza ramionami i wyciąga z buta długi nóż.

–Masz gdzieś jakiś topór?

Jedno trzeba Makri przyznać – zawsze jest przygotowana na tę ostatnią śmiertelną walkę. Osobiście wolałbym, aby mnie zawczasu uprzedzano.

–Powstrzymaj go trochę – mówię i zaczynam grzebać w torbie, szukając zaklęcia, które pożyczyłem od Astratha Potrójnego Księżyca.

Rzucanie zaklęcia po raz pierwszy to niełatwa sprawa. Wymaga czasu, namysłu i przygotowań. Jednak teraz, kiedy Gurd powstrzymuje strażników na dole, a Makri zwodzi Kasaxa udając, że kiepsko mówi w naszym języku, nie mam na to po prostu czasu.

Wyciągam zwój, biegnę do sypialni i wyrecytowuję formułkę ponad śpiącą Quen. Nic się nie dzieje, powietrze nawet nie robi się chłodne, co jest typowe przy użyciu magii, trudno więc zgadnąć, czy zaklęcie zadziałało, czy nie. Kiedy wracam do biura, prefekt Toliusz wkracza już przez wewnętrzne drzwi z sześcioma strażnikami, a przed Makri stoi bardzo zirytowany Kasax z kilkoma ze swoich goryli.

Kasax jest szefem Bractwa w Dwunastu Morzach od niedawna. Był drugim zastępcą Jubaxasa i przejął kontrolę, kiedy tamtego kilka miesięcy temu zabiło Towarzystwo Przyjaciół. To gang rywalizujący z Bractwem, który rządzi w północnej części miasta. Kasax bardzo chce pokazać, że to on tu rządzi, i nie jest zadowolony, że kazano mu czekać. – - Kim jest ta lala, która nie gada po naszymu? – pyta. Makri marszczy brwi. „Lala” to nie jest jej ulubione określenie. – - To jego orkijska przyjaciółka – wyjaśnia Karlox. Karlox to goryl z Bractwa – wielki, głupi, agresywny i nieprzyjazny facet. Kasax, sam nie anioł, podejrzliwie rozgląda się po pokoju.

Tymczasem Toliusz nie bardzo wie, co dalej robić. Jako prefekt dzielnicy Dwanaście Mórz teoretycznie on tu rządzi, wie jednak, że w praktyce nie może dyrygować Kasaxem. Nie chce obrazić Bractwa, a jednocześnie nie chce przyznać się, że mniej znaczy od Kasaxa.

Najwyraźniej jest w kropce.

Jak na razie Kasax nie wydaje się zdezorientowany. To niebezpieczny typ i na takiego wygląda: duży, muskularny, nigdy się nie uśmiecha. Ma około czterdziestki, długie, czarne włosy splecione w warkocz, nosi prostą brązową tunikę i duże złote kółka w obu uszach. W przeciwieństwie do niektórych bossów gangów nie przesadza z ozdobami i za wyjątkiem kolczyków nie nosi żadnej biżuterii, miecz zaś ma w prostej, czarnej pochwie.

Wysoko zaszedł w szeregach Bractwa, co udaje się tylko tym, którzy są mądrzy i bezlitośni. – - Szukamy kobiety o imieniu Quen. – - Nigdy o niej nie słyszałem. Znasz kogoś o imieniu Quen, Makri?

Makri potrząsa głową. W ręce trzyma nóż i jest bardziej rozwścieczona niż szalony czarownik, bo Karlox nazwał ją Orkiem. Niewiele trzeba, żeby rzuciła się na nich wszystkich i do diabła z konsekwencjami. Jeśli znajdą Quen i będą chcieli ją zabrać, na pewno zaatakuje.

Kasax daje znak i jego goryle zaczynają przeszukiwać mieszkanie. Szef Bractwa wita prefekta Toliusza bez większego szacunku, i pyta, co go tu przyniosło.

–My również szukamy kobiety o imieniu Quen. Pod zarzutem morderstwa i podpalenia.

Kasax chrząka. – - Kiedy my z nią skończymy, niewiele zostanie dla sądu. – - Kto

to? – pyta Toliusz, wskazując Soolanis nadal śpiącą spokojnie na kozetce. – - Klientka. – - Twoje klientki zawsze tu śpią? – - Tylko wtedy, gdy są zmęczone.

Ludzie Bractwa wchodzą do mojej sypialni; dwaj strażnicy podążają za nimi. Serce mi wali. W myślach obrzucam Makri przekleństwami. Skoro już musiała przyprowadzić tu jakąś morderczynię i podpalaczkę, dlaczego wybrała właśnie tę, która naraziła się tak wielu potężnym ludziom? Bractwo i Straż na spółkę doprowadzą do tego, że będę w mieście skończony. Nie mogłoby być gorzej, nawet gdybym wyzwał Kasaxa na pojedynek.

Strumienie potu spływają po moim ciele.

Ukrywam swoje zdenerwowanie. Nie mniej niż Makri nie chcę płaszczyć się przed tymi ludźmi. Bractwo jest potężniejsze ode mnie, ale i tak nigdy nie będę traktował tych drani z szacunkiem. Biorę z półki flaszkę klee i pociągam potężny łyk, potem oferuję je Makri, jak gdyby nigdy nic.

Kasax wbija we mnie wzrok. – - Za dużo pijesz, grubasie. – - Czyżby?

Szukający wychodzą z sypialni. Jeden facet z Bractwa zaczyna mówić, ale chyba zapomina słów. Wyręcza go drugi. – - Nikogo, szefie, ma nie tam. – - Co to ma u diabła znaczyć: „Nikogo, szefie, ma nie tam”? – irytuje się Kasax.

Mężczyzna potrząsa głową.

–To znaczy nikogo tam nie ma, szefie.

Jeden ze strażników potwierdza skinieniem głowy.

–Przeszukajcie całątawernę – rozkazuje Kasax. Prefekt Toliusz nakazuje swoim ludziom to samo.

Kto by pomyślał? Zakłęcie zadziałało. Nikt obcy, kto wejdzie do pokoju nie będzie mógł tam znaleźć Quen.

Kasax podchodzi i staje przede mną. Jest ode mnie wyższy. Jego cera jest w kiepskim stanie. – - Jeśli ukrywasz tę dziwkę, masz poważne kłopoty, Thraxasie. Spaliła jedną z naszych tawem. Zabiła jednego z moich ludzi. Bractwo nie może pozwolić na coś takiego. – - Możecie jednak pozwolić, żeby jeden z waszych ludzi rzucił się na młodą kobietę – oznajmia Makri, która podchodzi i staje przed Kasaxem. Bandzior wzrusza ramionami. – - Musi się z tym liczyć, skoro wykonuje taką pracę. – - Naprawdę? Ja też pracuję w barze. Przyślij tu jednego ze swoich drani, niech spróbuje dobierać się do mnie – oczy Makri zwężają się lekko. Ciągłe ściska w rękę nóż.

Kasax jest zaskoczony, że młoda kobieta stawia mu czoło, ale niezbyt przejęty. – Słyszałem o tobie. Ty pewnie jesteś Makri. Po części człowiek, po części Elf, a po części Ork. Pod tymi włosami ukrywasz spiczaste uszy? – - Dlaczego sam nie sprawdzisz? – pyta Makri, która z pewnością go wypatroszy, jeśli tylko spróbuje ją dotknąć.

Kasax uśmiecha się szeroko.

–Słyszałem, że dobrze walczysz. Świetnie sobie radzisz z mieczem. Ale nie próbuj robić rzeczy, które do ciebie nie należą. Marnujesz tutaj swój talent, wiesz?

Chodź pracować dla mnie. Zarobisz kupę pieniędzy. Może starczy ci na studia.

Karlox wybucha śmiechem na myśl o Makri idącej na uniwersytet Ja jednak nie jestem całkiem pewien, czy oferta Kasaxa nie jest szczerą.

Makri wydaje się nieco poruszona, że Kasax wie o niej tak dużo. Nie odpowiada. W ręce nadal trzyma nóż, a całą uwagę koncentruje na swoich przeciwnikach. – - Czarownik twierdzi, że ślad dziwki prowadzi do tej tawerny, Thraxasie. – - Może się pomylił. Bractwo rzadko używa magii, prawda? – - Używamy jej, kiedy musimy. No więc gdzie jest Quen? – - Nigdy jej nie widziałem.

Grymas gniewu wykrzywia twarz szefa. Kiedy poszukiwania w tawernie nie dają żadnych rezultatów, przychodzi chwila pełna napięcia; Kasax patrzy na nas tak, jakby chciał zdecydować, czy powinien rozkazać teraz swoim bandzirom, aby nas zaatakowali.

Decyduje jednak, że nie.

Przed odejściem szef Bractwa informuje nas, że będziemy pod obserwacją i jeśli się okaże, że ukrywamy Quen, pozabija nas. Mówi to całkiem spokojnie.

–Niewątpliwie prefekt Toliusz osłoni mnie całą mocą prawa – podpowiadam.

Prefekt odchodzi bez słowa.

Kiedy wszyscy już odeszli, Makri dziękuje mi za pomoc i przeprosza, że sprowadziła na mnie te kłopoty. Lekceważąco macham ręką. Jestem zbyt znużony, aby się dalej gniewać. – - No, a na dodatek miło jest zagrać na nosie Bractwu. Wkurza mnie, że zawsze zachowują się tak, jakby byli tu najważniejsi. – - Myślałam, że są. – - W każdym razie mnie to denerwuje.

Soolanis przespała to wszystko i nadal nie zdradza oznak szybkiego powrotu do rzeczywistości. Wyjaśniam Makri, kim jest śpiąca kobieta i zastanawiam się na głos, co zrobimy z Quen. Na razie nie możemy jej nigdzie wyprowadzić, ale i pozostawienie

jej tutaj jest niebezpieczne. Moje zaklęcie nie oszuka na długo wścibskiego czarownika, chociaż to prawda, że Bractwo zazwyczaj najbardziej wierzy w skuteczność przemocy i zastraszania, najprawdopodobniej więc nie korzystają z usług fachowca dobrej klasy.

–Tak na marginesie, Makri, dlaczego położyłaś ją w moim łóżku? Czy nie byłoby jej wygodniej w twoim pokoju?

Zanim Makri zdążyła odpowiedzieć, otwierają się drzwi i pojawia się Mniszek. – - Już go namówiłaś? – pyta. – - Nie było czasu – wyjaśnia Makri. – Ja właśnie... mówiłam, że Mniszek może zostać na jakiś czas.

Jęczę. Mniszek zaczyna mówić o delfinach, ale ja już ruszam na dół. – - Piwo, Gurd, i to szybko. – - Kłopoty z Bractwem? – pyta Gurd, bo widzi, jaki jestem roztrzęsiony. – - Z Bractwem mogę sobie poradzić – odpowiadam. – To te siostrzyczki mnie dobijają.

Tuszę wysłać do Astratha Potrójnego Księżyca liścik z pytaniem, Czy można jakoś wzmocnić zaklęcie, aby zatrzymać Quen w ukryciu do czasu, gdy się zdecydujemy, co z nią zrobić. Sam nie mogę iść. Gdybym wyszedł i udał się prosto do znajomego czarownika łatwo byłoby się domyślić, jakie mam zamiary. Podobnie w przypadku Makri – a poza tym ona nie chce opuścić wieczornego wykładu z retoryki. Gurd i Tanrose nie mogą odejść od baru, a Palax i Kaby grają na ulicach. Na tym kończy się lista ludzi, którym mógłbym zaufać.

–Mniszek może pójść – podsuwa Makii.

Rzucam parę obraźliwych epitetów pod adresem Mniszka. Dodaję, że kobieta, która chodzi po Turai na bosaka z kwiatami we włosach, w praktycznych sprawach jest równie przydatna jak jednonogi gladiator na arenie.

–Ona stawia horoskopy delfinom, do cholery. Bractwo nie będzie jej podejrzewać.

To prawda. Wysyłamy więc Mniszka z wiadomością. – - Wiesz, Makri, dwa dni temu siedziałem sobie tutaj wolny jak ptak. Jak ja się w to wszystko wpakowałem? – - Wściekłeś się, bo prefekt Toliusz wyciągnął Grosexa z twojego pokoju.

Rzeczywiście. Ale ze mnie głupiec. Niczego nie musiałem robić. Nawet mnie nie zatrudniono, żebym coś zrobił. A teraz szukam dwutonowego posągu i żony zamordowanego rzeźbiarza. Przez co wplątałem się w sprawy Taliusza Zielone Oko i jego zapijacznej córki i to znowu wyłącznie z własnej winy.

–Ale Quen nie ma ze mną nic wspólnego. To ty mnie w to wplątałaś. Co ten karczmarz jej właściwie zrobił?

Makri nie chce podawać szczegółów, chociaż wydaje się przekonana, że spalenie tawerny i przy okazji samego karczmarza było odpowiednią zemstą. Ma nadzieję, że jeśli teraz uda jej się ochronić Quen przed niebezpieczeństwem, zajmie się nią któraś z bardziej wpływowych działaczek Ligi Kobiet Wyzwolonych, i być może dostarczy funduszy na opuszczenie Turai i osiedlenie się gdzie indziej.

Soolanis budzi się wreszcie, Makri właśnie wychodzi otulona w wielki płaszcz, który musi nosić w Kolegium Gilgii. Jej bikini z kolczugi nadmiernie rozpraszało uwagę zarówno studentów, jak i profesorów, najwyraźniej nawet męska tunika za mało zakrywała jej nogi.

–Co jest nie tak z tymi facetami? – narzeka Makri. – Jak nie to, to tamto.

Teraz muszę siedzieć w ostatnim rzędzie opatulona jak mumia tylko dlatego, że oni nie mogą się skupić na nauce.

Soolanis musi się napić. Daję jej trochę wody. Jeśli chce się zapić na śmierć to jej sprawa, ale musi zachować trzeźwość na tyle długo, żeby mi podać parę szczegółów sprawy.

Pije wodę z takim samym brakiem entuzjazmu, jaki ja wykazałbym w podobnych okolicznościach. – - Skąd to masz? – pyta nagle, zrywając się na nogi i wskazując sakiewkę Makri. – - Zdjęłam ją z szyi człowieka, którego zabiłam. – - Należała do mojego ojca – oznajmia Soolanis. – Jest na niej wyhaftowane jego imię.

Oglądam sakiewkę. I rzeczywiście, jest na niej wyhaftowane imię „Taliusz Zielone Oko” małymi literami w jednym z tajemnych alfabetów, zazwyczaj zarezerwowanych dla zaklęć. Powinienem był to zauważyć wcześniej, chociaż napis jest bardzo mały i łączy się z resztą ozdobnego haftu.

Soolanis jest bardzo podekscytowana. Ja jestem zaskoczony. Co łączyło mężczyznę, który wkroczył do baru i chciał mnie zabić, z Taliuszem Zielone Oko?

Proszę Makri, aby pożyczyła mi sakiewkę, więc ją zostawia. Quen nadal śpi w mojej sypialni. Zostawiam ją na razie w spokoju, ale kiedy nadejdzie noc, będzie musiała się przenieść do pokoju Makri. Nikomu nie oddaję swojego łóżka. Z nikim go też nie dzielę.

–No dobra, Soolanis. Powiedz mi wszystko, co wiesz o śmierci twego ojca.

Soolanis opowiada, że Taliusz ciągle miał kłopoty z pieniędzmi. W Pałacu Imperialnym nie był zbyt szanowany, pozostawał w cieniu innych czarowników i nawet interes polegający na stawianiu horoskopów pomniejszym arystokratom szedł coraz gorzej.

Mieszkanie w Thamlinie kosztuje i utrzymywanie willi przy ulicy Prawda jest Pięknem wkrótce wpędziło go w długi.

–Nie wiedział, gdzie się zwrócić, sięgnął więc po dwa. Dwa pomagało mu zapomnieć o finansowych problemach, ale jednocześnie je powiększało. Mniej pracy, więcej wydatków.

W końcu nie miał nawet dość odwagi, aby pójść do pałacu, jeśli nie zażył sporej dawki narkotyku, ale wówczas, kiedy tam dotarł, nie był oczywiście w stanie postawić horoskopu.

–Po jakimś czasie dwa przejęło kontrolę nad jego życiem. Mam wrażenie, że mniej więcej w tym samym czasie alkohol przejął kontrolę nad życiem Sooianis. Kiedy sąsiedzi zaczęli plotkować o Taliuszu, nie potrafiła stawić czoła światu bez pomocy alkoholu.

Chociaż Taliusz tak się stoczył, nigdy nie zakazano mu wstępu do pałacu. Można więc przypuszczać, że zanosił tam coś, co było bardzo potrzebne jakiejś ważnej osobie. Książę Frisen-Akan miał już wcześniej kłopoty ze względu na swoje upodobanie do dwa. – - Myślisz, że ojciec został zabity, bo nie był w stanie zapłacić handlarzowi? – - Prawdopodobnie. Tak bywa, prawda?

Twierdzi, że nie wie, kim był ten handlarz. Ponieważ Taliusz został zabity strzałem z kuszy, wpytuję ją o Sarin Bezlitosną, ale Sooianis nie zna tego imienia, i nie rozpoznaje jej z mojego opisu. Przez ostatnie cztery miesiące była tak zamroczone alkoholem, że niewiele pamięta z tego, co się wokół niej działo.

Patrzy smutnym wzrokiem na sakiewkę.

–Lubił ją. Zawsze ją nosił przy sobie. Masz może wino? Potrząsam głową. Nigdy w nim nie zasmakowałem. Przynoszę jej piwo, które również zostaje przyjęte.

–Powiedziałbym, że to niezwykle, żeby czarownik został zabity z powodu narkotykowych długów. Niemożliwe? Nie, jednak handlarz wolałby raczej dostać pieniądze, a w waszym domu na pewno były rzeczy, które twój ojciec mógłby sprzedać. Chyba że nie chodziło o mały dług za dwa na własne potrzeby. Może był winien o wiele więcej.

Czy on nim handlował?

Na myśl o tym, że jej ojciec mógł handlować dwa, w oczach Sooianis pojawiają się łzy. Przyznaje, że to możliwe, ale nie wie, czy tak było.

Zastanawiam się nad tym wszystkim. Jeśli Taliusz był w handlu dwa większą figurą, niż sądzi jego córka, to mogłoby wyjaśnić, dlaczego strażnicy ukrywają szczegóły

sprawy.

Narkotykowe skandale otarły się już o pałac, szczególnie był zaangażowany w nie książę Frisen-Akan, i władze nie chcą nowych problemów. Konsul Kaliusz już wcześniej musiał ukrywać przed obywatelami ułomności księcia. Równowagę turajskiej sceny politycznej łatwo zakłócić, a senator Lodiusz, lider antymonarchistycznych Popularów, chętnie chwyta się każdego skandalu, który może wykorzystać dla swoich celów.

Książę Frisen-Akan lubi dwa i nie mam wątpliwości, że w swoim kółku nie jest w tym odosobniony. Jeśli Taliusz Zielone Oko dostarczał im narkotyk, wyjaśniałoby to, dlaczego nie wyrzucono go z pałacu i jakim sposobem tak się zadłużył, że go w końcu zabito.

Przyjęcie dużej porcji dwa, za którą nie możemy zapłacić, to głupi błąd, który jednak popełniany jest zaskakująco często, z łatwym do przewidzenia skutkiem.

Rozważam właśnie możliwe konsekwencje faktu, że Taliusz dostarczał do pałacu dwa, kiedy przychodzi mi do głowy dziwna myśl. Dlaczego tak sobie cenil tę sakiewkę?

Niczym specjalnym się ona nie wyróżnia. Każda rzecz może mieć wartość sentymentalną, nie spotkałem jednak nikogo, kto byłby wyjątkowo przywiązany do swojej sakiewki.

Oglądam ją. Mała, zawiązywana na dwa sznurki, ot, typowa sakiewka na kilka guranów. Nie ma w niej miejsca na nic innego. Mamroczę słowo w starym języku czarowników, popularne zaklęcie otwierające. Wyczuwam, że powietrze lekko się ochładza.

Pociągam za sznurki, sakiewka się otwiera i nie przestaje się otwierać, aż otwór osiąga niemożliwe rozmiary.

Soolanis patrzy zdumiona, kiedy niewielki otwór sakiewki rozszerza się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie osiąga średnicę mego wyciągniętego ramienia. – - Co to jest? – pyta, oszołomiona nieprawdopodobieństwem tego, co właśnie widzi. – - Magiczna przestrzeń – wyjaśniam. – A raczej wejście do niej. To inny wymiar, cokolwiek to oznacza. To nie jest zwykła sakiewka, tylko magiczna kieszeń.

Zaglądam do wielkiej dziury, którą właśnie stworzyłem. Czuję chłód, kiedy zbliżam twarz do miejsca, gdzie zwykły świat przechodzi w magiczną przestrzeń. Wewnątrz wszystko ma kolor fioletowy i moje oczy muszą się przez jakiś czas przyzwyczajać.

Każda rzecz umieszczona w magicznej przestrzeni traci w praktyce swoją wielkość i ciężar. W ten sposób można na przykład bardzo wygodnie zabrać do pałacu dużą

torbę dwa.

Moje oczy przyzwyczajają się do dziwnego oświetlenia. Sięgam do sakiewki, wsuwając do niej całe ramię. Każdy, kto by się temu przyglądał, zobaczyłby, jak moja ręka po prostu znika.

Oczekuję, że pod palcami poczuję miękki proszek dwa. Tymczasem natykają się one na coś twardego, chłodnego i metalicznego. Wyciągam rękę i znów zaglądam do środka. To głowa.

Głowa z brązu. A za nią jest ciało. Ciało, które siedzi na koniu.

Cofam głowę z magicznej przestrzeni i patrzę na trzymaną w ręku sakiewkę. Nawet człowiek, który sam używa magii, czuje się nieco dziwnie, kiedy nagle zdaje sobie sprawę, że trzyma w dłoni dwutonowy posąg świętego Kwantyniusza.

–No, to wiele wyjaśnia – mruczę.

Jestem dość zadowolony z siebie. Strażnicy przetrząsają całe miasto w poszukiwaniu tego posągu. Szukają go czarownicy z Pałacu Sprawiedliwości. A tymczasem to ja go znalazłem. Co, jak sądzę, oznacza, że należy mi się teraz sowita nagroda. Dobra robota, Thraxasie. Nie tylko znalazłeś posąg, ale dzięki tobie będzie mogła się odbyć ceremonia religijna i załagodzony zostanie bardzo nieprzyjemny rozdzwięk w stosunkach między Turai i Nioj. Może nawet dadzą ci medal.

Co ważniejsze, prawdopodobnie znalazłem też zabójców Drantaaxa. Skoro dwaj mężczyźni, którzy zjawili się „Pod Mściwym Toporem” mieli ze sobą ten posąg, można założyć, że zabili rzeźbiarza, aby go zdobyć. Za późno, żeby ich przesłuchać, ale dzięki czarownikom z Pałacu Sprawiedliwości przesłuchanie nie zawsze jest konieczne.

Jeśli mężczyźni byli w warsztacie Drantaaxa, najprawdopodobniej coś z niego wynieśli, na przykład kurz. Dobry czarownik potrafi to znaleźć, a tym samym połączyć ich ze zbrodnią.

Muszę tylko kazać zbadać ciała.

Nie stracę czasu. Ciała pozostawione na ulicy Kwintesencji, zostały zabrane przez miejskich śmieciarzy. Poinfonnowałem strażników o tym, co się stało, ale pewnie nie przejęli się zbytnio śmiercią pary znanych przestępców. Zwłoki zostały zapewne wysłane do kostnicy w Dwudziestu Morzach w celu pochówku lub kremacji. Szczęśliwie się składa, że od czasu zamieszek kostnica ma opóźnienia. Żebracy, którzy umrą na ulicy, muszą teraz czekać na swoją kolej całe dwa tygodnie.

Kapitana Rallee znajduję na posterunku. Kiedy mówię mu, że w moim przekonaniu

znalazłem zabójców Drantaaxa, zadaje wiele pytań. Na większość z nich odmawiam odpowiedzi. – - Tak się więc zdarzyło, że dwaj faceci, którzy zaatakowali cię, Jod Mściwym Toporem” zabili również Drantaaxa? – mruczy podejrzliwie. – Jak to się stało, że dopiero teraz to odkryłeś? – - Nie mogę zdradzać moich źródeł, kapitanie. Wie pan o tym. Zresztą to stanie się nieistotne, kiedy ciała zostaną zbadane i okaże się, że ci ludzie są zabójcami rzeźbiarza. To będzie dla pana duże osiągnięcie. No i uwolnimy Grosexa od podejrzeń.

Kapitan mówi, że uwierzy, kiedy zobaczy. Idziemy do kostnicy. Kapitan wysłała zatrudnionego tam urzędnika na zaplecze, żeby zajrzał do akt. – - Nadal uważam, że zrobił to czeladnik. – - Ten mały biedaczyna? Kapitanie, czy według pana on wygląda na mordercę? – - Owszem.

Po jakimś czasie pracownik kostnicy wraca.

–Wczoraj skremowaliśmy ciała. Szczęka mi opada. – - Wczoraj? Co to znaczy wczoraj? Macie dwutygodniowe opóźnienie! – - Już nie. Prefekt Toliusz dał nam pieniądze na zatrudnienie nowych pracowników, Pozbyliśmy się zaległości. Konsul doszedł do wniosku, że najwyższy czas, aby doprowadzić miasto do porządku po zamieszkach.

Zwracam się do kapitana.

–Oni to naprawdę zrobili. Kapitan unosi brew.

–A teraz ich ciał już nie ma. Bardzo wygodne, Thraxasie. Słuchaj, wiem, że musisz próbować uratować swego klienta, ale ja jestem bardzo zajęty i nie mam na to czasu. Jeśli znowu będziesz się tłuł z innym bandytą, który jakimś cudownym sposobem okaże się zabójcą Drantaaxa, nie mów mi o tym.

Kapitan jest przekonany, że wszystko zmyśliłem. Prawdopodobnie podejrzewa, że najpierw sprawdziłem, czy już ich skremowano, a dopiero potem przyszedłem do niego ze swoją teorią.

–Byłeś dobrym żołnierzem, Thraxasie, ale jako detektyw radzisz sobie jak eunuch w burdelu.

Kapitan odchodzi, a ja zostaję, sfrustrowany, klnąc swego pecha; że też konsul akurat teraz musiał zdecydować, żeby dać więcej pieniędzy miejskim kostnicom. Jeśli ci dwaj naprawdę zabili Drantaaxa, wszystkie ślady zbrodni poszły z dymem. Wracam do tawerny „Pod Mściwym Toporem”. Co powinienem zrobić?

Nadal mam posąg, ale on sam niewiele mi pomoże. Przedtem myślałem, że mógłby być wskazówką, kto zabił Drantaaxa. Podczas przepychanki zabójca lub jego pomocnik zostawiliby ślady swojej aury, które mógłby odkryć czarownik. Teraz

sytuacja wygląda inaczej. Po pobycie w magicznej przestrzeni takie ślady będą nie do odtworzenia.

Z mądrości, których mnie uczono, zapamiętałem, że przedmioty materialne pozostają w niej nienaruszone, ale wszystkie magiczne energie, w tym aura, znikają. Choć to wspaniałe znalezisko, nie zbliżyłem się dzięki niemu do uratowania Grosexa. Skoro straciłem swoich głównych podejrzanych, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek dowiodę jego niewinności.

–Będę po prostu musiał dalej szukać – mruczę do siebie, kiedy zamawiani piwo.

Nawet jeśli ci dwaj świętej pamięci bandyci byli zamieszani w sprawę, wątpię, czy sami sterowali całą operacją.

Soolanis jest przy barze, zadaję jej więc jeszcze kilka pytań.

–Gdzie twój ojciec zdobył tę sakiewkę?

Soolanis nie wie. Sądzi, że przywiózł ją z podróży na zachód, kiedy był jeszcze młodym mężczyzną,

–To niezwykle rzadki przedmiot. Czy wiesz, że posiadanie czegoś takiego jest w Turai zabronione? O ile wiem, w mieście są tylko dwie i obie należą do króla.

Gdyby Taliusza z nią złapali, skończyłby na więziennej galerze.

Są zakazane, bo na myśl o nich król robi się niespokojny. Zbyt łatwo byłoby uzyskać audiencję, a potem nagle wyciągnąć ukryty w magicznej przestrzeni miecz. Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy w ten sposób zginął jakiś władca. Myślę jednak, że Taliusz niczym nie ryzykował, używając sakiewki do przemykania dwa do Pałacu. Czarownicy potrafią wykryć takie przedmioty, ale z trudnością i tylko wtedy, gdy specjalnie ich szukają.

Kto by się spodziewał, że taki hołysz jak Taliusz będzie miał tak rzadką i cenną rzecz?

Soolanis kończy piwo i rozgląda się za następnym.

–Tak więc, Soolanis, wygląda na to, że ktokolwiek zabił twojego ojca, zamordował również Drantaaxa. Miałem kilku podejrzanych, ale teraz znaleźli się poza moim zasięgiem.

Może maczał w tym palce jeszcze ktoś inny. Czy ktoś wiedział, że on ma tę sakiewkę?

Soolanis nie wie. Ona w ogóle niewiele wie. Chce tylko pić. Tawerna „Pod Mściwym Toporem” jest dla niej jak drugi dom. Proponuję, że znajdę powóz, który zabierze ją do Thamlina, ona jednak odpowiada, że wolałaby tu zostać. Jako córka czarownika z Thamlinu nigdy jeszcze nie była w tawernie w gorszej dzielnicy miasta. Podoba jej się tutaj.

–Nigdy przedtem nie piłam piwa. W domu zawsze podawano wino.

Zostawiam ją przy piwie i wracam po schodach do swego biura. Kiedy wchodzę, ktoś puka do zewnętrznych drzwi. Pytam, kto tam. Okazuje się, że trzech mnisi. W przeciwieństwie do tych, którzy odwiedzili mnie ostatnio, grzecznie pytają, czy mogą wejść. Mają na sobie żółte szaty. Dochodzę do wniosku, że są w porządku. To ci w czerwonych mnie obrabowali.

Wpuszczam ich. Dwaj młodzi, jeden stary i czcigodny. Młodzi stoją z szacunkiem, kiedy sprzątam jakieś śmieci z krzesła, żeby ich mistrz mógł usiąść. Pomimo bardzo podeszłego wieku porusza się szybko i bez trudności, a kiedy siada, jego plecy są proste jak kij od szczotki.

Wita mnie głosem o wiele mocniejszym, niż można by się spodziewać po takim starcu. Oto człowiek, który prowadził zdrowe życie. Wątpię, czy kiedykolwiek pił piwo czy palił thazis.

–Wybacz, że przyszliśmy nie zawiadamiając cię zawczasu o swoim przybyciu. Nie bywamy często w mieście i sądziliśmy, że najlepiej będzie po prostu sprawdzić, czy jesteś w domu.

Grzeczność zawsze budzi moje podejrzenia. Świdruję go wzrokiem. – - Jak mogę wam pomóc? – - Pragniemy cię zatrudnić, abyś znalazł posąg – oznajmia czcigodny mnich.

Ależ zbieg okoliczności! A ja mam ten posąg w kieszeni!

–Opowiedz mi o nim – żądam.

Stary mnich ma na imię Trezjusz. Czcigodny Trezjusz. Pozostałych mi nie przedstawiono. Nie jestem pewien, czy ci dwaj mnisi znajdowali się wśród tych, których widziałem walczących pod domem Taliusza. Z ogolonymi głowami i w żółtych szatach wszyscy wyglądają mniej więcej tak samo. Nie wspominam o tym wydarzeniu. Oni również.

Trezjusz opowiada mi interesującą historię melodyjnym głosem, który przywodzi na myśl miłego starego czarownika, mego dawnego nauczyciela. To on nauczył mnie lewitować.

W wieku piętnastu – szesnastu lat potrafiłem unieść się w powietrze na dziesięć centymetrów.

Niedługo się tym cieszyłem. Przypominam sobie, że utraciłem tę umiejętność zaraz po wypiciu pierwszego piwa.

–Jesteśmy członkami Świątyni Chmur. Mieszkamy i praktykujemy w klasztorze w górach.

Kiwam głową. W górach na północy, na granicy z Nioj, osiedliło się w izolacji wiele różnych grup religijnych. Minęło sporo czasu, odkąd tam ostatnio byłem – piętnaście lat czy coś koło tego – podczas ostatniej wojny z Niojanami. Budzą się wyraziste wspomnienia. Turai było wtedy potężniejsze i nie tylko dlatego, że ja służyłem wówczas w armii.

Obowiązek służby wojskowej obejmował wszystkich obywateli. Kiedyś byliśmy z tego dumni.

Ktoś, kto nie walczył za swój kraj, do niczego by w mieście nie doszedł. Teraz połowa obywateli wymiguje się od wojska dzięki łapówkom i król Reeth-Akan musi zatrudniać najemników.

Wielu senatorów nigdy nie miało w ręku miecza. W poprzednim pokoleniu byłoby to nie do pomyślenia. Kiedyś wpędzi nas to w kłopoty.

Pamiętam ten dzień, wysoko w górach, kiedy powstrzymaliśmy oddziały najeźdźców z Nioj, niszcząc jeden legion, a potem drugi. Stawiliśmy im czoło na przełęczu.

Był tam również kapitan Rallee, wówczas młody żołnierz, tak jak ja. Staliśmy w naszej falandze, trzymając w rękach długie włócznie, a kiedy te nam połamano, odpieraliśmy atak mieczami. I przegnalibyśmy ich, gdyby następne legiony nie

przedostały się przez inną przełęcz i nie zaszły nas od flanki. Potem był tylko krwawy odwrót i desperacka walka do samych bram naszego miasta. A jednak nawet tam udawało nam się ich powstrzymać pomimo wielkiej przewagi sił – już wtedy niojańska armia była cztery razy większa od naszej.

Wreszcie wepchnęli nas do miasta i rozpoczęli oblężenie, napierając z drabinami i wieżami oblężniczymi na każdy odcinek muru, podczas gdy my walczyliśmy o życie.

Nasi czarownicy wyczerpali swoje zaklęcia i chwycili za broń, aby dołączyć do obrońców.

Podobnie postępowały kobiety. Nawet dzieci się przyłączyły, ciskając z murów kamienie i dachówki na morze nieprzyjaciół, tłoczących się na dole. I wtedy właśnie, gdy tłum Niojan zaczynał już wlewać się przez nasze mury, nadeszła wieść, że ze Wschodu przez pustynię nadchodzi największa armia Orków, jaką kiedykolwiek widziano w historii świata.

Orkowie, pół-Orkowie, Trolle, smoki i czarownicy, bestie bez nazwy, a wszystko to pod wodzą Bhergaza Zaciekłego, ostatniego wielkiego wodza Orków, który zdołał zjednoczyć wszystkie ich nacje, aby ruszyły na zachód z zamiarem starcia nas z powierzchnią ziemi. W ten sposób wojna między Turai, Ligą Miast-Państw i Nioj zakończyła się nagle, niedawni wrogowie połączyli bowiem swe siły, aby w kolejnej desperackiej kampanii odeprzeć ogromną armię Orków. Kapitan Rallee i ja walczyliśmy ramię w ramię z Niojanami, którzy jeszcze dzień wcześniej próbowali nas zabić.

Wojna z Orkami była długa i krwawa. Przez całe miesiące toczyły się bitwy na naszej granicy i wokół naszych miast. Z pomocą Elfów w końcu ich przepędziliśmy, ale drogo nas to kosztowało. Populacja niektórych państw nigdy nie wróciła do normy, a kilka niegdyś pięknych miast zmieniło się w ruiny. Od tego czasu panuje niepewny pokój.

Podpisaliśmy nawet traktat z Orkami i wymieniliśmy ambasadorów, ale to długo nie potrwa. To nigdy nie trwa długo. Orkowie i ludzie zbyt się nienawidzą. Teraz Orkowie marnują siły na walkę pomiędzy sobą, ale kiedy tylko pojawi się kolejny wódz dość potężny, aby ich zjednoczyć, znów tu wrócą.

Na terenach górskich ziemia jest nieurodzajna, ale jest tam chłodniej niż w mieście.

To zapewne dobre miejsce na medytację. Odpędzam do siebie wspomnienia wojenne i skupiam się na opowieści mnicha.

Większość tamtejszych społeczności religijnych należy do Prawdziwego Kościoła, państwowej religii Turai, kilka jednak nie podlega jego władzy. Ponieważ Turai jest bardziej liberalne w sprawach religii niż niektóre inne państwa, zazwyczaj nie ma z

nimi problemu, pod warunkiem że ich przedstawiciele nie biegają po okolicy, głosząc herezje i wywołując rozruchy. Kiedy coś takiego ma miejsce, król wysyła tam batalion wojska i wypędza ich z kraju. Czyli chyba jednak nie jesteśmy aż tak liberalni w sprawach religijnych.

Nigdy jeszcze nie słyszałem o Świątyni Chmur. – - Istniejemy dopiero od niedawna. Do zeszłego roku ja i inni mnisi byliśmy członkami Świątyni Gwiazd. Niestety, nastąpił rozłam. Nie będę wchodził w szczegóły – nasza dysputa była natury teologicznej. Choć dla nas miała wielkie znaczenie, nie ma związku z tą sprawą. – - Pozwólcie, że ja zdecyduję, co ma związek, a co nie. – - Proszę bardzo. Dysputa kręciła się wokół kwestii związanych z naturą współistotności, czyli sposobu, w jaki boskość wiąże się z substancją, z której zbudowany jest świat doczesny. – - Dobra, daruj sobie te szczegóły. Co się wydarzyło, kiedy zaczęliście się spierać? – - Dysputa wywołała wielkie rozgoryczenie, co doprowadziło do podziałów między nami. Pojawiło się nawet niebezpieczeństwo walk. Jak zapewne wiesz, jesteśmy nie tylko mnichami, ale również wojownikami. Nauka walki to część naszego duchowego treningu, przygotowującego nas do rygorów kultu i obrzędów religijnych. W końcu, aby zakończyć ten straszny spór, wraz z kilkoma innymi mnichami opuściłem Świątynię Gwiazd, aby stworzyć własny klasztor, daleko od naszych dawnych braci.

Trezjusz był drugą pod względem ważności osobą w klasztorze, którego opatem był Iksjal Jasnowidz. Z jego opowieści wynika, że rozstanie odbyło się dość spokojnie, ja jednak mam wątpliwości. Żaden opat – nawet taki, któremu niewiele brakuje do świętości – nie jest zadowolony, kiedy połowa jego mnichów nagle odchodzi, żeby sprawować kult gdzie indziej.

Mam też podejrzenia co do prawdziwego powodu tej schizmy. Moje doświadczenie z naturą ludzką – przyznaję, oparte na znajomości jej najpodlejszych form – podpowiada mi, że w każdej organizacji spory o drobne szczegóły to zwykle wymówka, za którą kryje się prawdziwa walka o to, kto tu naprawdę rządzi. Według mnie Trezjusz chciał odebrać Iksjalowi władzę, a kiedy mu się to nie udało, odszedł razem z połową mnichów.

Zaczyna mnie już nudzić ta saga o skłóconych mnichach, kiedy Trezjusz nareszcie dochodzi do bardziej interesującej części swojej opowieści.

–Podczas zmagania, które miały miejsce przed naszym odejściem, posąg świętego Kwatyniusza stojący na dziedzińcu naszego klasztoru został zrzucony ze swego piedestału i zniszczony. To był ciężki cios dla nas wszystkich. Posąg był bardzo stary i przepięknie wykonany, wyrzeźbiony z marmuru pochodzącego z kamieniołomów w Juval. Dla klasztoru mnichów wojowników posiadanie statui świętego Kwatyniusza to sprawa najwyższej wagi.

Kwatyniusz to bojowy święty, który zginął w wojnie z Orkami kilkaset lat temu. W

rezultacie mnisi wojownicy uważają go za swego patrona.

–My ze Świątyni Chmur musieliśmy oczywiście założyć nowy klasztor, nie mając posągu. Zdajemy sobie z tego sprawę i zamówiliśmy już nowy. Ponieważ z Juval nie importuje się obecnie marmuru, zamówiliśmy u Drantaaxa posąg z brązu.

Unoszę brwi.

–Ukończenie go zajęłoby kilka miesięcy, ale teraz, kiedy Drantaax nie żyje, musimy zwrócić się do kogoś innego, co oczywiście oznacza dalszą zwłokę. Niewielu jest rzeźbiarzy o tak wielkim talencie, i zawsze mają oni dużo pracy. Dla naszego raczkującego klasztoru taka zwłoka to poważny cios. Czy zdajesz sobie sprawę, że za trzy tygodnie będzie miało miejsce Złączenie Trzech Księżyców?

Owszem, zdaję sobie sprawę. Z czasów, gdy uczyłem się na czarownika, nadal pamiętam dość, aby mieć rozeznanie w najważniejszych astrologicznych fenomenach.

To wielkie wydarzenie, gdy trzy księżyce ustawią się rzędem na niebie, co zdarza się raz na jakieś dziesięć lat. Mamy wtedy święto. Wszyscy śpiewają hymny i upijają się na wyścigach.

Zawsze mam z tego dużo przyjemności. – - Jeśli nie zdobędziemy posągu na czas Złączenia, czeka nas poważna utrata twarzy. – - Jak poważna?

Czcigodny Trezjusz zwraca się do swoich towarzyszy i daje im znak lekkim poruszeniem oczu. Mnisi kłaniają się i wychodzą. Kiedy zostajemy sami, Trezjusz pochyla ku mnie głowę.

–Niezwykle poważna. Bez posągu nie możemy odprawić ceremonii Złączenia. Jeśli do tego czasu Iksjal Jasnowidz naprawi ten w Świątyni Gwiazd, mnisi ze Świątyni Chmur mogą się znaleźć w trudnej sytuacji.

–Postawmy sprawę jasno: nie ma posągu, nie ma mnichów? Trezjusz potwierdza skinieniem głowy. – - Jednak Iksjal ze Świątyni Gwiazd też nie ma posągu. Czy oni również zamówili nowy? – - Sądzę że nie. Uważam, że to oni są odpowiedzialni za kradzież u Drantaaxa. – - Twierdzisz, że Iksjal, który jest opatem, mógł przymknąć oczy na zabójstwo Drantaaxa tylko dlatego, że chciał zdobyć dla siebie posąg? – - Bardzo prawdopodobne. Iksjal jest bezwzględny. Nie wierzę w to, że jego mnisi mogli wyprawić się do rzeźbiarza z zamiarem popełnienia morderstwa, ale kto wie, może coś poszło nie tak, kiedy próbowali ukraść posąg przeznaczony do sanktuarium? Iksjal mógł też wynająć innych ludzi, żeby ukradli posąg dla niego, i nie zdawał sobie sprawy, co się może wydarzyć. Tak czy siak, tymi dwoma przestępstwami – kradzieżą i morderstwem – Iksjal zadał mi druzgoczący cios. Śmierć Drantaaxa oznacza, że nasz święty Kwatyniusz nie będzie gotów na czas. Tymczasem Iksjal

może zdobyć nowy wspaniały posąg dla swego klasztoru.

Gdyby tak właśnie wyglądała sytuacja, kiedy nadejdzie święto Złączenia Trzech Księżyców, jego klasztor zdobędzie przewagę nad naszym. – - To znaczy, że przegrasz?

–Dokładnie. A nie chcę, aby moi ludzie wrócili do Iksjala. Zastanawiam się nad tą opowieścią. Biorę piwo ze skrzynki na półce, wypijam je i zastanawiam się dalej.

–Po co właściwie chcecie mnie zatrudnić? Jeśli znajdę posąg, nie mogę wam go oddać. Miał stanąć w sanktuarium i należeć do władz miasta.

Czcigodny Trezjusz zdaje sobie z tego sprawę. Nie przeszkadza mu, że posąg zostanie zwrócony władzom; po prostu nie chce, aby wpadł w ręce Iksjala. Najwyraźniej nie będzie tak źle, jeśli obie świątynie zostaną bez posągu. Jeśli jeszcze okaże się, że to Iksjal stał za zabójstwem Drantaaxa, a mnie uda się to udowodnić, za jednym zamachem pozbędziemy się również i jego. Trezjusz nie miałby nic przeciwko temu. – - Jeżeli jednak on za tym nie stoi, a ty oddasz posąg miastu, każdy z naszych klasztorów będzie mógł się rozwijać tak, jak na to zasługuje. – - Kiedy nikt nie odnajdzie posągu i trafi on do Świątyni Gwiazd, wtedy twoi młodzi mnisi wezmą nogi za pas?

Kiwa głową. – - Wiesz, że już jestem zaangażowany w tę sprawę? Nie zatrudniono mnie jednak, abym znalazł posąg, szukam mordercy Drantaaxa. – - Czy nie jest prawdopodobne, że podczas tego śledztwa odnajdziesz też posąg? – - Jasne, że to możliwe. Wsadzę też Iksjala do więzienia, jeśli się okaże, że to on jest odpowiedzialny za zabicie rzeźbiarza.

Czcigodnego Trezjusza nie martwi, że Iksjal mógłby trafić do więzienia.

Najwyraźniej uważa go za zdolnego do wszystkiego. Dysputa na temat współistotności musiała być bardzo zażarta.

Pytam go, czy domyśla się, gdzie teraz może znajdować się posąg. Mam go oczywiście w kieszeni, ale ciekawi mnie, ile Trezjusz wie o sprawie. – - Nie, sądzę jednak, że nie dotarł jeszcze do Świątyni Gwiazd. – - Dlaczego? – - Mam tam swoje źródła informacji.

–To znaczy, że masz tam szpiega? Nie odpowiada.

–Chcesz zatem Trezjuszu, abym uniemożliwił Iksjalowi zdobycie posągu i zatrudniasz mnie, żebym go znalazł i oddał władzom?

Kiwa głową. Nie widzę powodu, aby nie przyjąć od niego pieniędzy. Kiedy skończę z tym posągiem, dokładnie to zamierzam zrobić.

Biorę swoją zwyczajową trzydziestoguranową zaliczkę, a potem pytam Trezjusza, czy natknął się na mnichów ze Świątyni Gwiazd w czasie swego pobytu w Turai.

Twierdzi, że nie. To kłamstwo, bo widziałem, jak ze sobą walczyli.

–Jeszcze jedno. Dlaczego Iksjala nazywają Jasnowidzem? Czy to jakiś prorok?

–Niezupełnie. Jego wzrok sięga jednak bardzo daleko we wszystkich kierunkach.

Niewiele jest rzeczy, o których nie wie.

Trezjusz wychodzi. Na progu mija się z Mniszkiem. – Ładna szata – mówi Mniszek, patrząc z podziwem na żółte płótno.

Trezjusz uśmiecha się spokojnie i odchodzi. Dzięki treningowi bojowemu ma dość siły wewnętrznej, aby nie wzdrygnąć się na widok Mniszka. Ja patrzę na te bosa stopy i kwiaty we włosach i na nowo odżywa we mnie obrzydzenie.

–Astrath Potrójny Księżyc kazał ci powiedzieć, że na pewno będzie mógł pomóc – informuje mnie Mniszek.

Polubiła Astratha. Szczególnie spodobał się jej jego tęczowy płaszcz i kolorowy kapelusz, który zakłada na specjalne okazje.

–Nie jestem jednak pewna, czy dobrze zna się na gwiazdach. Nie uwierzył mi, kiedy powiedziałam, że wszyscy urodzeni w znaku smoka będą mieli szczęśliwy rok.

Obiecałam, że wrócę i porozmawiam z nim o tym.

Biedny Astrath.

Mniszek zaczyna bredzić o delfinach. Najwyraźniej naprawdę cierpią bez swego uzdrowicielskiego kamienia. Nie rozumie, dlaczego nie chcę się tym zająć. – - Bardzo się martwią, że odmawiasz pomocy. – - Ach tak? A skąd to wiesz? – - Powiedziały mi, oczywiście.

Defliny nie potrafią mówić. To tylko bajka dla dzieci. Oczami wyobraźni widzę Mniszka, jak stoi nad brzegiem morza i bełkocze coś w stronę zdumionych delfinów. Biedne zwierzaki. Mówię jej, że jestem zajęty i wypraszam z biura. Muszę się nad paroma rzeczami zastanowić.

Korzystając z rzadkiego momentu ciszy i spokoju, zaglądam do swej księgi zaklęć i wbijam sobie w pamięć zaklęcie nasenne. Magia ma tę nieszczęśliwą cechę, że zaklęcia nie utrzymują się w pamięci, niezależnie od tego, jak dobrym jesteś czarownikiem.

Gdy raz ich użyjesz, znikają i trzeba ich się znowu uczyć.

Nauczyłem się wreszcie zaklęcia nasennego i czuję się nieco lepiej. Mam nieprzyjemne wrażenie, że wkrótce będę miał do czynienia z mnóstwem mnichów wojowników. Kiedy zobaczę, jak skaczą w powietrze, aby kopnąć przeciwnika w głowę, nie mam zamiaru wdawać się z nimi w walkę wręcz. Każdy, kto będzie chciał mnie kopnąć z wyskoku, zaśnie smacznie jeszcze zanim spadnie na ziemię.

Pojawia się Quen. Wyizucam ją, dając jej do zrozumienia, że w moim pokoju jest widziana równie mile jak Ork na weselu Elfów.

–Idź się ukryć w pokoju Makri. Jeśli zabraknie ci tam miejsca, usiądź na ramionach Mniszka. Spytaj, czy potrafi przewidzieć, w jaki sposób uciekniesz z miasta.

Rozsiadam się z kolejnym piwem i zaczynam się zastanawiać nad różnymi rzeczami.

Makri jest pod wrażeniem, kiedy mówię jej o Trezjuszu. – To idealna sprawa dla ciebie, Thraxasie. Ktoś cię zatrudnia, abyś znalazł coś, co już znalazłeś.

Rozumiem, że rozciągniesz poszukiwania na kilka tygodni, żeby ci więcej zapłacił?

–Bardzo śmieszne, Makri. Nauka w Kolegium Gildii niezwykle wzmocniła twój sarkazm. Nie powiedziałem mu, że mam ten posąg, bo jeszcze z nim nie skończyłem.

Pamiętaj, że nadal staram się oczyścić z zarzutów Grosexa. Posąg to dowód.

Makri jest jeszcze bardziej zdumiona, kiedy pokazuję jej wielki posąg w małej sakiewce.

–Podoba mi się ta magiczna przestrzeń. Wszystko fioletowe. Możemy tam wejść?

–Absolutnie nie. Wchodzenie do magicznej przestrzeni to bardzo zła rzecz. Mój nauczyciel tego zabraniał. – - Myślisz, że ten Iksjal Jasnowidz rzeczywiście zabił Drantaaxa? – - Nie wykluczam, że za tym stoi. Mnie to nie przeszkadza. Jeśli zdołam to udowodnić, wydostanę Grosexa z więzienia i zagram na nosie prefektowi Toliuszowi. Ale to nie wyjaśnia, jak posąg znalazł się w sakiewce. Jeśli bandyci, którzy próbowali mnie zabić, pracowali dla Iksjale, dlaczego nie oddali mu posągu? – - Może nie mogli się doczekać, kiedy cię zaatakują. – - Być może. Taki właśnie ze mnie facet. Ale jak to się stało, że mieli ze sobą sakiewkę z posągiem?

–Może to przypadek? – podsuwa Makri. – Może jąukradli albo kupili w jakiejś tawernie? Ktoś, kto zabrał jąTaliuszowi Zielone Oko, mógł przecież nie wiedzieć, co zawiera.

Możliwe. Byłby to zadziwiający zbieg okoliczności, jednak to całkiem prawdopodobne, że mój dawny wróg obrabował Taliusza, a potem ruszył do Dwudziestu Mórz, aby się tu zaszyć na jakiś czas. Nie jestem jednak przekonany. Dochodzę do wniosku, że Soolanis myli się, sądząc, że jej ojca zabito z powodu narkotykowych długów.

Zapewne główną przyczyną była właśnie ta sakiewka. Co oznacza, że jego zabójcajest osobą bezwzględną, skoro zamordował kogoś tylko po to, żeby mieć sposób na wywiezienie posągu z miasta bez niczyjej wiedzy. – - Mam tu do czynienia z brutalnym mordercą, Makri. Zabił czarownika i głównego rzeźbiarza w mieście. Wiesz, że Taliusz zginął od strzału z kuszy? – - Myślałam, że otruł go służący. – - W ten sposób władze starały się zatuszować sprawę. Taliusz miał powiązania z hadlarzami dwa i prawdopodobnie dostarczał je księciu Frisen-Akan. Konsul Kaliusz nie chciałby ponownie przypominać ludziom o tym skandalu. Zaledwie dwa miesiące

temu wieść o nałogu księcia o mało nie dostała się do wiadomości publicznej. Pamiętajsz pewną bezwzględną morderczynię z upodobaniem do kuszy?

–Jasne. Sarin Bezlitosna.

Sarin Bezlitosna. Wykurzyłem ją z miasta wiele lat temu, kiedy jeszcze była mocna tylko w gębie. Niedawno jednak powróciła. W ciągu czterech lat spędzonych w klasztorze z grupą mnichów wojowników podszlifowała swe bojowe umiejętności i stała się dużo bardziej niebezpieczna. Przypominam Makri o jej powiązaniach z mnichami, a ona zgadza się, że być może mamy do czynienia z Sarin.

–I chcesz znów się z nią zmierzyć po tym, co było ostatnio? – - A co mianowicie „było ostatnio”? – pytam. – - Chyba wtedy wygrała? Prycham na samą myśl o tym.

–Wygrała? Ze mną? Litości! Pozwoliłem jej uciec tylko dlatego, że byłem zajęty innymi sprawami, na przykład ratowaniem Turai przed zagładą. Jeśli znów się tu pokaże, spadnę na nią jak kłątwa. Poza tym puszczenie jej wolno było mądrym posunięciem.

Dostanę większą nagrodę, jak ją teraz przygwożdżę. Żadna krótko ostrzyżona morderczyni z kuszą nie wymknie mi się dwa razy.

Makri zapala pałeczkę thazis, parę razy się zaciąga i podaje ją mnie. Nalewam nam obojgu Idee. Oczy Makri zachodzą łzami, bo Idee pali jej gardło. – - Dlaczego pijesz to świństwo? – pyta. – W więzieniu dla niewolników wybuchłyby zamieszki, gdyby spróbowali nam dać coś takiego. – - To jest pierwszorzędne Idee. Jeszcze szklaneczkę? – - Dobra.

Na zewnątrz zaczyna się zamieszanie, bo murarz wdaje się w sprzeczkę z architektem.

Majstrowie skarżyli się podobno swoim gildiom, że dostają kiepskie materiały, co nie jest niespodzianką. Król otworzył podwoje publicznego skarbcza, aby opłacić remonty, ale kiedy pretorzy, prefekci, urzędnicy i Bractwo wzięli już swoje działki, wątpię, czy zostało coś na dobry kamień czy marmur. – - Wiesz co, Makri, ta cała sprawa śmierdzi. Według czcigodnego Trezjusza Świątynia Chmur potrzebuje posągu, ponieważ młodzi mnisi uważają, że opat bez posągu świętego Kwatyniusza jest bezużyteczny jak eunuch w burdelu. Chyba jednak w to nie wierzę. Bo dlaczego Trezjusz o tym nie pomyślał, zanim uciekł i założył własną świątynię? – - Trezjusz twierdzi, że zamówił posąg u Drantaaxa. Iksjal mógł zabić rzeźbiarza, aby uniemożliwić mu ukończenie posągu, albo żeby go ukraść dla siebie.

Zapomniałem o tym. Ale i tak wydaje mi się to wątpliwe. – - Może to i prawda. Przecież czcigodny Trezjusz skłamał mówiąc, że nie spotkał się w mieście z czerwonymi mnichami. A jeśli po prostu chce zdobyć posąg dla swojego klasztoru i

wykorzystuje mnie, abym go dla niego znalazł? To nie byłby pierwszy raz, kiedy przestępca próbuje mnie wykorzystać, abym coś dla niego znalazł. Nawet nie dziesiąty, jeśli o to chodzi. – - Tak to jest, kiedy ktoś jest dobry w odnajdywaniu różnych rzeczy. Ale ponieważ masz już posąg, nie muszę się martwić o szczegóły. Pilnuj tylko, żeby Trezjusz go nie ukraść.

A co robisz w sprawie Grosexa? Słyszałam, że proces zaczyna się za dwa dni.

Marszczę czoło. Nagle znów zwracam uwagę na upał i suche, duszne powietrze. W tym przeklętym mieście jest tak każdego lata. Właśnie kiedy myślisz, że już nie może być goręcej, żar się nasila. Dwa śmierdziuszki opadają na parapet, zbyt znużone, aby lecieć dalej.

Wbijam w nie ponure spojrzenie. Nie lubię tych ptaków.

–Miałem nadzieję, że Astrath znajdzie na posągu aurę zabójcy, ale ponieważ rzeźba przebywała w magicznej przestrzeni, okazało się to niemożliwe. Dlatego pozostaje mi tylko powrót do przyziemnego zajęcia szukania świadków. Muszę porozmawiać z żoną Drantaaxa.

Być może uda mi się połączyć jej wersję z tym, co powiedział mi Trezjusz, i dzięki temu łatwiej zdobędę dowody przeciwko Iksjalowi Jasnowidzowi.

To dziwne, że Kalia jeszcze się nie pojawiła. W naszym mieście nie jest tak łatwo się ukryć, chyba że ktoś dobrze zna się na zacieraniu śladów. Nie wyobrażam sobie, żeby ona była taką osobą. Nie ma tutaj oprócz brata innych krewnych i przyjaciół, gdzie zatem miałyby pójść? Wynajęcie mieszkania kosztuje. Poza tym strażnicy to sprawdzali. – - Muszę z nią porozmawiać. Niewykluczone, że ona wie, kim był morderca, i boi się powiedzieć. – - Skoro wiedziała, kim jest morderca, może facet doszedł do wniosku, że i ją warto zabić – podsuwa Makri. Muszę przyznać, że istnieje taka możliwość. Jednak obraz w kuriyi sugerował, że kobieta żyje i mieszka w białej willi. W Thamlinie takich willi jest wiele.

Ktokolwiek zabił Drantaaxa musiał mieć przy sobie magiczną sakiewkę do ukrycia posągu, co dowodzi, że wcześniej zabił Taliusza. W głowie mi się mąci. Zauważam, że znów zaangażowałam się w zbyt wiele spraw naraz – to taki mój niezdrowy zwyczaj.

–Nie pytaj mnie więc o delfiny. Nie mam czasu, żeby nawet o nich pomyśleć. I zabierz mi z oczu Quen. Bractwo wzmogło poszukiwania. Musimy mieć nadzieję, że Astrath Potrójny Księżyc naprawdę zdoła wzmocnić zaklęcie i utrzyma ją w ukryciu. Być może uda nam się przeprowadzić ją gdzieś za dzień lub dwa, jak będzie spokojniej.

Makri słyszała, że Cech Karczmarzy skarżył się wśród wysoko postawionych osób na to, że strażnicy nie zdołali znaleźć zabójcy. – - Domagają się, aby Pałac

Sprawiedliwości przydzielił do tej sprawy dobrego czarownika. – - Świetnie. Gdzie to słyszałaś? – - Na spotkaniu Ligi Kobiet Wyzwolonych. Jedna z naszych członkiń pracuje jako kucharka w Pałacu Sprawiedliwości.

Warczę. Karczmarze nie mają w Turai zbyt wysokiej pozycji społecznej, ale ich cech ma zadziwiająco dobre układy. A może nie jest to tak zaskakujące? Nawet pretorzy i senatorzy lubią sobie od czasu do czasu wyskoczyć na drinka. A ponieważ Cech Karczmarzy prowadzi różne wspólne interesy z Bractwem i Towarzystwem Przyjaciół, nie jest bezpiecznie z nimi zadzierać. Jeśli i Straż Obywatelska się do tego zabierze, znajdę się w niezłych tarapatach.

A są jeszcze mnisi. I być może Sarin Bezlitosna. Człowiek o mniejszym hartie ducha mógłby się załamać. Idę na dół po porcję gulaszu Tanrose i więcej piwa. Jeśli mam znaleźć żonę Drantaaxa, potrzebuję mnóstwa energii.

Makri ma wolne do następnego wieczora. Zamierzała spędzić ten czas na przygotowaniu przemówienia na lekcję retoryki. Jej wysiłki budzą pewne rozbawienie „Pod Mściwym Toporem”, gdzie różne indywidua bez serca (na przykład ja) zwracają uwagę, że głos Makri, doskonały do wykrzykiwania gróźb na arenie, nie jest przystosowany do pięknej sztuki oratorskiej. Makri ignoruje szyderstwa, ale zgadza się odłożyć naukę i wyjść ze mną.

Mówi, że ostatnio brakuje jej ruchu i ocalenie mnie przed bandą niebezpiecznych mnichów wojowników będzie doskonałym ćwiczeniem.

Biorę miecz i wsadzam nóż do małej pochewki ukrytej po wewnętrznej stronie pasa.

Makri ma przy boku swoje miecze, które nieco przysłania płaszcz, a do każdego buta wsuwa nóż. Jak zwykle nie czuje się całkiem pewnie bez swojego topora, ale on nazbyt rzuca się w oczy. Z prawnego punktu widzenia nie ma powodu, dla którego kobieta nie może chodzić po Turai z toporem, ale na co dzień raczej się tego nie widuje. Makri w pełnym rynsztunku – gibka, mocna, najeżona ostrzami – to bardzo niepokojący widok dla Straży Obywatelskiej.

Często ją zatrzymują i zadają pytania, co nie jest wygodne, kiedy prowadzimy dochodzenie.

Poza tym odmawiają nam prawa wstępu do bardziej eleganckich lokali.

Makri nadal narzeka, kiedy ruszamy przez wyboje, rybie głowy i inne śmieci zalegające ulicę Kwintesencji. – - Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać topór. Pewnego razu walczyłam na arenie z czterema Orkami; mój pierwszy miecz się złamał, a drugi zaklinował w klatce piersiowej jednego z nich. Pozostałych dwóch musiałam wykończyć nożem, a kiedy pchnęłam ostatniego, ostrze noża też się złamało. To się nazywa pech, nie?

Właściwie to mogła być magia, bo w tym czasie byłam już Najwyższą Mistrzynią, więc niektórzy właściciele zaczęli być zazdrośni o moje sukcesy i źli, że tak zabijam ich gladiatorów. I właśnie wtedy, kiedy nie miałam już broni, wystawili tego ogromnego Trolła z trzymetrową włócznią i maczugą wielkości człowieka. Sam widzisz. – - Co widzę? – - Że nigdy nie należy wychodzić bez topora. – - Będziemy po prostu musieli wierzyć, że na końcu ulicy Kwintesencji nie spotkamy gigantycznego Trolła. No i co dalej? Zabiłaś go gołymi rękami? – - Nie. Trolle są na to zbyt silne. Wskoczyłam na górę, na balkon, gdzie siedział orkijski możnowładca. Jego ochroniarz rzucił się w moją stronę, zabrałam mu więc miecz, dźgnęłam go tym mieczem i skoczyłam z powrotem na arenę. Po tym wszystkim Troll był dezorientowany i mogłam go posiekać na kawałki. Ten orkijski możnowładca wściekł się, że zabiłam jego głównego ochroniarza. Pozostali ochroniarze, ośmiu drabów w kolczugach, zaczęli zeskakiwać na arenę. Przez jakiś czas walka była ostra, bo wszyscy mnie ganiłi, a ja miałam do obrony tylko jeden miecz. Ale kiedy wykończyłam kilku zdołałam zabrać jeszcze jeden, a gdy już miałam po mieczu w każdej ręce, po prostu ich wykosiłam.

Szkoda, że nie widziałeś tego tłumu. Wszyscy po prostu oszaleli, zerwali się na nogi i dostałam najdłuższą owację w historii walk gladiatorów.

Zerkam na Makri kątem oka. Kiedy jakiś rok temu zjawiała się w Turai, w ogóle nie potrafiła kłamać. Ale w ostatnich czasach wiele się nauczyła, szczególnie ode mnie. – - Ta opowieść na pewno jest prawdziwa? A może po prostu ćwiczysz swoje przemówienie na lekcję retoryki? – - Oczywiście, że jest prawdziwa. Dlaczego nie? Myślisz, że nie jestem w stanie pokonać trzynastu Orków i Trolła? A wiesz, rzeczywiście byłoby z tego dobre przemówienie. – - Na jaki temat macie przemawiać? – - Pokojowe życie w pełnym gwałtu świecie. – - Życzę szczęścia. – - Będzie mi potrzebne. Nie poradziłam sobie najlepiej na ostatnim egzaminie z retoryki.

Jedziemy powozem przez miasto. Ulice są gorące jak orkijskie piekło i chociaż zbliża się wieczór, upał nie słabnie. Wpadamy do kamienicy, gdzie Grosex mieszkał samotnie w małym pokoiku. Żaden mieszkaniec budynku nic o nim nie wie. Sąsiedzi rzadko go widywali i nie sądzą, żeby gdzieś miał krewnych. Mają też nadzieję, że zostanie powieszony. Bądź co bądź, właśnie zamordował naszego najslynniejszego artystę.

Przeszukuję jego pokój, bez rezultatów. Nie znajduję nic, co by mnie zainteresowało.

Po prostu obskurny pokoik czeladnika, którego nie stać na nic lepszego. Podłoga jest goła, ściany zakopcone dymem ze świeczki. Z góry dochodzą wrzaski niegrzecznego dziecka i histeryczne krzyki zdenerwowanej matki. Przebiega mnie dreszcz.

–Wynośmy się stąd. To mnie dobija.

Biedny Grosex. Żadnych przyjaciół ani krewnych. Mieszka sam w tym żalonym pokoiku. Nic dziwnego, że ucieszył się z urozmaicenia, jakim był romans z żoną Drantaaxa.

Ruszamy na Północ, aby spotkać się z Lisutaris Kochanką Niebios. Lisutaris to potężna czarownica, nie związana z żadną oficjalną instytucją w Turai. Posiada duże niezależne dochody, nie musi więc pracować w Pałacu Sprawiedliwości ani w Pałacu Imperialnym, stawiać horoskopów czy produkować amuletów dla osób prywatnych. Co się dobrze składa, bo Lisutaris przez cały dzień pali thazis w fajce wodnej i jest nieustannie zamroczona.

Kilka miesięcy temu udzieliłem jej pomocy, może będzie więc gotowa pomóc teraz mnie, choć niezbyt na to liczę. Makri jest nastawiona bardziej optymistycznie.

Kilka razy widziały się na spotkaniach Ligi Kobiet Wyzwolonych i czarownica wydała jej się dość przyjazna, w przeciwieństwie do niektórych wysoko urodzonych kobiet, które Makri mogłaby wymienić. Nawet wśród członkiń Ligi znajdują się osoby uprzedzone wobec kobiet mających w żyłach krew Orków. Kilka żon senatorów odmówiło przebywania w tym samym pokoju co ona.

Nasz powóz zatrzymuje się w wąskiej uliczce, bo wielki wóz wypełniony warzywami zatarasował nam drogą. Woźnica wykrzykuje kilka obraźliwych słów pod adresem swojego kolegi. Bez rezultatu – facet zniknął, a wóz z warzywami nadal stoi tam, gdzie stał. Kiedy woźnica zastanawia się, czy zaryzykować nawrót w ciasnym zaułku, my rozglądamy się dookoła. Za nami stoi pięciu mnichów w czerwonych szatach, którzy dzięki temu prostemu manewrowi złapali nas w pułapkę. Patrzą na nas z pełnym spokojem. Mnich stojący naprzodzie, mały człowieczek o chłopięcych rysach, macha ręką na powitanie.

Makri i ja zeskakujemy z powozu, aby stawić im czoło. – - Czego chcecie? – pytam. – - Posągu świętego Kwatyniusza – odpowiada mały mnich całkiem spokojnie.

Dostrzegam, że pomimo upału nie poci się tak jak wszyscy. – - Co to ma wspólnego ze mną? – - Wiemy, że ty go masz.

Zaczyna we mnie wzbierać złość. Co on sobie myśli, zatrzymując mój powóz, kiedy zajmuję się śledztwem? Mówię mu, żeby poszedł do diabła. Nie idzie. Stoi sobie po prostu spokojnie, co jeszcze bardziej mnie rozsierdza. Staram się go zepchnąć z drogi, ale on w jakiś sposób unika mojego pchnięcia. Zupełnie tracę panowanie nad sobą i próbuję go walnąć w tę irytująco spokojną twarz.

Unika ciosu, a potem uderza – nie mnie, lecz grubą drewnianą deskę z tyłu powozu.

Ku mojemu zdumieniu pod pięścią małego człowieczka deska łamie się na pół, aż drzazgi lecą w powietrze.

–Gdzie jest posąg? – pyta mnich.

Próbuję wyciągnąć miecz, ale zanim zdążyłem wysunąć go z pochwy, mnich wali mnie pięścią, a ja lecę w tył i wpadam na powóz. Jakiś drąg trafia mnie w żebra i przewracam się na ziemię, z trudem łapiąc oddech.

Makri dochodzi do wniosku, że to wystarczająca prowokacja, i wyciąga oba miecze.

Mnisi wyjmują noże o dziwnym kształcie, z długimi zakrzywionymi gardami przy rękojeściach, aby blokować ciosy mieczów Makri. I rzeczywiście udaje im się przed nią obronić, czego nigdy jeszcze nie widziałem. Poruszają się z szybkością błyskawicy i wkrótce ją otaczają. Chociaż udaje jej się zranić jednego z przeciwników w ramię, pada na ziemię na skutek kopnięcia z tyłu, na uniknięcie którego nie miała dość miejsca. W jednej chwili zrywa się jednak na nogi, wymierza solidnego kopniaka jednemu z przeciwników, skacze ku najbliższej ścianie, aby już nie mogli zająć jej od tyłu, i zasłaniając się tarczą nie do przebicia złożoną z dwóch mieczy czeka, aż na nią ruszą.

Podnoszę się z ziemi i przechodzę kilka metrów dalej, aby Makri nie zasłaniała mi mnichów. W rękę trzymam miecz, a mając obok siebie Makri zawsze jestem gotów stawić czoło pięciu przeciwnikom naraz. Teraz jednak nie mam czasu, a poza tym jest za gorąco.

Używam zaklęcia nasennego. Pięciu mnichów natychmiast osuwa się na ziemię.

Makri patrzy na mnie gniewnie – wiem, że uznaje magię za niehonorowy sposób walki – ale nie protestuje. Nie przywykła do zmagania z wojownikami, którzy są w stanie wymierzyć jej kopniaka i wydaje się nieco zdumiona.

Nasz woźnica jest więcej niż zdumiony. Biedak trzęsie się ze strachu.

Pytam go, czy potrafiłby usunąć wóz z warzywami, który blokuje nam drogę.

Chętnie wskakuje na konia i chwyta lejce, podczas gdy ja obszukuję mnichów. Nie znajduję niczego.

Ich ubrania nie mają kieszeni i żaden z nich nie nosi torby. Tylko te dziwne noże. Makri zabiera wszystkie pięć do swojej kolekcji.

Droga jest już wolna. Zostało nam tylko kilka minut do chwili, gdy mnisi się obudzą (może nawet mniej, jeśli mają silne organizmy, a tak zapewne jest), ruszamy więc tak szybko, jak to możliwe przez zatłoczone ulice.

Makri jest nadal wściekła.

–Złóćisz się, bo ich uśpiłem? Potrząsa głową.

–Nie. Złószczę się, bo ich nie doceniłam. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam, aby ktoś mnie kopnął od tyłu.

Potem milczy ponuro aż do końca podróży.

–Nie przejmuj się – pocieszam ją. – Niewątpliwie wkrótce znów ich spotkasz.

Będziesz miała wiele okazji, aby im się zrewanżować.

Lisutaris Kochanka Niebios jest mniej więcej w tym samym wieku co ja, ale lepiej się trzyma. Podejrzewam, że czarownice mają własne tajemne sekrety kosmetyczne, dzięki którym walczą z czasem, ale nigdy nie podzieliły się nimi ze mną. Lisutaris ma długie jasne włosy, splecione w warkocze udrapowane na głowie i spływające na plecy. Całą fiyzurę utrzymuje na miejscu tiara, srebrna, wysadzana perłami, w stylu preferowanym przez arystokratki.

Dobrze urodzone turajskie kobiety poświęcają swoim włosom dużo czasu i wysiłku.

Makri, ze swoją ogromną niesforną grzywą, udaje, że tym pogardza. Nie można jednak zaprzeczyć, że fiyzura Lisutaris wygląda całkiem twarzowo, podobnie jak jej tęczowy płaszcz, lepiej skrojony i z lepszego materiału niż standardowy ubiór czarownika.

Ostatnim razem, kiedy tu byłem, na zewnątrz wyły tłumy pragnące spalić willę, a całą podłogę pokrywały ciała rannych czarowników. Lisutaris również leżała nieprzytomna na podłodze, ale nie z powodu ran, tylko pod wpływem thazis. W jej warsztacie znalazłem zaklęcie, które sprawia, że rośliny rosną szybciej. Wyjaśnia to, jak sądzę, dlaczego może ona spędzać większość czasu uczipiona wielkiej fajki wodnej, wdychając dym narkotyku ze swych specjalnie wyhodowanych zbiorów.

Thazis jest nadal nielegalne w Turai. Jeszcze jakieś sześć lat temu strażnicy gorliwie szukali takich palaczy, choćby tylko po to, aby skonfiskować narkotyk i wypalić go w ukryciu. Senatorzy wygłaszali płomienne mowy przeciwko używaniu thazis, winiąc je za moralny upadek młodzieży naszego kraju. Jednak odkąd dwa zalało miasto, nikt się już nim nie przejmuje. Większość ludzi uważa thazis za łagodny środek relaksujący i prosty sposób na codzienne kłopoty, chociaż niewielu jest takich entuzjastów jak Lisutaris. W pewnych kręgach słynie ona z tego, że wynalazła nowy rodzaj fajki wodnej. Ale mogło być gorzej.

Przynajmniej nie jest uzależniona od dwa, co zdarza się często wśród naszych czarowników.

Kiedy przybywamy, jesteśmy powitani dość gościnnie. Służący prowadzi nas przez długie korytarze do dużego, przestronnego pokoju, gdzie na ścianach wiszą zielonozłote elfijskie gobeliny, a rośliny doniczkowe otaczają wykuszowe okno, za którym widać rozległe ogrody. W Thamlinie wszyscy mają rozległe ogrody i zatrudniają w nich brygady ogrodników. Kto tego nie ma, traci swój status. Kolejny służący przynosi nam wino i oznajmia, że Lisutaris zaraz zejdzie.

Sądząc po wyglądzie willi, Lisutaris poszła za panującą w Thamlinie modą i zatrudniła dekoratora wnętrz, prawdopodobnie z Attical. Pamiętam czasy, kiedy w

domach czarowników wszędzie leżały porzrzucone różne magiczne przedmioty i nawet największa liczba służących nie była w stanie doprowadzić ich do porządku. Jednak modnej damie, takiej jak Lisutaris, to już nie wystarcza. Odkąd Turai zaczęło się bogacić na kopalniach złota, wszyscy mieszkańcy Thamiina o wiele bardziej zwracają uwagę na modę. Kiedyś senatorzy zdobywali prestiż dzięki odwadze na polu walki. Teraz osiągają go dzięki modnym bawialniom i świetnie utrzymanym ogrodom. Nie aprobuję tego, no, ale ja mam przestarzałe poglądy.

Nie jestem całkiem pewien, jak przedstawić Lisutaris moją prośbę. Nie wypada prosić czarownika, aby kogoś znalazł, jeżeli nie wykonuje on takich usług odpłatnie, co jest rzadkością. Za wyjątkiem dziwaków i wyrzutek, którzy, tak jak ja, nigdy nie ukończyli nauki, albo tak jak Astrath Potrójny Księżyc popadli w niełaskę, czarownicy w Turai rzadko prowadzą prywatne interesy. Zawyczaj pracują oni dla króla lub konsula, albo prowadzą typowy tryb życia leniwego przedstawiciela klas wyższych, który w żadnej sferze nie musi się wysilać. Uważają się za zbyt ważne figury, aby prowadzić śledztwo – takie zajęcia zostawia się Straży Obywatelskiej. Albo mnie. Podobnie jak reszta obywateli, czarownicy bardzo zwracają uwagę na swoją pozycję społeczną.

Wbrew zapowiedziom oczekiwanie na Lisutaris wydłuża się. Wkrótce tracę cierpliwość. Wino jest doskonałe, ale zanadto mi się spieszy, żeby się nim rozkoszować.

Makri sztywno siedzi na krześle i wciąż ponuro дума o tym, że pozwoliła, aby ktoś ją kopnął.

–Rozchmurz się, Makri. To, że jesteś świetnym wojownikiem nie znaczy, że musisz pozostać niezwyciężona. Było ich pięciu, wszyscy specjalnie wyszkoleni.

Niektórzy z tych mnichów całe życie spędzają w klasztorze i nie robią nic innego, tylko modlą się i walczą.

–Będą mieli o co się modlić, kiedy następnym razem się spotkamy – obiecuje Makri, a potem mamrocze pod nosem kilka ponurych zapowiedzi, co mianowicie czeka mnichów.

Nareszcie pojawia się Lisutaris. Wzrok ma nieobecny. Służący prowadzi ją do krzesła, starając się ukryć fakt, że tylko dzięki jego pomocy kobieta trzyma się prosto.

Wzdycham. Co takiego jest w pracy czarownika, że ci ludzie posuwają się do aż takich ekscesów? – - Może państwu coś przynieść? – pyta służący. Dostrzegam, że mój puchar jest pusty. – - Drugą butelkę wina, jeśli można.

Wzrok Lisutaris wreszcie koncentruje się na nas. Kiedy dostrzega Makri, uśmiecha

się. – - Witaj..? – - Makri. – Witaj, Makri.

Czarownica patrzy na mnie. Widzę, że mnie nie pamięta. Przypominam jej o zamieszkach. – - To ja dałem ci po twarzy. Nie zabrzmiało to najlepiej. – - Aby cię otrzeźwić. Żeby zgasić ogień. Lisutaris patrzy na mnie pustym wzrokiem.

–A potem walczyłem z tłumem, który chciał nas zabić. To znaczy walczyliśmy oboje, ja i Hanama Mistrzynie Zabójstw. Pretor Cyceriusz określił to później mianem heroicznego wysiłku.

Spojrzenie Lisutaris nadal jest puste.

–Moje wspomnienia dotyczące tego dnia są nieco mgliste. Tyle się wydarzyło, i pożar, i zamieszki, ja po prostu...

Milknie i zaczyna błędzić wzrokiem po gobelinach. Obwieszona srebrną biżuterią elfijskiej roboty, bawi się bezmyślnie bransoletkami, które zdobią jej nadgarstki. Siedzimy w milczeniu, a Lisutaris odpływa w marzenia wywołane przez thazis i inspirowane scenami z gobelinów. Jako doświadczona i szanowana czarownica, Lisutaris Kochanka Niebios spędziła sporo czasu wśród Elfów. Nasi czarownicy w młodości zawsze odwiedzają Południowe Wyspy, aby tam studiować magię.

Sam byłem na Wyspach, czym niewielu Turajczyków może się pochwalić. Bardzo piękne. Niewiele przestępstw. Mają dobre wino, ale piwo trudno znaleźć.

Lisutaris nadal patrzy na gobeliny, a ja zaczynam czuć się nieswojo i trochę się irytuję. Kilka miesięcy temu ocalałem życie tej kobiecie. Nie obchodzi mnie, że zapomniała, ale w ten sposób trudniej mi będzie poprosić ją o przysługę. Mimo to właśnie mam zamiar to zrobić, kiedy wyręcza mnie Makii – Czy mogłabyś nam pomóc kogoś znaleźć? – pyta. Kochanka Niebios odrywa wzrok od gobelinów i spogląda na Makri zaskoczona. Moja przyjaciółka naturalnie nie zdaje sobie sprawy, że jej pytanie było niegrzeczne.

–Znaleźć kogoś?

Grymas irytacji przebiega po twarzy czarownicy. Przez sekundę myślę, że nas wyrzuci. Potem wzrusza ramionami i uśmiecha się.

–Proszę bardzo. Kogo szukacie?

Pozwalam Makri wyjaśniać. To ciekawe, że znajomość zawarta w Lidze Kobiet Wyzwolonych wystarczyła, aby przełamać towarzyskie tabu. Pewnego dnia Liga naprawdę podpadnie królowi i Prawdziwemu Kościołowi.

Lisutaris Kochanka Niebios leniwie sięga ręką do jedwabnej linki i wzywa służącego.

Każe mu przynieść kuriyę. Służący odchodzi, ale wkrótce wraca ze złotym spodkiem na srebrnej tacy i małą złotą buteleczką. Stawia stoliczek obok Lisutaris i umieszcza tacę tak, by mogła jej dosięgnąć.

Lisutaris wypija nieco wina i wylewa kuriyę do spodeczka. Bez żadnych przygotowań macha ręką nad czarnym płynem. W ciągu kilku sekund zaczyna się w nim pojawiać obraz.

Zazdroszczę jej takiej mocy. Mnóstwo czasu zabiera mi samo wprowadzenie się w stan, w którym mogę wywołać wizję, a ona potrafi to zrobić natychmiast, nawet oszołomiona narkotykiem. Powinienem był się więcej uczyć.

–Czy to ten dom, o który ci chodzi?

Przyglądam się obrazowi. Tak. Lisutaris koncentruje się przez kilka chwil.

–Należy do człowieka imieniem Ozykjusz. Znajduje się w pobliżu fontanny stojącej za południowym murem pałacu.

Wylewnie dziękuję czarownicy. Ona zerka raz jeszcze w czarny płyn.

–Widzę, że Ozykjusz ostatnio miał jakieś kłopoty. Aura domu jest wzburzona.

Dostrzegam też, że znany jest pod innym imieniem.

Po raz pierwszy w jej zachowaniu widać oznaki wysiłku. – - Akial? – mówi wreszcie. – A może Eksil? – - Chyba nie Iksjal? – pytam głośno. – Iksjal Jasnowidz?

–Właśnie tak. Iksjal Jasnowidz. Ale mnie nie widzi, to jasne. Potężna czarownica wybucha bardzo niestosownym chichotem i zaczyna się tarzać w fotelu z histerycznej radości.

Obraz w kuriyi powoli znika. Kiedy zastanawiam się nad nieoczekiwanym odkryciem, że żona Drantaaxa ukrywa się w domu Iksjala Jasnowidza, Lisutaris nadal się śmieje, powtarzając od czasu do czasu „mnie nie widzi, to jasne”, co wydaje się jej najśmieszniejszą rzeczą pod słońcem.

W końcu pociąga sznurek od dzwonka i rozkazuje służącemu, aby przyniósł jej fajkę wodną. Potem proponuje, żebyśmy i my spróbowali. Makri ma ochotę. Szeptem zwracam jej uwagę, że to będzie wyglądało dość śmieszne, jeśli pięciu mnichów wojowników pojawi się właśnie wtedy, gdy ona wybuchnie niekontrolowanym chichotem.

Na myśl o tym oczy Makri przybierają twarde wyraz i odmawia. Dziękujemy Lisutaris Kochance Niebios i wychodzimy. Na zewnątrz łapiemy powóz i ruszamy ku

południowemu murowi pałacu. Oddalając się, słyszymy, że czarownica nadal uważa wszystko za bardzo zabawne. – - Czy na spotkaniach Ligi Kobiet Wyzwolonych ona też się tak zachowuje? – pytam Makri. – - Nie mogę nikomu opowiadać o naszych spotkaniach – odpowiada.

–Wiem. Jedziemy dalej. – - Tak naprawdę zachowuje się jeszcze gorzej – wyjaśnia Makri. – Jestem zaskoczona, że taka dobra z niej czarownica. Bo musi być dobra, nie? – - Bez wątpienia. Mnie nie udałooby się wywołać takich obrazów w kuriyi, nawet gdybym medytował przez miesiąc, Lisutaris to dekadentka, podobnie jak większość przedstawicieli klas wyższych, ale w sprawach magii jest chytra jak simnijski lis. I ma dobre wino. Następnym razem, gdy na nią wpadniesz podczas spotkania, dowiedz się, czy nie zaprosiłaby nas na obiad. Może podałaby wtedy wino z Elfich Wysp. A jeśli o to chodzi, to gdzie się spotykacie? – - Nie wolno mi mówić. – - Wiesz, że arcybiskup Kseriusz wygłosił w zeszłym tygodniu w Senacie przemówienie, w którym potępił Ligę Kobiet Wyzwolonych jako niegodziwą i bezbożną organizację?

Makri mówi coś niegrzecznego pod adresem arcybiskupa.

Jakieś ważne figury mijają nas w eleganckich powozach. Ulice tutaj są o wiele spokojniejsze niż w innych częściach miasta. A przy tym o wiele czystsze. Nawet śmierdziuszki wyglądają na lepiej odżywione. Makri zastanawia się na głos, dlaczego lksjal Jasnowidz, opat klasztoru położonego gdzieś w górach, ma willę w Thamlinie.

Dobre pytanie.

I dlaczego Kalia tam uciekła?

Willa znajduje się dokładnie tam, gdzie wskazała Lisutaris. Przejeżdżamy obok, nie zatrzymując się. Nic ciekawego nie widać. Nie ma nikogo, nawet ogrodników. Nie widać też członków Gildii Ochroniarzy. Takich willi często pilnują prywatni strażnicy, ale tej chyba nie.

Mówię woźnicy, żeby nas wysadził nieco dalej. Makri i ja schodzimy z głównej ulicy i wchodzimy do parku, który, jak sędzę, doprowadzi nas na tyły ogrodów willi.

Przedzieramy się przez kolczaste krzaki i wreszcie stajemy przed wysokim na dwa metry murem z metalowymi kolcami na szczycie. – - No to jesteśmy. Dom jest po drugiej stronie tego muru. – - Co zrobimy? – - Rozejrzemy się.

Upał jest nieznośny, ale ja jestem w swoim żywiole. Męcę się, gdy sytuacja staje się zbyt skomplikowana, ale kiedy w grę wchodzi podstawy śledztwa – takie jak wystawienie głowy ponad mur, aby się dokładnie rozejrzeć – czuję, że panuję nad sytuacją.

W parku pełno jest nianek i nauczycieli wyprowadzających swoich podopiecznych

na spacer, a także młodych wojskowych spotykających się z pannami w towarzystwie przyzwoitek. Odeszliśmy jednak tak daleko w gęszcz na jego obrzeżach, że nikt nas nie zobaczy. Makri proponuje, że pomoże mi wdrapać się na mur, decyduję jednak, że nie dam jej okazji do krytykowania mojej tuszy i podstawiam pieniek, aby na nim stanąć. W ten sposób mogę spojrzeć ponad murem. – - Nikogo nie widzę – szepczę. – Chodźmy. Makri ma wątpliwości. – - Jesteś pewien? – - Oczywiście. O co chodzi?

–Nie wiem. Po prostu chyba nie jestem przyzwyczajona do przechodzenia przez cudze mury.

Zapomniałem o tym. Makri w bitwie jest nieustraszona, ale nie przyzwyczała się jeszcze do postępów, które są podstawą pracy detektywa – takich jak wkradanie się tam, gdzie nas być nie powinno. Zapewniam ją, że nieustannie robię takie rzeczy, a potem kładę płaszcz na kolcach i przechodzę przez mur. Opuszczam się delikatnie i chowam za drzewem, gdzie dołącza do mnie Makri. Nadal nie widać nikogo. Robi się coraz ciemniej, bo słońce zniża się za dach pałacu; złote wieże iskrzą się w jego blasku. – - Wejdzimy do samej willi? Co powiemy, jeśli ktoś nas przyłapie? – - Wymyślimy jakąś wymówkę. Zawsze coś mi przychodzi do głowy. I nie wyjmuj mieczy z pochew. Jeśli kogoś zabijesz, sytuacja zrobi się jeszcze bardziej skomplikowana.

Schyleni przebiegamy od drzewa do drzewa, co jakiś czas chowając się i rozglądając przez całą długą drogę do willi. – - Wielki ogród – szepcze Makri. – - WThamlinie wszystkie są takie. Mój był ogromny. Nie byłem w stanie go obejść.

Szybko zapada noc. Na niebie jest tylko jeden księżyc, który wisi nisko nad wschodnim horyzontem i nie daje wiele światła.

W pobliżu willi wielka kępa krzaków stanowi doskonałe schronienie, kucamy więc za nią przed ostatnim biegiem do samego domu. Jest już ciemno, ale wewnątrz nie palą się światła. Bardzo dziwne. Nawet pod nieobecność właściciela zawsze zostają służący, którzy zajmują się wszystkim. Zaczynam czuć się nieswojo. Jeśli wewnątrz są same trupy, wolałbym nie być osobą, która je znajdzie. To mi się przydarza o wiele za często i strażnicy czepiają się mnie za to. „Thraxas Grabarz”, tak mnie nazywają.

Nagle tylne drzwi willi otwierają się i wychodzą jacyś ludzie ze świecami w rękach.

Idą w milczeniu. Wysilam wzrok, aby dojrzeć w mroku, co się dzieje. Coś niosą.

To wygląda na zwłoki. Thraxas Grabarz znów wkracza do akcji. Cały spięty zastanawiam się, w co tym razem wdepnąłem. Idą ku nam milczące cztery postacie niosące trupa.

–Mnisi – szepcze Makri.

Ma rację. Mnisi z ogolonymi głowami. Nie jestem w stanie rozpoznać koloru ich szat.

Zbliżają się. Człowiek, którego niosą, zaczyna dawać znaki życia. Mnisi delikatnie kładą go na ziemi, gdzie klęka, jakby do medytacji. W końcu pozostali mnisi również klękają przed tajemniczym osobnikiem, i wpatrują się w niego w bladym świetle świec. Z ich pełnego szacunku zachowania wnoszę, że to Iksjal Jasnowidz.

Moje oczy przyzwyczajają się do mroku. Obok Iksjale jest ktoś jeszcze. To nie mnich.

Ma za dużo włosów. Młoda kobieta. Pewnie Kalia.

Iksjal unosi powoli rękę, jakby zamierzał przemówić, coś jednak odwraca jego uwagę.

Mnich przerywa i zwraca głowę w naszą stronę.

–Kto tam? – pyta.

Zastygamy nieruchomo. Przysięgłbym, że nie może nas dostrzec w ciemności. – - Wychodźcie – rozkazuje. – Przed Iksjałem Jasnowidzem nie można się ukryć. – - Dobra – mówię i wychodzę. – Już i tak zaczynało mi być niewygodnie. Masz doskonałe oczy. Ale pewnie należy się tego spodziewać po Iksjalu Jasnowidzu.

Czterej mnisi wstają szybko i ustawiają się pomiędzy mną a swoim przywódcą.

–Czego chcesz? – pyta Iksjal. – I co to ma znaczyć, że wchodzisz do mojego ogrodu bez zaproszenia?

W jego pozie dostrzegam coś dziwnego. Młoda kobieta zdaje się go podtrzymywać.

Pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy jest myśl, że to kolejny miłośnik dwa, ale głos ma zbyt wyraźny i mocny.

–Czego chcę? Głównie porozmawiać z tą damą o Grosexie, niegdyś czeladniku jej niedawno zmarłego męża Drantaaxa. Grosex siedzi teraz w więzieniu, oczekując szybkiego procesu i egzekucji. Potem być może chciałbym zamienić kilka słów z tobą, żeby się dowiedzieć, dlaczego twoi mnisi chodzą za mną po mieście, włamują się do mego mieszkania i atakują mnie na ulicy.

Z domu wychodzi jeszcze kilku mnichów, którzy zbliżają się, żeby stanąć za Iksjałem.

Zastanawiam się, ilu ich jeszcze tam jest. Wykorzystałem już zakłęcie i nie jestem

pevien, z iloma mnichami wojownikami naraz Makri i ja moglibyśmy sobie poradzić.

Iksjal zaczyna mówić, ale milknie i wydaje słaby jęk. Twarz ma wykrzywioną.

Najwyraźniej coś mu dolega i stara się zapanować nad bólem. Mnisi patrzą na niego z troską.

Ten opat musi być poważnie chory. Kiedy Iksjal pochyła się do przodu, Kalia wyjmuje z torby małą fiolkę i zaczyna polewać jego czoło i usta jakimś płynem. Żaden z mnichów nie ma najwyraźniej pojęcia, co robić. Wszyscy są młodzi i wyczuwam, że cierpienie przywódcy napełnia ich strachem. Ruszam naprzód, przepychając się między mnichami.

–Co mu jest?

Kalia patrzy na mnie z rozpaczą w oczach. Nikt nie próbuje mnie powstrzymać, kiedy biorę świecę i sięgam ręką po koc, który przykrywa jego nogi. Nogi Iksjala są w strasznym stanie, połamane i pokręcone. Każdą chronią łubki i bandaże, ale wszędzie sączy się krew, a skóra przezierająca tu i ówdzie jest czarna i zgniła. Jeśli jeszcze nie wdała się gangrena, nie trzeba będzie na nią długo czekać. Według mnie Iksjal Jasnowidz ma pized sobą dwadzieścia cztery godziny życia, może mniej.

Czekamy na przybycie lekarzy – mówi Kalia. W jej głosie brzmi desperacja i rozpacz. Żaden medyk nie ocali Iksjala. Jego nogi są tak pokręcone i połamane, że według mnie tylko siła woli i twardy trening tak długo utrzymywały go przy życiu. Większość ludzi z takimi ranami dawno by się już poddała i umarła.

–Co mu się stało?

Kalia nie odpowiada. Patrzę na Iksjala. Na chwilę otwiera oczy, przez jakiś czas zмага się z bólem, a potem jego głowa opada i traci przytomność.

Kolejne światła zapalają się w domu. To sygnał, że przybyli medycy. Do ogrodu zostają wprowadzone dwie kobiety, każda z zieloną płócienną torbą, w jakiej zazwyczaj nosi się leki, i mężczyzna w powiewnej szacie. Aptekarka, zielarka i lekarz.

Powodzenia.

Wycofuję się do Makri nadal czekającej w cieniu. Mnisi zebrali się kręgiem wokół swego przywódcy, którego teraz badają medycy.

–Nie ma żadnych szans – mruczę. – Powinni byli przyprowadzić grabarza.

Przynajmniej zaoszczędziliby czas.

Makri jest wobec mnichów podejrzliwa. Zaledwie kilka godzin temu śledzili nas na mieście. Teraz jednak są zbyt przejęci nieszczęściem swego przywódcy, aby się nami przejmować.

–Muszę porozmawiać z Kalia. Umierający opat to nie moja sprawa, ja jestem tutaj, żeby uratować Grosexa.

Dla medyków zapalono lampki oliwne. Kiedy wykonują swoje zadania, Kalia usuwa się na bok, w cień, ignorowana przez mnichów. – - Nie wygląda na to, żeby miała chęć na rozmowę – zauważa Makri. – - Nigdy się takimi rzeczami nie przejmuję. – - Chcesz, żebym z tobą poszła? – - Tak. Może Kalia poczuje się pewniej, kiedy obok będzie inna kobieta. – - Nawet Ork ze spiczastymi uszami?

— Jestem pewien, że nigdy tak o tobie nie mówiłem. Obchodzimy łukiem medyków i mnichów. – - Muszę z tobą pomówić. – - Nie teraz – protestuje Kalia.

Widzę, że w Dwudziestu Morzach zasłużenie cieszyła się opinią piękności, ale widać, że ostatnio żyła w wielkim napięciu. Jej męża zabito zaledwie kilka dni temu.

Odnoszę jednak wrażenie, że to nie on przede wszystkim zaprzęta jej myśli.

–Teraz, koniecznie. Chyba że chcesz, aby Grosexa powieszono.

Szybko podnosi wzrok. – - Grosexa? Powieszono? Dlaczego? – - Za zamordowanie Drantaaxa, oczywiście. – - To śmieszne. On by go nie zabił. – - Inaczej myślałaś, kiedy znalazłaś Grosexa stojącego nad ciałem. Podobno krzyczałaś, że to on go dźgnął.

Kalia wzrusza ramionami. – - Nie myślałam rozsądnie. Nie wiem, kto zabił mego męża, ale jestem pewna, że nie czeladnik. On był zbyt lojalny. – - Nóż należał do niego. – - Musiał go użyć ktoś inny. – - Strażnicy sądzą inaczej.

Potem pytam ją, kto mógłby być zabójcą, Kalia jednak twierdzi, że nie wie. Chyba jej nie wierzę.

–Powiedz mi, co się dzieje? Co się zdarzyło w warsztacie? I dlaczego tu uciekłaś? Co cię łączy z Iksjalem?

Nie dostaję odpowiedzi. – - Poczujesz się lepiej, jeśli komuś o tym opowiesz – dodaję. Często taka rada okazuje się skuteczna, ale na Kalię nie podziałała. Zmieniam podejście. – - Co się przydarzyło Iksjalewi?

–Zaatakowali go, kiedy medytował. – Kto? – - Trezjusz. Świątynia Chmur. Zakradli się, gdy się modlił i zrzucili go z muru. – - A co z jego jasnowidzeniem? – - Iksjal to człowiek religijny! – wybucha Kalia. – Nie patrzy w przyszłość, kiedy się modli.

Rozumiem. Nie tak przedstawiał to Trezjusz. Według Kalii, Trezjusz i jego poplecznicy odeszli zhańbieni, bowiem przyłapano ich na próbie kradzieży posągu, który wówczas spadł z muru i rozbił się. Jednak Trezjusz wrócił później z zamiarem zabicia Iksjale i odebrania mu zwolenników. Podczas walki mnisi ze Świątyni Chmur zostali odparci Jednak Iksjal, napadnięty z zaskoczenia, został zepchnięty z muru i okropnie okaleczony.

–Mnisi przywieźli go do miasta, żeby ocalić mu życie. Sądząc z rozpaczki malującej się na jej twarzy, Kalia dobrze wie, że to niemożliwe. Normalny człowiek już by nie żył.

Wszyscy lekarze, zielarze i aptekarze w Turai razem wzięci nie będą w stanie poskładać połamanych nóg Iksjale. Nie zdołają też uleczyć gangreny, która go zabije, jeśli wcześniej nie umrze z upływu krwi. Nawet czarownicy nie radzą sobie z gangreną.

Kalia robi się bardziej rozmowna. Wyjaśnia nam, że spotykała się z Iksjalem dziesięć lat temu, kiedy był tylko ubogim studentem. Mieszkał na strychu w dzielnicy Dwanaście Mórz i czytał rozprawy filozoficzne przy świetle świecy. Kochała go wtedy i nadal kocha.

Kiedy odszedł w góry, aby żyć tam jako mnich, straciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie szczęśliwa. W końcu poślubiła Drantaaxa, bo nie miała lepszych perspektyw, a jej rodzice nie mogli się doczekać, kiedy położą łapę na posagu od słynnego i bogatego rzeźbiarza.

Opowiada mi, że spędziła z Drantaaxem dziesięć lat, podczas których jej życie było wygodne, ale rozpaczliwie nudne. I takim mogło pozostać, gdyby nie otrzymała wiadomości od Iksjala Jasnowidza. Prosił, aby spotkała się z nim w willi w Thamlinie.

Poszła na to spotkanie. I zapewne nawiązała romans, chociaż wprost tego nie mówi.

Ta opowieść może być źródłem kilku interesujących pytań. Na przykład skąd opat górskiego klasztoru miał pieniądze na zakup dużej willi w Thamlinie? I co w niej w ogóle robił? Mnisi wojownicy żyją w trudnych warunkach, trenując umysły i ciała za pomocą wyczerpujących ćwiczeń. Nie sądzę, żeby dla swoich opatów robili wyjątek. Nie powinni też przybierać fałszywych imion, udawać, że są arystokratami i mieszkać w willach w bogatej części miasta. Nie wydaje mi się też, że mogą mieć romanse z bogatymi ekskochankami, chociaż różne sekty mają różne poglądy na celibat i inne takie. Muszę jednak zostawić te pytania na później i skoncentrować się na Grosexie. Teraz, kiedy Kalia trochę się otworzyła, mówi mi wszystko, co wie. Po powrocie do warsztatu zobaczyła po prostu, że Grosex stoi nad ciałem Drantaaxa, a posagu nie ma.

To samo mówią strażnicy. – - Dlaczego uciekałaś? – - Wpadłam w panikę. Wiedziałam, że krążą plotki o moim romansie. Ludzie myśleli, że spotykam się z Grosexem, kiedy naprawdę chodziłam do Iksjala. Przypuszczałam, iż strażnicy oskarżą mnie, że zabiłam męża, aby Grosex mógł przejąć jego warsztat.

Dlatego uciekałam. Nie wiedziałam, że będą podejrzewać Grosexa. Lubiałam go. Nie chciałam mu zaszkodzić, ale musiałam zniknąć. – - Wygląda na to, że ucieszyłaś się z tej okazji. – - A jeśli nawet, to co?

Wkłada w te słowa wiele uczucia. Być może małżeństwo z zapracowanym rzeźbiarzem rzeczywiście było nie do zniesienia. – - Nie wyglądasz na przytłoczoną żalem z powodu jego śmierci. – - Jest mi smutno. Są też inne rzeczy, które sprawiają, że mi jeszcze smutniej. – - Co się stało z posągiem?

Twierdzi, że nie wie. Jeśli zdaje sobie sprawę z istnienia magicznej sakiewki, nie zdradza tego. Zwracam jej uwagę, że złodziej posągu musi być też mordercą jej męża, zaś Iksjal i jego Świątynia Gwiazd stracili ostatnio swego świętego Kwatyniusza.

Stawia ich to w rzędzie głównych podejrzanych.

Kalia potrząsa głową. – - Iksjal nie skrzywdziłby mojego męża. Po co? A poza tym,

kiedy zaginął posąg, Iksjal był już bliski śmierci. Przewiezienie go z gór do miasta zajęło mnichom cztery dni. – Nawet poraniony nadal mógł wydawać rozkazy, bo jego mnisi przeszukiwali miasto. A przynajmniej moje mieszkanie. – Nic o tym nie wiem.

Iksjal krzyczy z bólu i Kalia biegnie do niego. Patrzę na młodych mnichów, starając się ocenić ich stosunek do niej. Czy zdają sobie sprawę, co ją łączy z ich przywódcą, czy też zamydlił im oczy jakąś historyjką? Na ich twarzach nie widzę oznak dezaprobaty.

Zwracam się do Makri. – Co o tym sądzisz? – Mam mętlik w głowie – przyznaje. – Kto wobec tego zabił Drantaaxa? Kto ukradł posąg i ukrył go w magicznej sakiewce?

Przyznaję, że nie wiem – Nie rozumiem tej kobiety – ciągnie Makri. – Jeśli nie chciała wyjść za Drantaaxa, dlaczego to zrobiła? Nie potrzebowała męża. Mogła dostać pracę w piekarni Minarixy. – Kalia nie jest chyba typem kobiety, która chciałaby spędzać całe dnie w piekarni.

Medycy pracują dalej przy świetle lamp. Iksjal co i raz traci przytomność i odzyskuje ją na nowo. W końcu zapada w głęboki sen, a może śpiączkę. Lekarz, zielarka i aptekarka wymieniają spojrzenia, które nietrudno zinterpretować. Już wkrótce Iksjal będzie oddawał tożę. Niektórzy młodszy mnisi mają łzy w oczach. Gdybym posiadał odrobinę wrażliwości, zostawiłbym ich samych z ich żalem. Ale nie posiadam. Łapię za rękaw mnicha, w którym rozpoznałem jednego z włamywaczy.

–Dlaczego myśleliście, że mam posąg?

Wyrywa mi rękaw i biegnie do swoich kolegów. Pytam drugiego z podobnym skutkiem.

–Niczego więcej się tutaj nie dowiesz, Thraxasie – mówi Makri. – Oni okropnie się martwią Iksjałem. Tak w ogóle złości mnie to. Sami winni walkę.

Jakby to był jakiś sygnał, cichy ogród nagle wybucha wrzawą. Ubrani na żółto mnisi wdzierają się przez mur i nie wyglądają na to, że przyszli porozmawiać o współistotności.

Ruszają ku mnichom ze Świątyni Gwiazd, wydając okrzyki wojenne, machając kijami i nożami o dziwnych kształtach. Mnisi ze Świątyni Gwiazd reagują szybko, tworząc ludzką tarczę wokół Iksjale. Ich bracia, którzy pozostali w domu, na odgłos wrzawy wybiegają na zewnątrz. Wkrótce około osiemdziesięciu mnichów walczy ze sobą w ogrodzie; biją, kopią i wyskakują w powietrze w dobrze już mi znany akrobatyczny sposób. To wspaniały widok.

Makri i ja wycofujemy się w krzaki, aby popatrzeć, nieco oszołomieni takim obrotem

sprawy.

Zaczynam podejrzewać, że w całej tej historii nie ma żadnych innych motywów oprócz wzajemnej nienawiści mnichów z obu świątyń. Może i tak przez cały czas ze sobą walczą, a posąg to kwestia drugorzędna.

–Interesująca dysputa religijna – mruczę do Makri, kiedy jakiś mnich odbija się od drzewa i wpada w krzaki obok nas. – Powinni ją wypróbować w Prawdziwym Kościele.

Niewątpliwie trochę by się tam ożywiło.

W ciemności trudno mieć pewność, ale wydaje mi się, że wśród walczących rozpoznaję czcigodnego Trezjusza. Jeśli to on, doskonale się trzyma jak na swój wiek-jeszcze lepiej, niż mi się wcześniej wydawało. Przysięgam, że potrafi wyskoczyć w górę na dwa metry, przeskoczyć nad przeciwnikiem, kopnąć go w przelocie, wylądować za następnym i tego z kolei powalić na ziemię uderzeniem obu nóg. Otacza go grupa czerwonych mnichów, on jednak wyrywa się z okrążenia i wrzuca dwóch z nich do stawu.

Okrzyki gniewu i bólu dobiegają ze wszystkich stron. Chociaż tu i ówdzie błyska nóż, większość walczy wręcz. Wszyscy najwyraźniej robią co mogą, aby podtrzymać reputację mnichów wojowników jako mistrzów walki wręcz. Krzywię się, kiedy potężne uderzenie rzuca w krzaki kolejnego nowicjusza, który pada nieprzytomny u naszych stóp. – - Powinieneś bardziej uważać – mruczy Makri. Jak sądzę, z przyjemnością obserwuje ten pokaz. – - Przyłączymy się? – pyta. – - Oczywiście, że nie. Po co? – - Nie wiem. Pomyślałam tylko, że może powinniśmy. – - Sam fakt, że toczy się walka, to jeszcze nie powód, żebyś ty brała w niej udział, Makri. – - Pewnie nie. Po prostu nie wydaje mi się to naturalne.

Ubrani na żółto mnisi ze Świątyni Chmur zdobywają chyba przewagę, głównie ze względu na obecność czcigodnego Trezjusza, który kładzie wszystkich pokotem. Żaden z młodych czerwonych mnichów nie jest w stanie sprostać jego technice. Ciała lecą przed nim przez powietrze, kiedy zwycięża jednego nowicjusza po drugim. Dociera do żywej tarczy Iksjala i prze dalej. Jego zwolennicy rozbiegają się na boki i zaczynają atakować ze wszystkich stron.

Lekarz, zielarka i aptekarka roztropnie uciekli z pola walki, ale wydaje mi się, że Kalia jest nadal u boku Iksjala, gotowa bronić go do końca. Oto potęga miłości, myślę. Nie sposób jej za to nie podziwiać.

Bracia ze Świątyni Gwiazd bronią się desperacko. Są odważni i niewzruszeni, jednak nie dorównują w walce Trezjuszowi, który spycha ich ze swojej drogi jak smok przedzierający się przez szwadron kiepsko opłacanych najemników.

Zastanawiam się, czy zamierza zabić Iksjala. Jako detektyw, który przysięgał bronić prawa, powinienem starać się uniemożliwić popełnienie tak poważnego przestępstwa tuż pod moim nosem, ale tak naprawdę nie jest to przecież moja sprawa.

Nagle wyczuwam, że obok nas w krzakach ktoś jest. Makri też to czuje. Obracamy się jednocześnie ku miejscu, gdzie jakaś ciemna postać przemknęła w milczeniu.

Intruz zauważa naszą obecność, ale nie zwraca na nas większej uwagi. Unosi jakiś przedmiot, którego nie mogę rozpoznać. Słyszę brzęknięcie, krótki świst, i niespodziewanie jeden z żółtych mnichów pada na ziemię z okrzykiem bólu. Rozpoznaję ten świst. To kusza. Nikt już nie musi mi przedstawiać tej postaci w krzakach.

–Sarin Bezlitosna – szepczę do Makri.

Kusza to broń jednocześnie potężna i niewygodna. Dobrze nadaje się do obrony miasta lub ataku z ukrycia, ale na polu walki jest niezbyt przydatna, bo długo się ją ładuje.

Nie widziałem jeszcze nikogo, kto wkładałby strzałę tak szybko, jak czyni to teraz Sarin.

Kolejny strzał zabija kolejnego mnicha. Kiedy ten pada, mnisi zaczynają zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak, i powstrzymują atak, niepewni, co się dzieje. Leci kolejna strzała i kolejny mnich upada.

–W krzakach! – krzyczy czcigodny Trezjusz i wskazuje ręką. Ta przerwa w zmaganiach umożliwia mnichom ze Świątyni Gwiazd przegrupowanie się; ponownie tworzą solidny mur ciał wokół Iksjala. Mnisi ze Świątyni Chmur biegną teraz w stronę krzaków.

Patrzę, jak Sarin Bezlitosna chłodno ładuje kolejną strzałę. Tym razem celuje uważniej i strzela do Trezjusza... ..który robi coś, czego człowiek po prostu nie jest w stanie zrobić: łapie strzałę w powietrzu, zanim zostaje trafiony. Chrząkam ze zdumienia. Strzała wystrzelona z kuszy ma dość energii, aby przejść na wylot przez dwie ściany, po kolei. Nie można jej pochwycić w locie. Nie można jej nawet zobaczyć. A jednak Trezjusz właśnie tego dokonał.

Jego zwolennicy docierają do krzaków. Ja odsuwam się o krok w cień. Sarin spokojnie powala najbliższego napastnika kolejną strzałą, a potem wdaje się z nimi w walkę wręcz.

Dorównuje im techniką – to nie była czcza przechwałka, że spędziła cztery lata w klasztorze.

Stawia czoło trzem przeciwnikom i dobrze sobie radzi: jednego odrzuca w tył, a potem krąży wokół pozostałych dwóch, nie dając im okazji do ataku.

W oddali słychać gwizdki. Ktoś zawiadomił Straż Obywatelską. W Thamlinie nie można odbyć większej bijatyki, bo sąsiedzi zaczynają narzekać, a kiedy w Thamlinie narzekają sąsiedzi, strażnicy biorą się do roboty. Słychać wrzaski, krzyki, gwizdki i odgłosy konnych wozów podjeżdżających pod front domu. W chwilę później mężczyźni ubrani w czarne tuniki strażników tłumnie wdzierają się do ogrodu.

–Czas uciekać.

Oddalamy się szybko, biegnąc ku dalekim murom w towarzystwie różnych mnichów.

Wydaje mi się, że dostrzegam w cieniu inną postać, drobną, raczej nie mnisią.

Przypomina mi kogoś, ale nie wiem kogo. Kiedy przechodzimy przez mur do parku, jesteśmy już sami.

–Ale noc. – Świetna walka.

Z pośpiechem oddalamy się z pola bitwy. Ponieważ kiedyś tu mieszkałem potrafię znaleźć drogę nawet w ciemności. Prowadzę Makri mało uczęszczaną uliczką pomiędzy dwiema willami, aż wreszcie wrzawa cichnie w oddali. Czeka nas teraz długi spacer do domu.

Nocą w Turai nie wolno jeździć konno. Spacer nie będzie przyjemny, bo nadal jest zbyt gorąco, a ja zdaję sobie sprawę, że od dawna nie jadłem ani nie piłem. – - Czy dowiedziałeś się dosyć, aby uwolnić Grosexa od podejrzeń? – pyta Makri. – - Nie jestem pewien. Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić. A w tej chwili najbardziej brakuje mi piwa. Dlaczego nie ma tutaj więcej tawern? Wchodzę do pierwszej, na którą się natkniemy.

Jest już po północy. Ponieważ nocne życie w tej okolicy nie rozwija się zbyt bujnie, otwartą tawernę znajdujemy dopiero na samych obrzeżach Thamlina, w dzielnicy o nazwie Pola Nefrytowej Świątyni, gdzie jest nieco bardziej wesoło. Dzielnica ta wzięła nazwę od starej świątyni z nefrytowymi kolumnami, którą Elfy zbudowały nam w prezencie trzysta lat temu, kiedy pomogliśmy im w wojnie z Orkami. Turai wysłało największy kontyngent statków ze wszystkich miast-państw należących do Ligi i zgmiotło orkijską armadę w słynnej bitwie o Smoczą Wyspę. Na długi czas zniszczyło to morską potęgę Orków.

Marynarka Turai była w owych czasach bardzo groźna, pomimo niewielkiego obszaru naszego kraju.

Ale te czasy minęły. Kiedyś byliśmy liczącym się członkiem Ligi Miast-Państw. W teorii nadal jesteśmy, wszyscy jednak wiedzą, że nasza armia i marynarka nie są już takie jak kiedyś.

Liga też nie jest taka jak kiedyś. Przez ostatnie cztery stulecia chroniła ona mniejsze miasta-państwa przed większymi sąsiadami, takimi jak Nioj, ale od dwudziestu lat się rozpada. Teraz musimy trzymać wojska w nieustającym pogotowiu z powodu kopalni srebra na południu, przy granicy z naszym rzekomym sprzymierzeńcem Matteshem. Jeśli skończy się to wojną, Liga się rozpadnie, a Nioj zje nas wszystkich na śniadanie.

W dzielnicy Pola Nefrytowej Świątyni mieszkają pracownicy rządowi, pomniejsi urzędnicy i tym podobni. W końcu znajdujemy tawernę, gdzie nadal palą się światła. Makri patrzy na nią podejrzliwie.

–Będzie dobrze – zapewniam ją i wkraczamy do środka. Przy drzwiach staje przed nami wielkie indywiduum w zielonej tunice, członek Gildii Ochroniarzy, którego zatrudniono, aby nie wpuszczał byle kogo. Nie tak jest „Pod Mściwym Toporem”.

Tam Gurd wpuszcza wszystkich.

Drzwi oświetla płonąca pochodnia. W jej migotliwym blasku skóra Makri wydaje się jeszcze bardziej czerwona niż zwykle. Ochroniarz jest wielki jak góra. Wyciąga ramię, aby uniemożliwić nam wejście.

–Z mieczami nie wpuszczamy – warczy i dodaje, patrząc na Makri. – I nie wpuszczamy Orków.

Makri zaś, bez najmniejszego wahania, zamierza się i wali go w szczękę.

Ochroniarz osuwa się na ziemię. Wbijam w nią wzrok.

–Nie mogliśmy tego najpierw przedyskutować? – - O czym mielibyśmy dyskutować? On mnie obraził. To prawda. Ale ja bardzo potrzebowałem piwa. – - Znajdziemy inną tawernę – pociesza Makri.

Ochroniarz leży w drzwiach nieprzytomny. Kusi mnie, żeby przeskoczyć przez ciało i wpaść do środka na szybkie piwko, ale decyduję, że tego nie zrobię. Będą kłopoty, jeśli się ocknie zobaczy mnie przy barze.

Idziemy dalej w gorącą noc. – - Naprawdę myślę, że powinnaś panować nad sobą, Makri. – - Zacznę nad tym pracować jutro. Dobry cios, nie?

Makri poweselała i nie wyglądała już żałośnie jak dziwka z Nioj – a tak właśnie wyglądała od czasu, kiedy mnich ją kopnął. Prawdopodobnie dlatego rąbnęła

wykidaję. Po prostu chciała poćwiczyć na wypadek ponownego spotkania z mnichami.

Następnego dnia śpię do późna. Budzę się z obolałymi nogami i paskudnym kacem.

Wyłażę z łóżka i ruszam prosto po swój mały zapas liści lesada. Liście pochodzą z Elfich Wysp i są doskonałe na kaca. Zabrałem je Elfowi, który mnie zatrudnił kilka miesięcy temu.

Okazał się on zdradzieckim przestępcą i skończył martwy, ale przynajmniej zostało po nim coś użytecznego.

Elf i jego towarzysz zostali zabici przez Mistrzynie Zabójców Hanamę. To wspomnienie odświeża mi pamięć. Ta drobna figurka, którą dostrzegłem w ogrodzie zeszłego wieczoru, przypominała właśnie ją. Jeszcze tego mi trzeba, żeby w sprawę był zamieszany Cech Zabójców.

Liść lesada szybko zaczyna działać. Kiedy ból głowy się ulatnia, zdaję sobie sprawę, że cały jestem sztywny. To był daleki spacer, przerwany długim pobytem w tawernie w Kushni. Tam Makri nie miała żadnych problemów. To jest taka spelunka, że na pewno nie wyprosiliby stamtąd samego króla Orków, pod warunkiem że miałby w kieszeni kilka guranów.

Położona w centrum miasta dzielnica Kushni to wstrząsane przestępstwami i przesycone dwa zbiorowisko tawern, burdeli i jaskiń hazardu, którymi rządzą to które walczą Bractwo i Towarzystwo Przyjaciół. Odwiedzają te przybytki męty Turai. Moja praca często mnie tam prowadzi. Makri, która nie ma zbyt wiele czasu na zabawę, nie zna jej tak dobrze.

Nie spodziewała się, jak sędzę, że alkohol jest tam taki mocny. Twierdziła, że nie jest pijana, ale przysięgam, że kiedy przybyliśmy do domu wdrapanie się na schody zajęło jej piętnaście minut, a w ogóle by tego nie dokonała, gdybym w końcu jej nie wciągnął.

Czuję więc, że wyszło na moje, kiedy Makri przypelza do mojego pokoju w porze lunchu i błaga o liść lesada. Opatulona w stary koc wygląda jak ofiara zarazy.

Nie przeszkadza mi, że jest doskonałą wojowniczką i świetnie sobie daje radę z filozofią i retoryką, ale naprawdę bym się obraził, gdyby w picciu była lepsza ode mnie.

Makri trzęsącą się ręką podnosi do ust puchar z wodą. – - Jesteś zielona jak ten liść – komentuję wesoło. – A mówiłem, że to klee z gór było dla ciebie za mocne. Na ten trunek potrzebny jest mocny żołądek, taki jak mój. – - Z czego u diabła oni to pędzą? – jęczy Makri. – - Winogrona, jamy, kukurydza... Kto wie? Tam w górach przerabiają

na bimer wszystko, co im wpadnie w ręce.

Przez ciało Makri przebiega dreszcz. – - A ty dobrze się czujesz? – - Oczywiście. Żeby mnie powalić, trzeba czegoś więcej niż kilka butelek klee.

Obudziłem się świeżutki w sam czas na poranne modły. – - Nonsens – mówi Makri, krzywiąc się przy tym z wysiłku, jakiego wymaga wypowiedzenie słów. – Po prostu pierwszy wzięłaś liście lesada.

Potem z pewną trudnością popija liść, rozkłada się na kozetce i ręką zakrywa oczy.

–Nie sędzę, żebym zdążyła na tę pierwszą lekcję teologii. Zrzucam śmiecie ze stołu.

Makri zdejmuje dłoń z oczu i patrzy na mnie z gniewem.

–Przestań się tak krzątać. Po prostu próbujesz pokazać, że klee nie wywarło na ciebie żadnego wpływu, dobrze o tym wiem. Zabiję tego Mniszka.

–Co?

–Zabiję ją. Kiedy tylko poczuję się lepiej, przebiję ją swoim orkijskim mieczem.

Mniszek najprawdopodobniej znowu bredziła o delfinach. Makri, zazwyczaj pełna współczucia, w swym obecnym stanie nie mogła tego znieść.

–Chociaż teraz przydałby mi się ten uzdrowicielski kamień. Nigdy więcej nie pójdę pić w Kushni.

Potem milknie ponuro i czeka, aż liść zrobi swoje. Choć poranek jest upalny, kuli się żałościwie pod kocem i nadal jest zielona. Biedna Makri. Postanawiam, że nie będę jej przypominać, jak siedziała na kolanach młodego handlarza dwa i próbowała go pocałować, zanim wyrzucono ją z tawemy. Zostawię to do czasu, kiedy będzie zdrowsza.

Na dole Gurd i Tanrose już pracują. Przeglądam menu, aby wybrać kilka pozycji na posilne śniadanie. Decyduję się na ryby. Tanrose doskonale je przyrządza.

Dostrzegam, że Gurd sztywnieje nieco, kiedy je zamawiam. Ryby zawsze psują mu humor. Tutejszemu sprzedawcy ryb, człowiekowi całkiem zamożnemu jak na naszą dzielnicę, już jakiś czas temu wpadła w oko nasza kucharka i zawsze się do niej zaleca, kiedy odbiera od niego towar. Gurd jest zazdrosny. Biedny stary barbarzyńca. Spędził większość życia, tułając się po świecie i walcząc dla każdego, kto gotów był mu zapłacić, a teraz, kiedy przyszedł czas na romans, zupełnie się zagubił. Kocha się w Tanrose i nic nie może na to poradzić. Ona nie ma nic przeciwko temu, ale niestety Gurd nie potrafi niczego w tej sprawie zrobić. Zbyt się

przyzwyczajaił do starokawalerskiego trybu życia. Teraz więc cierpi strasznie, kiedy przychodzi sprzedawca ryb i zaczyna dawać Tanrose duże zniżki.

Kiedy kończę śniadanie, pojawia się na dole Makri, szczęśliwa, z błyszczącymi oczami. – - Liście drzewa lesada – oznajmia – mają cudowną moc. Ile ci jeszcze zostało? – - Niewiele. A w Turai zdobycie ich jest niemal niemożliwe. Kiedy następnym razem będę pracował dla jakiegoś Elfa, muszę poprosić, żeby mi nimi zapłacił.

Makri zwraca uwagę, że liście nie były właściwie zapłatą od tamtego Elfa. – - Po prostu zabrałeś je, kiedy znalazłeś go martwego. – - Wychodzi na to samo. – - Umykają mi szczegóły ubiegłej nocy. Czy spotkaliśmy Sarin, czy też mi się to przyśniło? – - Spotkaliśmy. Zabiła ze swojej kuszy kilku mnichów. Staram się zrozumieć, co to znaczy. Najwyraźniej bierze stronę Świątyni Gwiazd. Zakładam, że kiedyś trenowała pod okiem Iksjala. Zastanawiam się, czy to ona zabiła Drantaaxa. Trudno by to było udowodnić, bo jest za sprytna, żeby zostawić jakieś ślady. Grosex ma dzisiaj proces. Po długich staraniach dostałem pozwolenie na to, aby się z nim zobaczyć, chociaż niewiele mi to pomoże. – - Jakim cudem? – - Wicekonsul Cyceriusz wreszcie wrócił do miasta. On mi to załatwił.

Kilka miesięcy wcześniej wyratowałem z kłopotów syna Cyceriusza. – - Mądre posunięcie – ocenia Makri. – To jedyny wysoko postawiony przyjaciel, jaki ci się trafił od dłuższego czasu. – - To prawda. Chociaż nie uznałbym go za przyjaciela. Cyceriusz jest zbyt surowy, aby mieć jakichś przyjaciół. Poza tym najprawdopodobniej pamięta jeszcze, że go obraziłem, kiedy byłem pijany. Ale przynajmniej dopilnuje, żebym w sądzie dostał to, co gwarantuje mi prawo. A Grosex niewątpliwie potrzebuje pomocy. Dostał obrońcę z urzędu, więc jeśli ja czegoś nie znajdę, równie dobrze mogą go od razu powiesić.

Makri też zamawia ryby. Biorę obiadowe piwo i rozważam sytuację. Nie potrafię zrozumieć całej tej awantury z mnichami. Najwyraźniej czcigodny Trezjusz nie był ze mną całkiem szczery. Na przykład nie raczył wspomnieć, że jego zwolennicy śmiertelnie ranili Iksjala Jasnowidza. Co powinienem zrobić? Nadal mam sakiewkę z posągiem.

Trezjusz zatrudnił mnie, abym go znalazł. Może, jeśli chodzi o mnichów, nie jest właściwie ważne, kto co zrobił i komu. Sądzę, że tak czy siak dostanę zapłatę.

Martwi mnie jednak spotkanie z Sarin Bezlitosną. To niebezpieczna kobieta, bez dwóch zdań. Jeżeli Iksjal umrze, wtedy, jak sądzę, Świątynia Gwiazd zostanie rozwiązana i mnisi odejdą do Świątyni Chmur. Jednak jeśli tak sienie stanie i czerwoni mnisi znów ruszą na poszukiwanie posągu, będę musiał stawić czoło również Sarin. A jest jeszcze Taliusz Zielone Oko. Kto go zabił? Zginął od strzału z kuszy, co czyni Sarin główną podejrzaną, ale możliwe również, że ktoś inny próbował

w ten sposób zatrzeć ślady.

–No cóż, zawęziłem liczbę podejrzanych o zabicie Drantaaxa do mnichów ze Świątyni Gwiazd, mnichów ze Świątyni Chmur, jego żony Kalii, Sarin Bezlitosnej i służących. Razem może ze sto osób. Gdyby Grosexowi udało się uniknąć stryczka przez jakiś rok czy dwa, może zdołałbym z tej grupy wybrać tylko kilka.

Palax i Kaby od rana grali na ulicy na mandolinie i flecie. Wyglądają tak dziwacznie jak zwykle. Nie dość, że noszą najdziwniejszą kolekcję jaskrawych i obdartych ubrań, jaką kiedykolwiek widziano w Turai, ale na dodatek ich włosy są niemal nie do opisanego – długie, gęste, farbowane barwnikami spożywczymi i ziołami na jaskrawe kolory całkiem nieodpowiednie dla ludzkiej głowy. Na dodatek lubią sobie przekłuwać różne części ciała.

Wielu Turajczyków ma przekłute uszy – w niektórych cechach to oznaka wysokiej pozycji – ale Palax i Kaby z jakichś tajemniczych powodów noszą też kółka w nosie i na wargach. Co jest najbardziej szokujące, mają też kółka na brwiach – ozdoby nigdy przedtem nie widziane w Krainach Ludzi, a być może zbyt dziwaczne nawet dla orkijskiego burdelu.

Zapewne jednak uliczni grajkowie mają prawo do swoich dziwactw. Makri, która dorastała w orkijskim więzieniu dla niewolników, nie ma poczucia przyzwoitości, kilka miesięcy temu poprosiła ich więc, aby jej przekłuli nos. Okropność – co natychmiast dziewczynie wytknąłem, dodając, że nie jest to postawa, którą powinna przyjąć osoba pragnąca dostać się na Uniwersytet Imperialny. Ponieważ uniwersytet już ma dość powodów, aby jej nie przyjąć, nie warto dostarczać im jeszcze jednego. Makri, której podoba się to kółeczko w nosie, sądzi jednak, że uniwersytet będzie w stanie się do niego przyzwyczaić.

Młodzi grajkowie siadają zmęczeni przy stole. – - Na zewnątrz jest jakiś czarownik – mówi Kaby. – I co robi? – - Wygląda na zagubionego. – - Przyszedł z nowym szefem Bractwa, Kasaxem.

Złe wieści. Podchodzę do drzwi i wyglądam na zewnątrz. Rzeczywiście, stoi tam czarownik, który wygląda na zagubionego. Jest młody, i chociaż tęczowy płaszcz wskazuje, że uzyskał pełne kwalifikacje, nie poznaję go, więc zapewne otrzymał je niedawno. Obok stoją Karlox, Kasax, i kilku innych członków Bractwa. Wszyscy patrzą na czarownika wyczekująco.

Kasax dostrzega mnie i rusza w moją stronę przez zakurzoną ulicę.

Witam go uprzejmie. On odpowiada lodowatym spojrzeniem. – - Szukamy Quen. – - Kogo? – - Dziwki, która spaliła tawernę „Pod Głową Dzika”. – - Sądzę, że do tego czasu już opuściła miasto.

–Oriusz Poskramiacz Ognia przypuszcza, że Quen nadal gdzieś tu jest.

Przyglądam się młodemu czarownikowi.

–Oriusz Poskramiacz Ognia? Jest nowy, prawda? Zapewne niedawno zdobył swoje kwalifikacje. Wiesz, Kasaxie, takiemu młodemu czarownikowi nie można bezgranicznie ufać.

Właśnie skończył terminować i myśli, że wszystko wie, a tymczasem trzeba trochę czasu, aby przywyknąć do miasta takiego jak Turai. No tak, dotarł tutaj śladem aury Quen i co z tego?

Wszyscy wiedzą, że tu była. Kiedy wszyscy mówią o jakiejś osobie, może powstać fałszywa aura. Tyle wystarczy, aby wprowadzić w błąd młodego człowieka, który dopiero zaczyna pracę. Quen już dawno uciekła. Jeśli chcesz ją odnaleźć, lepiej zatrudnij bardziej doświadczonego czarownika. Albo czarownicę. Lisutaris Kochanka Niebios jest podobno bardzo dobra.

Kasax nie ma zwyczaju rzucać pustych pogrózek. Patrzy na mnie chłodno i oznajmia, że Bractwo toleruje moją obecność w tym rejonie tylko dlatego, że nigdy naprawdę nie wszedłem im w drogę. Jednak jeśli się dowie, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem Quen, spadnie na mnie jak klątwa. – - Lepiej więc zastanów się, do którego miasta możesz uciec i weź nogi za pas. – - Będę o tym pamiętał. Może wicekonsul Cyceriusz zaproponuje jakieś ciekawe miejsce.

Daję mu w ten sposób do zrozumienia, że nie brak mi potężnych przyjaciół.

–Zapytaj go jak najszybciej – radzi Kasax. Chce przez to powiedzieć, że nie dał się nabrać.

Młody Oriusz Poskramiacz Ognia nadal stoi na ulicy zdezorientowany. Jego umiejętności doprowadziły go aż tutaj, ale ulepszone zaklęcie sprytnego Astratha uniemożliwia mu dokładne zlokalizowanie Quen. Kasax wraca do niego i zamienia z nim kilka słów. Jest zbyt ważną figurą, aby tracić czas na wędrówki po ulicy Kwintesencji.

Odchodzi więc, nakazując swoim zbirom, aby kontynuowali poszukiwania. Karlox patrzy na mnie groźnie – wielki, wredny i głupi jak Ork. Nie posiadałby się z radości, gdyby Kasax kazał mu wypędzić mnie z miasta. Niech spróbuje. Oddaję mu spojrzenie, a potem zamykam drzwi i wracam do Makri.

–Musimy coś zrobić z Quen. Bractwo jest tuż, tuż. Astrath zamydlił oczy ich czarownikowi, ale jeśli strażnicy przyprowadzą Hazjusza Wspaniałego, to leżymy.

–Nadal obserwują tawemę co noc? Kiwam głową. – - Może jednak uda nam się jakoś

wyprowadzić Quen. Gdyby tak Astrath przygotował dla nas zaklęcie niewidzialności... To byłaby jednak poważna prośba.

Astrath ma własne życie. Nie mogę oczekiwać, że poruszy niebo, ziemię i trzy księżyce, aby pomóc młodej kobiecie, której nawet nigdy nie spotkał; szczególnie jeśli tym samym ryzykuje, że narazi się Bractwu. – - Jeśli wyprowadzimy Quen – mówi Makri – czy zaklęcie dezorientujące nadal ją będzie chronić?

–Nie. – - Nie możemy więc tego zrobić. – - Niby dlaczego nie wolno nam tego zrobić? – protestuję, bo wzbiera we mnie gniew.

–Ona nie może tu zostać na zawsze. – - Po prostu nie możemy jej oddać Bractwu.

Chyba to prawda. Nie znaczy to, że przywiązałem się do Quen czy coś takiego – o ile wiem, to dość ponura młoda kobieta – ale oddawanie kogoś lub czegoś Kasaxowi nie jest w moim stylu. Nie mam już nic do powiedzenia, zmywam więc tylko Makri głowę za to, że wplątała mnie w tę sytuację.

Dostrzegam, że przy sąsiednim stole Palax zasnął nad talerzem. Życie ulicznego grajka nie jest łatwe. Dostrzegam też, że Kaby jest bardziej wściekła niż Troll, którego boli ząb, co zazwyczaj oznacza tylko jedno. Przypominam sobie, że Palax już jej nawet obiecał, że rzuci dwa, niełatwo jednak wyrwać się z nałogu. Biorę piwo i zabieram je na górę. Kładę się na kozetce i rozmyślając o mnichach i posągach odpływam w sen.

Budzi mnie lekkie stukanie do drzwi. – - Kto tam? – pytam. – - Soolanis.

Zastanawiałem się już, gdzie zniknęła. Idę otworzyć drzwi.

Za drzwiami czeka Soolanis... i Sarin Bezlitosna, która trzyma jej nóż na gardle. Sarin wpycha Soolanis do środka i wchodzi za nią.

–Mogłaś po prostu zapukać.

–Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby mnie nie wpuścić – oznajmia Sarin, nadal trzymając w dłoni nóż.

Sarin Bezlitosna to wysoka kobieta z krótko przystryżonymi włosami, ubrana dość skromnie, jeśli nie liczyć wielu złotych i srebrnych kolczyków w uszach. Nosi męską tunikę, a jej oczy są niemal tak czarne jak oczy Makri, jednak brak w nich tej przyjacielskiej isierki.

Patrzy na mnie, jakby się zastanawiała, czy zadźgać mnie na miejscu. Trzymam rękę na głównej rękojeści miecza, tak na wszelki wypadek. – - Szukam posągu – mówi wreszcie. – - Ostatnio jest to popularne zajęcie. – - No więc? Gdzie on jest? – - Nie mam pojęcia.

Zakładam, że mówisz o posągu, który zniknął, gdy zamordowano Drantaaxa? Nikt nie wie, gdzie on się znajduje. – - Sądzę, że ty wiesz. – - Źle sądzisz. – - Wiem, że zatrudniono cię, abyś go znalazł. – - Zdumiewasz mnie, Sarin. Dlaczego uważasz, że będę o tym z tobą rozmawiał? – - Bo inaczej cię zabiję.

Sanna nigdy nie planowała przesadnie subtelnych działań. – - Chcesz go zdobyć dla Świątyni Gwiazd? – - Owszem.

Przypominam jej, że Iksjal Jasnowidz niedługo umrze.

–Myślę że przeżyje. A nawet jeśli nie, wówczas pomogę jego zwolennikom.

Pytam, dlaczego chce to zrobić. Sarin potwierdza moje podejrzenia – uczyła się u Iksjale sztuk walki i medytacji, winna jest mu więc lojalność. Ja jednak mocno wątpię, czy Sarin Bezlitosna potrafi być wobec kogokolwiek lojalna. – - Zabiłaś Drantaaxa? – - Nie przyszłam tutaj, aby odpowiadać na twoje pytania. Przyszłam po posąg.

–Posąg ważył dwie tony. Jak to możliwe, żebym go miał? Obserwuję jej twarz, aby sprawdzić, czy coś wie o magicznej sakiewce, jednak twarz Sarin jest zimna jak serce Orka i nie sposób w niej nic wyczytać. – - Zabiłaś mojego ojca? – wybuchają Soolanis. – - Czyli kogo? – - Taliusza Zielone Oko. – - Nie. I więcej mi nie przerywaj. Sarin zwraca się do mnie. – - Chcę dostać posąg, bo inaczej cię zabiję.

–Dzięki za ostrzeżenie. Zawsze chętnie spędzam czas z tanimi zabójcami. A takim właśnie tanim zabójcą jesteś, skoro chowasz się po kątach ze swoją kuszą.

Odstawiłbym cię do więzienia, gdyby wyznaczyli za ciebie nagrodę. A teraz spływaj.

Sarin nie zdradza gniewu. Po prostu odchodzi, a ja zwracam się do roztrzęsionej Soolanis.

–To kobieta prawdopodobnie zabiła twojego ojca i nie zawahałaby się przed zabiciem ciebie. Nie chodź więcej sama do żadnych tawem – ostrzegam. – Wracaj do domu. – - Nie chcę iść do domu – mówi żałośnie. – - No to upij się na dole.

Soolanis nie trzeba dłużej namawiać; odchodzi, aby to właśnie zrobić. Wyjmuję z kieszeni sakiewkę. Wewnątrz znajduje się wielki posąg, który wielu ludzi bardzo chce zdobyć. Można nawet pomyśleć, że za bardzo. No bo kogo może fascynować jakiś tam posąg? Coraz trudniej mi uwierzyć, że mnichom potrzebny jest do ceremonii religijnych. Na pewno istnieją łatwiejsze sposoby zdobycia posągu, nawet w tak krótkim czasie.

Dlaczego więc wszyscy tak bardzo chcą znaleźć ten właśnie? To tylko kupa brązu. Brąz jest stosunkowo cenny, ale nie na tyle, aby zabijać dla niego ludzi. Po stopieniu i przewiezieniu okazałby się niewart zachodu.

Biorąc to wszystko pod uwagę, zaczynam mieć pewne podejrzenia co do tego posągu.

— Co zamierzasz zrobić? – - Rozbić posąg. Przynieś mi młot. Makri ma zatroskaną minę.

— Wiem, że jesteś w ciężkiej sytuacji, ale nie musisz się wyżywać na posągu.

Nie możesz po prostu z kimś porozmawiać? – - Wcale nie zamierzam się na nim wyżywać. Chcę zobaczyć, co jest w środku. – - Chyba jest pusty? – - Być może. Ale zacznym mieć wątpliwości. W porządku, to piękne dzieło sztuki.

Klasztor pełen mnichów wojowników potrzebuje posągu świętego Kwatyniusza, bo inaczej narobiliby sobie wstydu wobec sąsiedniego klasztoru. Poza tym niedługo nastąpi Złączenie Trzech Księżyców. Ale dlaczego właśnie ten posąg? Prawdziwy Kościół nie wymaga, abyśmy odprawiali ceremonie przed wyjątkowo pięknym posągiem. Wręcz przeciwnie.

Jest wyraźnie powiedziane, że wierni mogą się posłużyć każdą podobizną świętego.

Biedacy świętują Złączenie przed tanimi posążkami z gipsu, które można kupić na rynku.

Poza tym nie sądzę, żeby mnisi wojownicy, znani z surowego trybu życia, koniecznie musieli mieć drogi posąg wykonany przez najlepszego rzeźbiarza Turai. To nie ma sensu. Sarin Bezlitosna twierdzi, że chce go zdobyć dla Świątyni Gwiazd z lojalności wobec Iksjala.

Jeśli uwierzysz w coś takiego, uwierzysz we wszystko. Ta kobieta ma w sobie tyle lojalności co wąż bokana. – - Kiedyś na dużej arenie walczyłam z wężem bokana gołymi rękami. – - Makri, czy mogłabyś się pozbyć nawyku opowiadania o swoich walkach za każdym razem, kiedy wspomnę o jakimś przedstawicielu fauny? – - Przepraszam.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej narasta we mnie przekonanie, że to nie jest zwyczajny posąg. Muszę mu się bliżej przyjrzeć. Kiedy to zrobię, po raz kolejny złamię prawo, ponieważ majstrowanie w jakikolwiek sposób przy posągu świętego Kwatyniusza to herezja. Gdyby Prawdziwy Kościół wiedział, że zamierzam dobrać się do niego za pomocą młota, trafiłbym pod sąd religijny i wylądowałbym na galerze szybciej, niż biskup Gzekiusz wypija karafkę doskonałego elfijskiego wina.

–Nikt nie może nas zobaczyć, bo będą kłopoty. Upewnij się, że Soolanis, Quen i Mniszek nie wejdą nam w paradę, a ja znajdę odpowiednio ciężkie narzędzie.

Soolanis, Quen i Mniszek. Nawet samo wymawianie ich imion psuje mi nastrój. Jak

to się stało, że goszczę u siebie trzy kobiety? A jeśli już, to czy to muszą być pijaczka, dziwka i wariatka? Czasami naprawdę nie wiem, co się dzieje z tym miastem.

–Kiedy byłem młody, za łożenie z kwiatami we włosach można było trafić do więzienia – narzekam, idąc na dół na podwórko za tawemą.

Na podwórku jest szopa, w której Palax i Kaby trzymają konia. Za nią stoi ich wóz.

Wzdrygam się na jego widok. Normalni ludzie mają proste drewniane wozy pomalowane na biało, być może ozdobione, na szczęście, niewielkim obrazkiem świętego Kwatyniusza w żółtej ramce. Wóz Palaxa i Kaby zdobią freski przedstawiające, Bóg jeden wie co, w kolorach tak jaskrawych, że aż oczy bołą. Oni wszyscy zaczynają mnie już denerwować – te młode kobiety na górze i ta para dziwadeł. Maszerowałem dla nich przez pustynię i brałem udział w bitwach. Powinni okazać trochę szacunku. Na przykład ubrać się normalnie i znaleźć jakąś pracę.

Biorę potężny młot ze zbioru narzędzi Gurda i wracam na górę. Jestem teraz w odpowiednim nastroju, żeby coś rozwalić. Wielki posąg świętego Kwantyniusza na koniu doskonale nada się do tego celu.

Wchodzę do pokoju i ostrożnie rozsuwam otwór sakiewki. Z magicznej przestrzeni wygląda głowa świętego Kwatyniusza. Muszę wyciągnąć posąg na tyle, aby mieć w co uderzyć, ale jednocześnie muszę też pilnować, aby podstawa pozostała w magicznej przestrzeni. Gdyby posąg w całości stanął w moim pokoju, przy swoim ciężarze zapewne przebiłby się przez podłogę i zabił połowę gości na dole.

Makri nadal ma wątpliwości co do całej operacji.

–To piękny posąg – zauważa. – Sam mówiłeś, że to dzieło sztuki o dużym znaczeniu.

Drantaax był świetnym artystą. Nie sądzę, żebyś miał prawo niszczyć jedno z jego dzieł.

Szczególnie ostatnie, jakie wykonał przed śmiercią.

Ignoruję jej sprzeciwy. Pięć miesięcy studiowała w Kolegium Gildii i już myśli, że jest ekspertem. – - Odsuń się. – - Złamiesz sobie rękę.

O tym nie pomyślałem. Ale teraz już nie mogę się wycofać. Walę w głowę świętego Kwatyniusza, celując w prawie niewidoczną spoinę pod brodą, gdzie łączą się panele z brązu.

Wymierzam potężny cios, wkładając w niego cały swój ciężar, a jest on przecież nie

byle jaki.

Rozlega się potężny brzęk i pojawia się małe wgłębienie. Uderzam znowu.

Wgłębienie się powiększa. Z wściekłością walę po raz kolejny, w końcu panel odpada i ląduje z wielkim hukiem na podłodze. Spod brązu, patrząc na nas niby anioł z nieba, wygląda pięknie ukształtowana złota twarz.

Wrzeszczę triumfalnie:

–Złoto! Posąg jest w środku złoty! Oto dlaczego wszyscy go szukają!

Jestem szczęśliwy jak pijany najemnik, że wreszcie udało mi się to rozszyfrować.

–To jest z pewnością owo zaginione złoto, które porwano w zeszłym miesiącu w drodze z kopalni do królewskiego skarbcza. Czeka mnie sowita nagroda.

Oglądam złotą głowę. Poniżej, pod panelami z brązu, znajduje się z pewnością złote ciało. Wątpię, czy kiedykolwiek przedtem w Dwunastu Morzach znalazło się tyle złota. Nie potrafię nawet obliczyć, ile jest warte. I nikt nie wie, że je mam.

Makri i ja oglądamy posąg w zamyśleniu. – - Nigdy już nie zobaczę takiej ilości złota – mówię. – - Na pewno nie. – - Król już i tak ma go dużo.

–I przez cały czas wydobywają go coraz więcej.

Wzdycham i zaczynam zaciągać otwór sakiewki. Pomysł jest kuszący, ale prędeż czy później i tak ktoś by się dowiedział. Jestem za stary, aby uciekać z miasta.

–Chyba jednak nie chciałabym teraz opuszczać Turai – oznajmia Makri. – Miasto jest do chrzanu, ale uniwersytet macie najlepszy na całym zachodzie.

Posąg zniknął w magicznej przestrzeni. Wkładam sakiewkę z powrotem do kieszeni. – - A może, zanim go oddasz, udałoby się przynajmniej uciąć palec? – - Nie ma mowy.

W zasadzie nie jest to taki zły pomysł. Sprawdzę, jak wygląda moja sytuacja finansowa. Oczywiście teraz należy mi się taaaaka nagroda. Król jest wściekły jak smok z powodu utraty złota, a pałac zaofiarował tysiąc guranów za informację, która pomogłaby w jego odzyskaniu. Mógłbym w tej chwili zabrać sakiewkę do pałacu i zażądać nagrody – tyle tylko, że nadal pracuję, aby uratować Grosexa i znaleźć zabójcę Taliusza, co oznacza, że święty Kwatyniusz wciąż jeszcze jest mi potrzebny.

–Sądziś, że mnisi ze Świątyni Gwiazd i Chmur wiedzą, że w środku jest złoto?

–Tak. – - Kto je tam umieścił? – - Nie jestem pewien. Kimkolwiek jednak był ten

człowiek, mnisi bardzo chcą je zdobyć. Sarin także. Teraz możemy więc oczekiwać, że rozpęta się piekło.

Makri nie ma nic przeciwko temu. Ja również, ponieważ jestem bardzo zadowolony z siebie, bo rozwiązałem przynajmniej część zagadki. Biorę nóż, podrzucam go tak, że obraca się w powietrzu, spadający łapię za rękojeść i jednym płynnym ruchem wsuwam do pochwy.

Potem wyciągam księgę zaklęć i zaczynam wbijać sobie w pamięć zaklęcie nasenne.

–Jeśli chcą zdobyć złoto, będą musieli przyjść tu i je zabrać. Już ja im pokażę, kto tutaj jest mistrzem.

Biorę ze stołu butelkę klee. Jest pusta. Szybko je ostatnio opróżniam. Wyciągam następną z sekretnego schowka pod kozetką i wypijam kilka szklanek razem z Makri. Makri wzdyga się, bo płyn pali jej gardło. – - Wpędzasz mnie w złe nawyki. – - Jakie złe nawyki? A tak na marginesie, co jest niezwykłego w walce z wężem bokana? Zabiłem ich mnóstwo, kiedy maszerowaliśmy przez dżunglę. Nie są aż takie straszne. – - W krajach Orków osiągają większe rozmiary, a ich jad jest mocniejszy.

–No jasne.

Słońce pali, a ja chętnie spędziłbym popołudnie w łóżku, mam jednak robotę.

Przypasowuję miecz i wychodzę; przypominam sobie, jak przysięgałem, że tego lata nie będę już więcej pracował. No i co z tego wyszło? Jeśli dostanę sowitą nagrodę za odnalezienie skradzionego złota, zamierzam spędzić jesień i zimę, podpierając bar Gurda i wymieniając się opowieściami wojennymi z każdym, kto zechce się do mnie przyłączyć.

W okolicy dostrzegam kilku członków Bractwa, nadal poszukujących Quen, i faceta, w którym rozpoznaję detektywa z lepszej dzielnicy, prawdopodobnie zatrudnionego przez Cech Karczmarzy. Klnę. Brakuje jeszcze tylko Sarin wyskakującej zza rogu i walącej do mnie z kuszy.

Główny budynek sądu znajduje się w pobliżu centrum handlowego w dzielnicy Złoty Półksiężyc. To ważna część miasta, sam sąd zaś to wspaniały budynek z trzydziestoma kolumnami od frontu i portykiem ze lśniącego białego marmuru. Stoi on na wielkim publicznym forum ozdobionym fontanną i posągami najróżniejszych świętych i dawnych władców Turai. Forum zbudował kilkaset lat temu dla większej chwały naszego miasta król Sariusz-Akan, który pokonał Mattesh i wrócił do domu z dużą liczbą łupów. Często tu przychodziłem, kiedy byłem starszym detektywem w Pałacu Imperialnym. Za każdym razem, gdy wszedłem do budynku sądu, służący witali mnie grzecznie, a prawnicy z Pałacu Sprawiedliwości śpieszyli, aby się ze mną spotkać i dowiedzieć się, co nowego z moim śledztwem. Te dni dawno minęły. Jeśli

ktoś tutaj mnie poznaje, nie okazuje tego.

Nie ma sensu być grzecznym dla faceta, który stracił swoją pozycję – a nie można bardziej się stoczyć niż osoba wyrzucona z pałacu za pijaństwo i niesubordynację.

Wreszcie udaje mi się zobaczyć z Grosexem zamkniętym w podziemnej celi. Siedzi na drewnianej pryczy i wygląda tak, jakby od dłuższego czasu nie jadł i nie spał. – - Jak poszedł pierwszy dzień procesu? – Żle. – - Jak sobie radzi twój obrońca z urzędu? – - Nadal zaznajamia się ze sprawą.

Grosex jest blady i wyraźnie chudszy niż tydzień wcześniej, kiedy go aresztowali.

Widać, że to człowiek, który utracił nadzieję. Próbuję go pocieszyć mówiąc, że znalazłem wiele tropów i tak dalej.

–Oczekuję, że wkrótce złapię prawdziwego mordercę. – - Wystarczająco szybko, żeby im uniemożliwić powieszenie mnie? – - Oczywiście.

To kłamstwo. Proces nie potrwa dłużej niż dwa dni. Jeśli Grosex zostanie skazany, szybko wykonają wyrok. System sądowniczy Turai nie ociąga się, kiedy już uzna kogoś za winnego. Jako pełnoprawny obywatel, Grosex będzie miał prawo złożyć apelację do króla, jeśli skazą go na śmierć, ale król nie lubi drażnić opinii publicznej zbytnią pobłażliwością.

Boi się, że przy tak wysokiej przestępczości w ten sposób sam ukręci na siebie bicz, który chętnie wykorzystają Popularzy senatora Lodusza.

Przez godzinę intensywnie wypytyuję Grosexa, ale niczego się nie dowiaduję. Dla niego był to po prostu zwykły dzień pracy, do momentu, kiedy znalazł Drantaaxa z nożem w plecach.

–Kiedy ostatnio używałeś tego noża?

Nie pamięta dokładnie, jednak podczas pracy używał go często, musiała więc pozostać na nim jego aura. Mówię mu, żeby się nie martwił.

–Jest mnóstwo sposobów na sfalszowanie aury. Dowiem się, co się za tym kryje.

Zastanawiam się na głos, czy Kalia mogła zabić swego męża, ale Grosex nie uważa tego za prawdopodobne. Wiedział, że była znudzona, ale nie czuła do męża nienawiści.

Wręcz przeciwnie, była wdzięczna, że nie musi już mieszkać w dzielnicy Dwanaście Mórz.

–Czy wiesz coś o nielegalnym złocie?

Nie rozumie. Nie zdradzam mu wszystkiego, co wiem o złotym posągu, ale daję do zrozumienia, że Drantaax był zamieszany w kradzież złota.

Grosex gwałtownie zaprzecza, jakoby rzeźbiarz mógł brać jakikolwiek udział w tym przestępstwie. Jestem jednak pewien, że Drantaax nie wypełniłby posągu złotem w swoim warsztacie bez wiedzy czeladnika, mówię mu więc, żeby się nie silił na udawanie.

–Drantaax nie żyje, nie musisz go bronić. Tobie zaś zostało niewiele czasu.

Kiedy się dowiem, skąd Drantaax wziął złoto, może będę mógł szybciej nakryć jego zabójcę, zatem jeśli coś wiesz, lepiej gadaj.

Biedny, blady, wychudzony Grosex całkiem się poddaje. Opada na twarde drewniane krzesło, ukrywa głowę w dłoniach i wlepia wzrok w gołą kamienną podłogę.

–Wiedziałem, że nigdy mu się to nie uda – wzdycha. – A teraz nie żyje. Jeśli go zdemaskujesz, nie pozostanie mu nawet dobra reputacja.

–Bardziej sobie cenisz jego reputację niż własne życie? Grosex zastanawia się nad tym pytaniem. Wreszcie dochodzi do wniosku, że wyżej jednak ceni sobie życie, ale rywalizacja była ostra. Nie ma już siły walczyć. Mam wrażenie, że chyba zaczyna już uważać stryczek za rodzaj wyzwolenia. Nie lubię, kiedy moi klienci mają takie nastawienie. – - Zaczęło się od hazardu. – - Od hazardu?

–Drantaax obstawiał, co się dało. W sezonie wyścigowym większość czasu spędzał na Stadionie Superbuisza. Po sezonie grał na wyścigach w innych miastach. Doszło już do tego, że miał trudności z kupnem marmuru, tak był wszędzie zadłużony.

Zaczynam lubić tego Drantaaxa. To był chyba całkiem niezły facet jak na artystę.

–Pił?

–O wiele za dużo.

Człowiek myśli, że ci artyści to nudziarze, a tu nagle okazuje się, że są całkiem w porządku.

–Zaciągnął nowy dług hipoteczny i wkrótce miał stracić dom. Kalia nic o tym nie wiedziała, a jemu bardzo zależało, żeby z nim została – śmieje się ponuro. – Chociaż pewnie by się tym nie przejęła. Biedny Drantaax szalał za nią, a ona miała go w nosie.

Sądzę, że związała się z kimś innym, ale nie wiem z kim. Ludzie myśleli, że ze mną, ale byli w błędzie.

Tak więc Drantaax, zadłużony, oszołomiony alkoholem i desperacko szukający wyjścia z kłopotów, był bardzo zainteresowany, kiedy pojawiło się rozwiązanie w osobie gościa, który zadał niezwykle pytanie, czy zdołałby ukryć dużą ilość złota wewnątrz posągu.

Posągu świętego Kwatyniusza, mówiąc ściśle. – - Dlaczego świętego Kwatyniusza? – - Bo majstrowanie przy posągu tego świętego jest herezją. Nawet gdyby magowie z Pałacu Sprawiedliwości przeszukiwali miasto, nigdy nie zajrzeliby do wnętrza posągu. To by było bluźnierstwo.

To prawda. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Stosunki czarowników i Prawdziwego Kościoła nie układają się najlepiej. Żaden mag nie zaryzykuje gniewu Kościoła, majstrując przy jego najważniejszym symbolu religijnym. – - Plan był taki: złoto miało pozostać w posągu do czasu, kiedy zostanie on umieszczony w kościele poza miastem. Stamtąd zabrano by je później, kiedy wrzawa by już przycichła. Drantaaxowi zapłacono tyle, że mógł spłacić długi i postawić swój interes z powrotem na nogi. – - Kto za tym stał?

Grosex nie wie. Nigdy nie widział człowieka, który rozmawiał z rzeźbiarzem.

Drantaax powiedział mu o tym, bo całej operacji nie dałoby się przed nim ukryć, ale kiepsko zna szczegóły. Nie ma pojęcia, kto mógłby zabić Drantaaxa. Najwyraźniej niewiele wie o czymkolwiek, i nie mogę z niego wydostać żadnych informacji o mnichach lub Sarin. – - Kto jeszcze wiedział o złocie? – - Nikt. Drantaax kazał mi zaprzysiąc milczenie. Nigdy nie pisałem słówka. – - Nie miałeś nic przeciwko temu, że bierzesz udział w czymś takim? Nawet gdyby nie zamordowano Drantaaxa, bardzo prawdopodobne, że i tak wylądowałbyś w więzieniu jako współnik przy kradzieży królewskiego złota. – - Co mogłem zrobić? Donieść władzom na swojego pracodawcę? Żaden rzeźbiarz nie zatrudniłby mnie już jako czeladnika. A i tak miałbym kłopoty z władzami, bo nikt by nie uwierzył, że nie maczałem w tym palców. Poza tym Drantaax był największym artystą w mieście. Jednym z największych na całym świecie. Nie chciałem być osobą, która będzie odpowiedzialna za wysłanie go na galery.

Do celi wchodzi strażnik, aby mi powiedzieć, że mój czas się skończył. Przed odejściem dyskretnie wsuwam Grosexowi kilka pałeczek thazis. Może go trochę rozwesela.

Troszczę się o swoich klientów. Thazis jest oczywiście nielegalne, ale co mogą zrobić facetowi, którego i tak niedługo powieszają?

–Uwolnię cię, ani się obejrzysz – mówię na pożegnanie, głównie po to, aby zrobić wrażenie na strażniku. Na krótko ogarnia mnie depresja. Odkąd zobaczyłem ten żaloszny pokój w dzielnicy Dwanaście Mór, gdzie mieszkał Grosex, i dowiedziałem się, że nie ma rodziny ani przyjaciół, bardzo się starałem, aby go nie żałować. Jednak kiedy zobaczyłem, jak siedzi w tej celi i czeka, aż go powieszają, moje wysiłki poszły na marne.

–Wyglądasz żalosznie jak dziwka z Nioj – rozlega się mocny głos. To kapitan Rallee.

Patrzę na niego groźnie i staram się zrobić lepsze wrażenie. Nie pozwolę, żeby kapitan się dowiedział, iż zacząłem żałować swoich klientów. Mówi, że właśnie mnie szukał. – - Nadal próbujesz udowodnić, że Grosex jest niewinny? Trochę się z tym spóźniłeś, nie sądzisz? – - Nie spóźniłbym się, gdyby prefekt Toliusz nie uniemożliwił mi widzenia się z moim klientem.

Kapitan wzrusza ramionami. – - Toliusz nigdy nie przejmuje się subtelnościami prawa. To głupiec. Głupi jak Ork, jeśli już o to chodzi. W tym przypadku jednak to nie robi żadnej różnicy, bo Grosex jest winny, o czym już pewnie wiesz. – - Nie ma dowodów, że on to zrobił. – - Nie ma dowodów? To był jego nóż, a na nim jego aura. – - Pomyśl, Rallee. Istnieje wiele sposobów na sfalszowanie aury. – - Nieprawda. Jest wprawdzie kilka sposobów, ale do każdego z nich potrzebne są wielkie czarnoksiężskie umiejętności. Chcesz mi wmówić, że jakiś doskonały czarownik poszedł do warsztatu Drantaaxa tylko po to, aby wbić w niego nóż i obwinić czeladnika?

Mało prawdopodobne. A poza tym nic takiego nie miało miejsca, bowiem stary Hazjusz Wspaniały twierdzi, że w warsztacie nie użyto czarów, a ja prędzej uwierzę jemu niż tobie.

Podobnie jak sąd. – - Jaki miałby motyw? – - Prawdopodobnie chodziło o Kalię. Zabij pracodawcę i poderwij jego żonę. Plan niemądry, ale i nierzadki. Pamiętam, że ty sam zajmowałeś się kilkoma takimi sprawami, zanim wyrzucono cię z pałacu. Przyznaj, Thraxasie, postawiłeś na złego konia.

Jeśli zaczynasz zniżać się do sztuczek tak głupich, jak próba przekonania mnie, że dwaj dranie z ulicy, którzy cię zaatakowali, zabili też Drantaaxa, nadszedł czas, abyś oddał togę. Ale nie o tym chciałem z tobą mówić. Co to za afera z tymi mnichami, którzy opanowali miasto? – - Mnisi opanowali miasto? Nie zauważyłem. – - Oczywiście, że nie, Thraxasie. Tyle tylko, że jeden z nich jest twoim klientem.

Czcigodny Trezjusz. Lepiej się pilnuj, żebyś go nie rozgniewał, facet był mistrzem walki wręcz w Północnej Armii czterdzieści lat temu. Mówiono mi, że nie osłabł z wiekiem. Po co cię zatrudnił?

Kapitan Rallee powinien już wiedzieć, że nigdy nie omawiam spraw moich klientów ze strażnikami. – - Nie zatrudnił mnie. Po prostu wpadł, aby porozmawiać o współistotności. – - A co to jest, u diabła? – - Skomplikowana kwestia religijna związana z rzeczywistą naturą boskości. – - Śmieszne, Thraxasie, śmieszne. Czy o tym właśnie dyskutowaliście, kiedy przerzucałeś swój tłusty tyłek przez mur jakiejś willi w Thamlinie zeszłej nocy?

Nie udawaj zaskoczonego. Nie tak trudno cię rozpoznać. Ani Makri. Strażnicy, którzy widzieli jak przechodzisz przez mur, twierdzą, że nadal dobrze się ruszasz, jak na takiego grubasa. O co tam poszło? – - Przykro mi, kapitanie. Naprawdę nie wiem, o co poszło. Ja i Makri poszliśmy tam w prywatnej sprawie i przypadkiem natrafiliśmy na bójkę. – - Zła odpowiedź, Thraxasie. Niezależnie od tego, w co wplątani są mnisi, ty też maczasz w tym palce. Wziąłeś ostatnio dużo spraw, co? Czcigodny Trezjusz, córka Taliusza... i Quen.

Omam nie podskakują na dźwięk tego imienia, ale udaje mi się zapanować nad sobą.

Jestem przerażony, że kapitan wie o Quen. Może powinienem był się tego spodziewać – jako dobry fachowiec ma wiele kontaktów – jednak wieść, że łączy się mnie z Quen, to dla mnie cios.

–Jeśli ją ukrywasz, Thraxasie, naprawdę napytałeś sobie biedy. Ona spaliła tawemę i zabiła karczmarza, należy jej się więc krótka podróż na szubienicę. A i tam nie zdąży, jeśli Bractwo znajdzie ją pierwsze. Podobnie jak ty. Po co się w to wplątałeś?

Nie przychodzi mi do głowy żadna mądra odpowiedź, więc zachowuję milczenie.

–Jeśli wiesz, gdzie ona jest, Thraxasie, i ukrywasz tę wiadomość, naprawdę radzę ci, abyś to przemyślał. Powiedz mi, a ja japo cichu zabiorę, żeby nikt nie łączył tego z twoją osobą.

W sercu Rallee zbudziły się zapewne stare wspomnienia o wspólnej walce z Niojanami i Orkami. Próbuje wyświadczyć mi przysługę. Nie chce, abym naraził się Bractwu.

Jednak chociaż z chęcią pozbyłbym się Quen, nie mogę oddać przyjaciółki Makri władzom, żeby ją powieszono. W milczeniu zabieram się do odejścia.

–Myślę, że zachowałeś się niemądrze, Thraxasie. Już i tak za dużo masz na głowie. Ci mnisi rozrywają się nawzajem na kawałki. Niezależnie od tego, co cię z nimi łączy, sam pewnie też skończysz podobnie. Szczególnie teraz, kiedy Iksjal z powrotem stanął na nogi.

Niebezpieczny facet, ten Iksjal Jasnowidz.

Otwieram usta ze zdumienia. – - Iksjal Jasnowidz? Z powrotem na nogach? Kilka godzin temu był ledwie żywy. – - Być może. Ale teraz chodzi sobie jak ta lala. Sam widziałem. Wzięliśmy go na przesłuchanie z powodu bójk w ogrodzie. I wiem coś jeszcze, co powiem ci za darmo. Cech Zabójców dostał zlecenie, aby go zabić. – - Skąd wiesz? – - Mamy swoje źródła. – - Jeżeli macie szpiega w Cechu Zabójców niedługo będziecie się nim cieszyć.

Czy naprawdę wynajęto ich, aby zabili Iksjale? – - Tak. Na twoim miejscu trzymałbym się od tego z daleka, Thraxasie. Jeśli zdołasz odkryć, kto zabił Taliusza Zielone Oko, życzę ci szczęścia. Życzyłbym ci go nawet, gdybyś mógł odkryć coś, co pozwoli oczyścić Grosexa z podejrzeń, chociaż jest winny jak diabli. Ale tych mnichów powinieneś unikać. Pozbądź się też Quen, zanim Bractwo się zirytuje, albo Pałac Sprawiedliwości wyśle na poszukiwania porządnego czarownika.

Wychodzę z sądu zamyślony. Iksjal żyje. To niemożliwe – a jednak. A teraz ma zostać zabity. Kto to zlecił? I dlaczego? Przeklęci mnisi. Żałuję, że ich spotkałem. I przeklęta Quen.

Jeśli już musiała spalić tawernę, czy nie mogła potem po prostu skoczyć na konia i uciec z miasta, zamiast biec do tawerny „Pod Mściwym Toporem”, żeby utrudniać mi życie?

Zamierzałem zapytać kapitana, jak sobie radzą strażnicy z poszukiwaniami zaginionego złota, ale zapomniałem. Jest gorąco. Znajduję w pobliżu tawernę, przepycham się pomiędzy skrybami, prawnikami i powodami, aby zdobyć jedno piwo dla ugaszenia pragnienia, i drugie, żeby mi było łatwiej myśleć.

Makri pada na moją kozetkę. Pot spływa po jej ramionach, a ona drapie się w miejscach, gdzie bikini z kolczugi otarło jej skórę w upale.

–Głupie ubranie – mruczy.

Niewątpliwie. W walce nie ochroni. Makri posiada wspaniałą lekką zbroję ze skóry i kolczugi, którą przywiozła z więzienia dla gladiatorów. Orkowie są uzdolnionymi kowalami i ich zbroje dorównują naszym, choć ustępują wyrobom Elfów. Lekka zbroja Makri ochroni ją przed większością noży, ale nikomu nie zawróci w głowie ani nie pomoże w zbieraniu napiwków, dlatego właśnie w godzinach pracy zakłada bikini. Zapewne uwłacza to jej godności, ale ponieważ Makri uważa wszystkich mężczyzn z Dwunastu Mórz za hołotę, nie przejmuje się tym zbytnio. Zaczyna się natomiast przejmować tłokiem w swoim pokoju. – - Wyrzucić Mniszka – podsuwam z nadzieją. – - Nie. Powiedziałam, że może zostać. – - Czy ona nie ma własnego mieszkania? – - Chyba nie. Ostatnio sypiała na plaży. – - To, przynajmniej była blisko delfinów.

Makri nie złamie raz danego słowa, więc Mniszek na razie zostanie, przyznaje jednak, że to zaczyna być męczące. Mniszek ciągle chce postawić jej horoskop, a Makri nie ma czasu na takie rzeczy. Zapaliła też perfumowane świece, które pobrudziły woskiem topór Makri.

To denerwujące dla kobiety, która kocha swój topór. – - Dlaczego to znosisz? – - Bo jednak ją lubię. Nigdy przedtem nie spotkałam nikogo, kto by uważał, że drzewa są równie ważne jak ludzie. A poza tym nie mam w tym mieście przyjaciół.

Może z wyjątkiem ciebie. Dobrze jest mieć kogoś, z kim można pogadać. Przynajmniej jest bardziej przyjacielska niż Quen – ta to w ogóle nic nie mówi. A powinna być bardziej uprzejma, skoro ocalałam jej życie i pozwoliłam ze mną zamieszkać.

Zauważam, że Quen, jako egzotyczna tancerka, miała zapewne wiele doświadczeń, które zraziły ją do ludzi, i nie potrafi już zachowywać się przyjacielsko. A może zbyt boi się Bractwa, żeby myśleć o pogawędkach. – - Możliwe. Ale ona przez cały czas siedzi w milczeniu. To trochę męczące. I jak się to stało, że wylądowała u mnie również Soolanis? – - Myślę, że jest nieszczęśliwa, bo zabito jej ojca i nie chce wracać do domu.

Pewnie w willi czuje się samotna. – - Nie mogłaby sypiać tutaj? – - Absolutnie nie. Potrzebuję kozetki, kiedy nie jestem w stanie dotrzeć do sypialni.

Jesteś za miękka, Makri. Jeśli nie chcesz, aby u ciebie mieszkała, po prostu ją wyrzucić. Jej nikt nie próbuje zabić.

Makri mruczy.

–No, z nianie mam wiele kłopotu. Przez cały dzień leży pijana. Ciekawe, że tak zebrała wokół siebie grupę młodych kobiet w kłopotach. Mogłaby zacząć urządzić własne zebrania oddziału Ligi Kobiet Wyzwolonych. Pod warunkiem że Liga pozwala na swobodną interpretację pojęcia „kobieta wyzwolona”. Ale skoro Makii została przyjęta, to pewnie pozwala.

Makri przyszła, żeby przejrzeć notatki na następną lekcję, bo w jej pokoju jest za duży tłok, i nie może się skupić. – - Czego się uczysz? – - Języka Elfów. – - Przecież już go znasz. – - Tylko ten zwykły. Teraz uczę się królewskiego języka.

Nie jestem pewien, jak Makri udało się nauczyć elfijskiego. Oczywiście jest w jednej czwartej Elfem, sądzę jednak, że jej babka-Elf nie siedziała w więzieniu dla gladiatorów.

Makri nigdy nie opowiada o swojej młodości, a ja nigdy nie pytam. – - Co to? – pyta, dostrzegając, że na biurku przede mną leży kartka papieru. – - Robię listę wszystkich spraw, którymi muszę się zająć. Tak zazwyczaj robię, kiedy mam za dużo rzeczy na głowie, żeby wszystko naraz spamiętać.

Podaję listę Makri. Czyta ją na głos. – - Mnisi, posąg, kradzież złota, Drantaax, Grosex, Taliusz, Cech Zabójców, Quen, Sarin, Iksjal, Trezjusz. Racja. Naprawdę masz dużo rzeczy na głowie. Zabawne, że tego lata miałeś w ogóle nie pracować. – - Boki zrywać. – - Iksjala możesz w każdym razie wykreślić. – - Nie mogę. Ozdrawiał. – - Nie bądź śmieszny.

Zapewniam ją, że to prawda. Makri jest równie zdumiona jak ja. Oboje wiemy, że Iksjal powinien być już martwy. Nawet gdyby w jakiś sposób udało mu się oszukać śmierć, rekonwalescencja zajęłaby całe miesiące. To niemożliwe, żeby tak sobie po prostu chodził.

–Czary? – Żadna znana mi odmiana magii nie jest w stanie uleczyć gangreny i obrażeń takich, jakie miał Iksjal. Po prostu nie wiem. – - Skąd na liście wziął się Cech Zabójców? – - Zlecono im zabicie Iksjala. Nie wiem, kto jest zleceniodawcą, ale to wiarygodna informacja. Sądząc z tego, czego się dowiedziałem, nie będzie łatwym celem.

Jeśli to zadanie dostanie twoja przyjaciółka Hanama, niech lepiej uważa.

Makri sztywnieje na wzmiankę o Hanamie, niepewna, czy znów nie rozpoczniemy naszej zwyczajowej kłótni na jej temat, ale tym razem nie dochodzi do spięcia.

–I uważaj kiedy wyjdiesz na dwór. Sarin Bezlitosna grozi, że mnie zastrzeli, jeśli nie oddam jej posągu. – - Będę uważać. Czy sądzisz, że wkrótce odkryjesz coś, co

pomoże ci uratować Grosexa? – - Raczej nie. Mocno podejrzewam tych dwóch drabów, z którymi walczyliśmy, ale ponieważ poszli z dymem, nie ma sposobu, aby powiązać ich z przestępstwem. Nawet jeśli naprawdę zabili Drantaaxa, sądzę, że zorganizował to ktoś inny. Gdybym zdołał to udowodnić i tak ocaliłbym czeladnika. Wszystko kręci się wokół tego posągu, co wskazywałoby na Iksjala i Świątynię Gwiazd. Teraz jednak, kiedy posąg okazał się pełen złota, skąd mogę wiedzieć, że ktoś inny nie jest za to odpowiedzialny? Może osoba, która zorganizowała kradzież, posprzeczała się z Drantaaxem i kazała go zabić. To może być zbieg okoliczności, że akurat w tym samym czasie mnisi ze Świątyni Gwiazd zaczęli poszukiwać nowego posągu. A jeśli Iksjal wie, że jest w nim złoto i od samego początku był w to zamieszany? Po prostu nie wiem. Nie mogę pojawić się w sądzie ze zwariowaną historyjką o mnichach i posągach. A gdyby konsul się dowiedział, że mam to złoto, pewnie powiesiłby mnie zamiast Grosexa.

Wypijam łyk piwa i połykam kęs placka, który kupiłem w świetnej piekarni Minarixy. – - Potrzebna mi inspiracja. Albo hit szczęścia. Jedno lub drugie. – - Ile masz czasu do dnia, kiedy powieszą Grosexa? – - Dwa, trzy dni.

–No to przynajmniej nie ma pośpiechu. Wypij następne piwo. Dostrzegam, że Makri coraz częściej bywa cyniczna. Siada ze swoim manuskrytem, a ja pustym wzrokiem patrzę w okno, czekając na inspirację. Mam za wiele informacji. Nie mogę ich poukładać.

Jestem zdezorientowany. Idę na dół po następne piwo.

Kilka godzin później nadal patrzę w okno, chociaż teraz mam już wokół siebie całą kolekcję pustych dzbanków. Makri, która przez cały ten czas czytała, wreszcie wstaje z podłogi i składa manuskrypt. Potem rzuca okiem na puste naczynia.

–To przyjemność patrzeć, jak pracujesz – mówi z szerokim uśmiechem, a potem rusza na dół, na podwórko za tawemą, aby poćwiczyć sztukę walki przed lekcją elfijskiego.

Wzdycham. Inspiracja się nie pojawiła. A przecież stworzyłem jej doskonałą okazję.

Sądzę, że teraz powinienem wyjść i zobaczyć, czy uda mi się popchnąć sprawę do przodu.

Pójdę odwiedzić Iksjala Jasnowidza. Jeśli nie dowiem się niczego nowego w sprawie Grosexa, może przynajmniej zdradzi mi sekret swego ozdrowienia.

Opróżniam wielki talerz gulaszu z warzywami przygotowanego przez Tanrose. Z zewnątrz dochodzą ledwo słyszalne odgłosy treningu Makri, która atakuje manekin toporem, nożami i mieczami. – - Makri powiedziała mi, że dobrze sobie radzi w Kolegium Gildii – zauważa Tanrose. – - Tak. Niedługo będzie mogła się zwrócić do

elfijskiej rodziny królewskiej w ich własnym języku. Zastanawiam się, czyjej odpowiedzą?

Gulasz Tanrose nie daje mi takiej przyjemności jak zwykle. Biorę dodatkowy naleśnik, aby wytrzeć nim talerz, ale robię to bez entuzjazmu. W ponurym nastroju wychodzę w popołudniowy upał. Z nadzieją, że uda mi się coś odkryć.

–Pewnie to lepsze od wiosłowania na galerze – mruczę do siebie, idąc ulicą Kwintesencji.

Na pierwszym rogu stoi grupa Królów Koolu, którzy starają się wyglądać na twardzieli. Gapią się na mnie, a ja gapię się na nich. Wkrótce wszyscy wstąpią do Bractwa, gotowi wkroczyć w świat prawdziwej przestępczości, chyba że wybuchnie wojna i zostaną wcieleni do wojska, a wtedy większość z nich nie przeżyje. Albo przyjdzie zaraza, tak jak kilka lat temu – to kolejny dobry sposób na opróżnienie slamsów.

Szybko znajduję powóz i rozkazuję woźnicy, aby mnie zawiózł do tej willi w Thamiinie. Nie jestem pewien, czy zapukać do frontowych drzwi, czy też wkraść się od tyłu.

Wybieram to pierwsze. W tej chwili mam już dość skradania się.

Jawność przynosi rezultaty. Kiedy podchodzę do drzwi i walę w nie tak głośno, że obudziłbym nawet starego króla Kibena, otwiera mi Kalia we własnej osobie.

Dziwne, że nie zatrudniają tu żadnych służących. Najprawdopodobniej mnisi sami dbają o siebie.

W każdej innej posiadłości w Thamlinie pani domu raczej by umarła, niżby miała sama otworzyć gościowi drzwi. Przypuszczam jednak, że Kalia, która pochodzi z dzielnicy Dwanaście Mórz, nie ma nic przeciwko temu.

Kalia informuje mnie, że nikogo nie ma. Ustawiała się w drzwiach tak, aby dać mi do zrozumienia, że nie pozwoli wejść i sprawdzić. Dostrzegam, że wydaje się bardziej zadowolona z życia.

–Dowiedziałem się, że Iksjal wyzdrowiał. Kiwa głową.

–Jak?

–Dzięki swym wielkim talentom.

–Zadziwiające talenty. Sam mam ochotę wziąć się za medytację. Gdzie jest teraz?

Szuka Trezjusza?

Nawet jeśli Kalia coś wie, nie chce powiedzieć.

Mówię, że chciałbym ją zapytać o Drantaaxa. Nie ma ochoty ze mną rozmawiać, aż wreszcie muszę jej przypomnieć, że strażnicy nadal chcą ją przesłuchać, a ja mogę ją wydać bez skrupulów. Dzięki temu przechodzę przez drzwi, ale nie dalej. Kalia twierdzi, że nie wie nic ponadto, co powiedziała mi wcześniej. Nie wie, kto zabił jej męża i nie ma pojęcia o nielegalnym złocie. – - Wiesz, że Drantaax był mocno zadłużony? – - Nieprawda. Mój mąż był najpopularniejszym rzeźbiarzem w mieście. Miał zamówienia na lata, każde z nich dużo warte. – - Być może, ale lubił też hazard. Dowiedziałem się, że zaciągnął drugą pożyczkę hipoteczną, aby opłacić bukmacherów, i miał wszystko stracić.

Po raz pierwszy Kalia jest zaskoczona, a potem zła. Upiera się, że nie mam racji.

–Drantaax nie uprawiał hazardu. Gdyby grał, może nie byłby taki nudny. Nie był też pijakiem. Nie wiem, z kim rozmawiałeś, ale to wszystko nieprawda.

Czyli Drantaax zdołał ukryć swoje długi przed żoną. A także swoje pijaństwo.

Farciarz.

–Jeśli nie miał długów, dlaczego tak się martwił, czy uda mu się ukończyć ten posąg? – - Nie martwił się – twierdzi Kalia. – Prace postępowały według planu. Niedługo przed zabójstwem spędziliśmy kilka dni na wsi. Oto, jak się martwił. A teraz przepraszam, ale mam coś do zrobienia. – - Na przykład? – - Pakowanie. Wyjeżdżam z Iksjalem. – - Ty wyjeżdżasz, a Grosex będzie wisiał. – - Nic nie mogę zrobić. Nic, co mogłabym powiedzieć strażnikom, nie oczyści jego imienia. – - Aresztowanie Iksjala za morderstwo oczyściłoby je na pewno.

Kalia milknie i nic więcej nie mogę z niej wydostać. Prawdopodobnie nie ma już nic do powiedzenia. Przed odejściem ostrzegam ją przed zabójcami. Los Iksjala mnie nie obchodzi, ale Cechu Zabójców nienawidzę, bo to stado zimnych morderców, i chętnie im przeszkadzam, jeśli mogę. Poza tym jeśli zabiją Iksjala, nigdy nie stanie on w sądzie. – - Iksjal Jasnowidz potrafi zadbać o siebie. – - Z pewnością. Jednak przekaż mu tę informację. Cech Zabójców to nie żarty.

Jeśli zlecenie weźmie Hanama, Iksjal nie ma dużych szans. Ona nie zawraca sobie głowy uczciwą walką, tak jak Trezjusz. Strzeli mu w plecy albo użyje zatrutej strzałki, kiedy będzie spał.

Kiedy opuszczam willę, mam niewyraźne wrażenie, że w pobliżu jest coś, czego tu być nie powinno. Coś lub ktoś. Nie wiem co, ale wrażliwość, jaką w sobie wytworzyłem, kiedy uczyłem się na czarownika, nawet teraz rzadko mnie zawodzi.

Nie byłbym zaskoczony, gdyby w ogrodzie znajdował się zabójca. No cóż, ostrzegłem Iksjalę. Jeśli to zignoruje, to jego problem.

Dochodzę do wniosku, że powinienem sprawdzić informację o długach Drantaaxa.

Wpadam do Staroxa, bukmachera, który prowadzi interesy w nielegalnym biurze na granicy Pashish i dzielnicy Dwunastu Mórz. Starox należy do Bractwa, ale jesteśmy w dobrych stosunkach, głównie dlatego, że tak dużo pieniędzy u niego straciłem. Ku mojemu zaskoczeniu Starox mówi mi, że nigdy nie przyjął zakładu od Drantaaxa.

Nie rozumiem, jak to możliwe. Jeśli rzeźbiarz chciał trochę pograć, powinien udać się właśnie do Staroxa. Co więcej, Starox wyraża opinię, że gdyby Drantaax wiele stracił u jakiegokolwiek bukmachera w mieście, na pewno by o tym wiedział.

–Znam wszystkich hazardzistów w Turai i sadzę, że nie było wśród nich tego rzeźbiarza. To znana osobistość i o ile wiem, nigdy nie postawił żadnego zakładu.

Dziękuję Staroxowi. Przed odejściem stawiam też kilka zakładów. W Turai nie zaczął się jeszcze sezon wyścigowy – jest za gorąco, żeby rydwany mogły wystartować na Stadionie Superbiusza – ale dalej wzdłuż wybrzeża, gdzie dociera morska bryza, znajduje się niewielki amfiteatr i w tym tygodniu odbędą się tam wyścigi. Zamierzałem tam nawet pojechać, zanim wplątałem się w to śledztwo.

Mój następny przystanek to Archiwum Publiczne, niedaleko sądu. To kolejna instytucja, gdzie niegdyś witano mnie serdecznie, a teraz urzędnicy udają, że mnie nie znają.

Do diabła z nimi. Znajduję młodego urzędnika, który ma trochę wolnego czasu i razem przeszukujemy zwoje, aż wreszcie znajdujemy dokument opisujący posiadłość Drantaaxa w Pashish. – - Kto jest jej właścicielem? – - Drantaax. – - Ale kto udzielił mu kredytu hipotecznego?

–Nikt. Według akt miejskich posiadłość nie jest zadłużona. Sprawdzam sam.

Chłopak ma rację. Posiadłość Drantaaxa ma czystą hipotekę. Z dokumentów nie wynika, żeby rzeźbiarz miał jakieś problemy finansowe. Żadnych długów i żadnego hazardu? Dlaczego więc Grosex myślał, że jego pracodawca ma kłopoty? Sprawa wygląda coraz dziwniej. Ruszam do domu. Zatrzymuję się przy straganie, gdzie kupuję arbuza, którego zjadam w drodze do tawerny. Bardzo się przy tym brudzę.

Przychodzi mi do głowy, że jeśli Sarin Bezlitosna wykona swoje pogrożki, strzała z jej kuszy przejdzie przeze mnie tak łatwo jak przez ten arbuza. Niewiele na to mogę poradzić, mogę tylko zachować ostrożność i polegać na swoich zmysłach. W tym upale trudno przecież chodzić w zbroi. Wykończyłaby mnie szybciej niż kusza. Mógłbym wbić sobie w pamięć zaklęcie ochronne, ale jest ono długie i noszenie go

ze sobą męczy mnie. Poza tym prowadząc dochodzenie, lubię mieć przy sobie zakłęcie nasenne, a obu zapamiętać nie mogę.

To nie na moje możliwości.

Wreszcie udaje mi się znaleźć jednego ze służących Drantaaxa, stajennego.

Strażnicy przetrzymywali go jako świadka, ale jego ojciec ma jakieś wpływy w Cechu Mistrzów Hippiki i udało mu się uwolnić syna. Stajenny powtarza tylko to, co już wiem, potwierdza jednak opinię Kalii, że Drantaax nie miał żadnych problemów. Prace nad posągiem szły zgodnie z planem, i nic mu nie wiadomo o żadnych długach. Stajenny towarzyszył Drantaaxowi i Kalii podczas ich krótkiego wypadu do Ferias, miasteczka na wybrzeżu, gdzie w lecie jest nieco chłodniej. Osoby zamożne często tam wyjeżdżają o tej porze roku.

Farciarze, myślę sobie, kiedy pod tuniką spływa po mnie pot, a skórzane sandały zaczynają przypominać mokre szmaty.

Zastanawiam się, czy Drantaax miał konto w banku. Większość mieszkańców Turai nigdy nie ma dość gotówki, aby sobie zawracać głowę deponowaniem jej w banku, a drobni kupcy zazwyczaj mają własny sejf albo ukrywają swoje zarobki gdzieś w domu.

Stosunkowo zamożny człowiek, taki jak Drantaax, mógł jednak założyć konto w dzielnicy Złoty Półksiężyc, gdzie klasy wyższe załatwiają swoje interesy. Mam w tym rejonie niewiele kontaktów, ale może zdołam dowiedzieć się, czy Drantaax miał długi. Tak jestem pochłonięty myślami, że nie dostrzegam Makri, dopóki nie wpada na mnie na ulicy Kwintesencji. – - Hej, Makri, uważaj, jak chodzisz. Co się dzieje, upał cię wykończył? – - Przepraszam.

Wyjaśnia, że właśnie wraca z lekcji elfijskiego, która była stresująca, bo profesor zawsze gapi się na nią tak, jakby nie miała prawa tam przebywać.

–Nienawidzę go. Ale posłuchaj!

I mówi coś w królewskim języku Elfów.

–Co to znaczy? – - Witaj na moim drzewie. – Doskonale, Makri. – - Zaimponowałam ci?

–Tak. Elfom też zaimponujesz, jeśli kiedykolwiek popłyniesz na południe i zaczniesz z nimi rozmawiać. Bardzo niewielu ludzi zna królewski język Elfów.

Niewielu ludzi zna którykolwiek z elfich języków, chociaż Elfy nie mają nic przeciwko temu, żebyśmy się ich uczyli. Makri posługuje się już biegle zwykłym elfijskim, ja też

mówię w nim całkiem nieźle. Trochę uczyłem się jako czeladnik u czarownika, miałem też okazję go używać, kiedy odwiedziłem Wyspy Elfów.

Te odwiedziny na Wyspach to jedyna rzecz, jaką Makri naprawdę we mnie podziwia.

Niewielu ludzi może się tym pochwalić. Handlujemy z nimi oczywiście, jednak poza załogami statków mało który obywatel wybiera się tak daleko, bowiem taka podróż uważana jest za niebezpieczną. Poza tym może się okazać bezowocna. My lubimy Elfy, ale one niechętnie przyjmują zbyt wielu gości.

–Popłynę tam kiedyś – oznajmia Makri. Jestem zaskoczony. – - Skąd ta zmiana decyzji? Ostatni Elf, którego spotkałaś, zbladł jak chusta, gdy wyczuł twoją orkijską krew. Przysięgałaś wtedy, że nigdy więcej nawet nie spróbujesz z którymś z nich porozmawiać. – - No cóż, kiedyś powitają mnie z przyjemnością.

Może i tak. Jak na wyrzutka społeczeństwa, Makri posiada zdumiewającą umiejętność zjednywania sobie ludzi. A także legendarnych bestii. Kiedy kilka miesięcy temu po raz pierwszy odwiedziliśmy Magiczną Polanę, Centaurowie nie mogli się nią nacieszyć.

Oczywiście Centaurowie, mówiąc zupełnie szczerze, interesują się każdą kobietą tak dobrze zbudowaną jak Makri niezależnie od jej rodowodu.

–Kaby ma kółko na pępku – mówi Makri. – Podoba mi się to. Nie sądzisz, że powinnam sobie coś takiego sprawić?

Jestem zdezorientowany tą nagłą zmianą tematu. – - Powiedziałaś mi, że dla Elfów przekłuwanie ciała stanowi tabu – wyjaśnia Makri. – Zmyśliłeś to? – - Nie, to prawda. – - No cóż, w końcu mogę je wyjąć, kiedy dojdzie do takiej podróży. Jak myślisz, czy powinnam sobie również założyć kółka na sutki? – - Tylko jeśli chcesz, aby Elfy zupełnie spanikowały. I po co, do diabła, miałybyś to robić? Nikt ich i tak nie zobaczy.

Makri nigdy nie miała kochanka. Twierdzi, że mogłaby mieć na to ochotę, gdyby mężczyźni z dzielnicy Dwanaście Mórz nie byli tacy odrażający. Przyznaję, że ma rację.

–Kaby ma przekłute sutki. Pokazywała mi właśnie...

–Czy moglibyśmy zmienić temat? Chętnie posłucham o nauce w kolegium, ale intymnych szczegółów mogłabyś mi oszczędzić.

Makri jest zdumiona.

–Czy to też kwestia tej waszej „cywilizacji”? Nagle rozlega się wołanie na Sabav,

wieczorne modły.

–No i widzisz, co narobiłaś, Makri. Gdybyś nie zaczęła pleść o tym przekłuwaniu, doszlibyśmy do domu przed modlitwą. Mógłbym sobie teraz siedzieć z piwem na kozetce. A tymczasem musimy uklęknąć i modlić się.

Większość obywateli, bardziej świadomych swego obowiązku niż ja i Makri, odeszła do świątyni lub do domu, żeby się modlić, lub ukryć, dopóki czas modłów się nie skończy.

Zostało jednak kilku podobnych do nas maruderów. Klękamy więc wszyscy razem z żebrakami, którzy żyją na ulicach i nie mają dokąd pójść. To denerwujące, szczególnie w sytuacji, kiedy widać już tawernę „Pod Mściwym Toporem”, ale nic nie mogę poradzić.

Makri szczególnie niechętnie przystępuje do tego aktu pobożności, ponieważ nie wierzy w Prawdziwy Kościół. Prawo nie dopuszcza jednak żadnych wyjątków i odmowa podporządkowania się oznacza areszt.

Mamroczę tekst wieczornej modlitwy. Słońce nadal pali, grunt pod moimi kolanami jest twardy jak kamień. Pocieszam się myślą o piwie Gurda, które wypiję za kilka minut. Po bardzo długim czasie rozbrzmiewa wezwanie do zakończenia modłów. W tej właśnie chwili odnoszę mocne wrażenie, że coś jest nie w porządku. Jakieś niebezpieczeństwo jest bardzo blisko. Prawie uniosłem się już na nogi, ale rzucam się na ziemię. Słyszę świst strzały z kuszy, a ja czuję ostry ból w ramieniu, o które otarł się grot. Padając potykam się o Makri i przewracamy się oboje. Podnoszę głowę. Ramię mam zakrwawione, ale oprócz tego nic mi nie jest.

–Przeklęta Sann – mówię, wyciągając miecz.

Dostrzegam, że Makri się nie porusza i nadal leży z twarzą w kurzu. Obracam ją delikatnie. Z jej piersi wystaje strzała z kuszy. Sann używa dwudziestocentymetrowych strzał.

Ta zagłębiła się na jakieś osiemnaście centymetrów. Z rany leje się krew. Kładę rękę na gardle Makri. Nie mogę wyczuć pulsu. Zbliżam twarz do jej ust; nic oddycha. Śmiercionośna strzała wymierzona we mnie przebiła jej mostek. Makri nie żyje.

Po raz pierwszy w życiu zamieram z przerażenia. Nie podnoszę nawet głowy, żeby zobaczyć, czy Sarin nadal jest w pobliżu. Nie próbuję się schować przed kolejnym strzałem.

Po prostu gapię się na Makri, która leży martwa na ulicy.

Zbliżają się do nas jacyś ludzie, którzy modlili się w pobliżu. Nie zwracam na nich uwagi, tylko podnoszę ciało Makri i ruszam z powrotem do tawerny”Pod Mściwym Toporem”.

–Zawołajcie strażników – krzyczy ktoś.

Za późno na strażników; na nic się już nie przydadzą. Nie mogę uwierzyć, że to się stało. Ciało Makri jest lekkie w moich ramionach i zwisa bezwładnie, kiedy przechodzę ostatnie kilka kroków dzielących mnie od tawerny. Krew z jej rany spływa na moje ramiona.

Jest wczesny wieczór i w tawernie panuje jeszcze spokój. Podchodzę do baru.

Gurd, który właśnie czyści kufle, podnosi na mnie wzrok i ze zdumienia otwiera usta. Stoję jak głupiec i nie wiem, co teraz zrobić. Nawet mówienie przychodzi mi z trudnością.

Pojawia się Tanrose.

–Makri nie żyje – mówię wreszcie.

Tanrose bierze mnie za ramię i prowadzi do pokoju na tyłach, gdzie kładę ciało Makri na stole.

Gurd jest w szoku, tak samo jak ja, i też nie może mówić. Tanrose pyta, co się stało.

–Sarin ją zastrzeliła – wyjaśniam.

Zabiję tę Sarin. Ale nie jestem w stanie zostawić Makri.

Tanrose schyla się nad ciałem. Jej oczy napędniają się łzami. Kiedy mija pierwszy wstrząs, moje też wilgotnieją. Jest mi niedobrze. Gurd jęczy i siada zrozpaczony.

Patrzę na swoją przyjaciółkę.

–Ona nie może tak sobie umrzeć – mówię.

Nagle Makri kaszle, a z jej ust wylewa się krew. Jęczy słabo, potem jej ciało znowu wiotczeje. – Żyje! – woła Tanrose.

Nie tracę czasu na gadanie. Natychmiast wypadam z tawerny i biegnę po lekarkę Chiaraxi. Ta zdolna kobieta kuruje ubogich mieszkańców dzielnicy Dwanaście Mórz, otrzymując w zamian niedużo pieniędzy, ale wielką wdzięczność. Biegnę tak, jak nie biegłem od czasu, kiedy byłem młodym żołnierzem. Przy wejściu do kamienicy, w której mieszka Chiaraxi, widzę kolejkę pacjentów. Przepycham się między nimi i docieram do jej mieszkania. W poczekalni siedzi młoda kobieta, która zapisuje na wizyty. Podnosi wzrok i otwiera usta, ale wymijam ją i wpadam do pokoju lekarki, zanim zdążyła wymówić słowo.

Chiaraxi schyla się nad pacjentem.

–Makii dostała strzałę z kuszy w pierś. Może umrzeć w każdej chwili!

Spodziewałem się dyskusji i jestem przygotowany na to, aby złapać Chiaraxi i siłą zanieść ją do tawerny „Pod Mściwym Toporem”. Ona jednak kiwa głową, mruczy do pacjenta, że przyjmie go jutro, chwytą torbę i wybiega ze mną na ulicę.

Biegniemy z powrotem do tawerny, gdzie szybko prowadzę ją do pokoju na tyłach.

Makri nie zdradza oznak życia. Jej skóra przybrała dziwny odcień.

Chiaraxi, widząc strzałę wbitą głęboko w pierś Makri, zerka na mnie pytająco.

–Ona nadal żyje – oznajmiam. – Rób, co możesz. Ja sprowadzę Astratha Potrójnego Księżyca.

Wybiegam tylnymi drzwiami i siodłam starego konia Gurda tak szybko, jak przystało na starego żołnierza. Potem wskakuję na jego grzbiet, wsuwam stopy w strzemiona i pędzę ulicą Kwintesencji, nie zważając na przewracających się przechodniów, którzy wykrzykują za mnąobraźliwe epitety. W rekordowym czasie pokonuję odległość dzielącą Dwanaście Mórz od Pashish. Nie tracę czasu na rozmowę ze służącym Astratha, tylko odpycham go i wpadam do pokoju czarownika.

Po niecałej minucie pędzimy już z powrotem do tawerny „Pod Mściwym Toporem”.

Astrath nie specjalizuje się w leczeniu, jak niektórzy czarownicy, ma jednak dużą wiedzę i moc. Modlę się, żeby był w stanie coś zrobić.

Koń protestuje, bo poganiam go bezlitośnie. Prawie już pada, kiedy docieramy do tawerny. Szybko prowadzę Astratha do pokoju, gdzie Makri leży bez ruchu, a nad nią stoi Chianuci. Udało jej się powstrzymać krwawienie. – Żyje? – - Ledwo ledwo. – - To wręcz niemożliwe – mruczy Astrath, badając ranę. Chiaraxi przyznaje mu rację.

Astrath wyjmuje niewielki przezroczysty kryształ. To kamień życia, noszony przez większość czarowników. Jedną z jego właściwości jest rozjarzanie się zielonym blaskiem, kiedy zbliży się go do ludzkiego ciała. Chyba że człowiek jest martwy. Wtedy w ogóle nie świeci. Astrath przyciska kryształ do czoła Makri. Wyteżamy całą uwagę, aby zobaczyć, czy zmienia kolor.

Najpierw nie widać nic; po chwili, boleśnie powoli, rozjarza się malutka zielona iskierka.

Astrath wstaje zafrasowany. Najwyraźniej wolałby milczeć. Mówię mu, żeby to z siebie wykrztusił.

–Z czegoś takiego się nie wychodzi – wyjaśnia, zerkając na kryształ, który na powrót stał się bezbarwny.

Wygląda na to, że tylko wielka wewnętrzna siła Makri, rezultat jej mieszanej krwi, trzymała ją przy życiu. A teraz nawet ona zaczyna słabnąć.

–Wyjmijcie tę strzałę! – wybucha nagle Gurd, wyrzucając z siebie tłumione dotąd uczucia.

Chiaraxi potrząsa głową. Strzała wbiła się w kość. Nawet jej poruszenie z pewnością skończy się śmiercią Makri.

–Podałam jej zioło amacia – mówi. – To ją wzmocni. Więcej zrobić nie mogę.

Astrath wypowiada nad ciałem Makri magiczną formułkę. Poznaje zaklęcie wzmacniające siły obronne organizmu. Bardzo przydatne, jeśli masz dżumę.

Znacznie mniej, kiedy strzała z kuszy zagłębiła się w twoje ciało na osiemnaście centymetrów.

Astrath i Chiaraxi nie robią mi nadziei. Zioło amacia i zaklęcie mogą tylko odsunąć nieuniknione, i to nie na długo. Nie są nawet w stanie ocenić, ile jeszcze Makri pożyje, ponieważ już powinna być martwa. Mogę więc tylko siedzieć tu i czekać, aż umrze, a potem iść i zabić Sann.

–Co się dzieje?

To Mniszek. Na widok Makri wrzeszczy z przerażenia. Jestem zbyt rozstrojony, żeby się nią przejmować. Rękawy mam nadal mokre od krwi.

Mniszek zwraca się do mnie.

–Uzdrowicielski kamień delfinów!

**Sytuacja jest tak rozpaczliwa, że jestem gotów chwycić się słomki. – -
Uzdrowicielski kamień? On istnieje? – - Oczywiście, że istnieje. Ciągłe ci to
powtarzam. Uleczy wszystko, ale go ukradziono.**

Nawiedza mnie przebłysk intuicji, który powinien być pojawić się wcześniej.

**Iksjal Jasnowidz. Nie mógł wyzdrowieć, ale wyzdrowiał. – - Jak wygląda ten
uzdrowicielski kamień? – pytam. – - Nie wiem. – - Co to znaczy „nie wiem”?! – ryczę.**

Mniszek kuli się, bo myśli, że zaraz ją uderzę. Niewykluczone, że to zrobię.

**Chciałbym pobiec szukać Dcsjala, ale uspokajam się siłą woli, aby się zastanowić.
Nie ma sensu biec na ślepo, skoro nie wiem nawet, czego szukam. Gadające delfiny
mieszkają w zatoce. Jazda tam zajmie około dwudziestu minut. Za długo.**

**–Mogłabym spróbować je przywołać z przystani – mówi Mniszek. – Czasem
przyływają dość blisko, żeby mnie usłyszeć.**

**Zgadzam się spróbować. Pytam też Astratha, czy mógłby dla mnie ustalić miejsce
pobytu Iksjala.**

**–Gdybyś posiadał coś, co do niego należało... Jeśli nie masz nic takiego, to prawie
niemożliwe.**

**Nie mam. Nie mam też niczego, czego by dotknął. Szukam inspiracji. W posągu jest
złoto. Jeżeli za kradzieżą stał Iksjal, być może go dotykał.**

**Wyciągam magiczną sakiewkę i otwieram ją. Nikt z obecnych – przerażonych tym,
co się przydarzyło Makri – nawet nie wstrzymuje oddechu, kiedy pojawia się posąg.**

Astrath Potrójny Księżyc potrząsa głową.

**–Nie dam rady, Thraxasie. Posąg przebywał w magicznej przestrzeni. Cała aura z
niego zniknęła.**

**Wychodzę na zewnątrz i wracam z młotem, którym odłamuję kolejny kawałek brązu,
odkrywając więcej złotej powierzchni.**

**–A teraz? To złoto pozostawało zakryte przez cały czas, gdy przebywało w
magicznej przestrzeni.**

**Astrath przesuwa palcami po brodzie. – - Może coś znajdę. – - Zrób, co się da, a
potem spotkaj się ze mną u wylotu Alei Księżycy i Gwiazd.**

**Koń Gurda nie wytrzyma kolejnej podróży z dwojgiem ludzi na grzbiecie. Szybko idę
z Mniszkiem ulicą Kwintesencji, szukając powozu. W pierwszym, który nas mija**

siedzi jakiś drobny urzędnik. Chwytam lejce, zatrzymuję pojazd, a potem macham mieczem.

–Ten powóz jest mi potrzebny – mówię.

Urzędnik wyskakuje, wykrzykując pogróżki. Daję mu w zęby, a on pada na ziemię.

–Zabierz nas do przystani, i to szybko! – nakazuję woźnicy. Nadal mam w ręku miecz.

Facet zabiera nas do przystani. Mniszek twierdzi, że kiedyś rozmawiała z delfinem z samego końca najdłuższego mola. Ruszamy tam, mijając triremy i biremy cumujące tu podczas załadunku i rozładunku. Wieczorem na pokładach statków panuje spokój; na każdym palą się tylko dwie lampy – na dziobie i na rufie. Kilku ochroniarzy, zatrudnionych przez władze portu, ma w nocy patrolować doki, ale biegnąc wzdłuż mola nie spotykamy żadnego.

Z

zasady nie biegam już na dłuższe dystanse. Czuję, jak serce wali mi z wysiłku, ale ignoruję to.

Mniszek potyka się i upada. Podnoszę ją. Rozcięła sobie nogę na ostrym kawałku metalu i zostawia za sobą krwawe ślady, gdy biegniemy dalej. Na najdalej wysuniętym odcinku przystani znajduje się falochron, który wybiega daleko w morze, chroniąc przyplływające statki przed wiatrem. Zatrzymujemy się dopiero wtedy, kiedy już dalej iść nie można.

–No? – popędzam.

Mniszek patrzy na ciemne morze. Słońce schowało się już za horyzont, a jego ostatnie promienie barwią wodę na czerwony kolor. Jak wino, powiedział chyba kiedyś jakiś elfijski poeta. Mniszek lekko przechyla głowę i wydaje bardzo dziwny dźwięk, wysoki pisk przerywany mlaskaniem i bulgotaniem. Czekamy. Nic. Mniszek znowu woła. Patrzę na nią z wściekłością. Jeśli to ma być jakiś żart, wrzucę ją do morza.

–Gdzie są delfiny? – prawie krzyczę.

Mniszek po raz trzeci wydaje ten dziwny dźwięk. Mam zamiar odwrócić się na pięcie i ruszyć na poszukiwanie Iksjala, kiedy nagle kobieta wydaje okrzyk i wskazuje coś palcem.

Tuż pod nami jakiś delfin wysunął głowę ponad powierzchnię i patrzy na Mniszka wyczekująco. – - Co mam powiedzieć? – - Powiedz mu, że jestem tutaj, aby znaleźć

ich uzdrowicielski kamień. I dodaj, że nie mam czasu do stracenia.

Delfin i Mniszek bulgoczą i gwiżdżą do siebie przez całą wieczność, chociaż zapewne idzie im to całkiem szybko, jak na rozmowę delfina z człowiekiem. Mniszek wreszcie zwraca się do mnie i wyjaśnia, że uzdrowicielski kamień ma kształt zbliżony do krzyża, jest czarny, wielkości ludzkiej ręki. Tyle informacji chyba mi wystarczy. – - Leżał na ołtarzu w ich podmorskiej świątyni daleko w zatoce i jakiś nurek zabrał go, kiedy bawiły się w morzu. Świątynia jest... – - Szczegóły podasz mi później – mruczę i ruszam z powrotem, zostawiając bosego Mniszka, aby dalej bratała się z delfinem.

Teraz wiem, czego szukam. Jeśli Astrath czegoś się dowiedział za pomocą ukrytego w posągu złota, być może powie mi, gdzie mam szukać. Czarownik czeka już na mnie w powozie na rogu ulicy Kwintesencji i Alei Księżycy i Gwiazd. Towarzyszy mu Gurd.

–No i? – - Tak. Aura Iksjala jest na złocie. Zbadałem miasto i znalazłem go w dzielnicy Dwanaście Mórz. – - Dwanaście Mórz? Jesteś pewien?

–Tak. Przebywa w oficjalnej rezydencji prefekta Toliusza. Prefekt Toliusz.

Zapewne i ta informacja będzie miała jakiś sens, kiedy się nad nią zastanowię.

–Co zamierzasz zrobić? – pyta czarownik. – - Znaleźć uzdrowicielski kamień. Zabić każdego, kto stanie mi na drodze. – - Chodźmy – mówi Gurd.

Przy boku ma topór. Dobrze jest mieć ze sobą Gurda. Dawno już nie walczyliśmy razem. Mówię Astrathowi, że nie musi nam towarzyszyć. Jeśli wda się w awanturę z prefektem Toliuszem nigdy nie przyjmą go z powrotem do Gildii Magów. On jednak chce z nami pójść. Nie ma czasu na dyskusję, ruszamy więc szybko na ulicę Spokoju, do oficjalnej rezydencji Toliusza. Za wyjątkiem kościoła i publicznej łaźni jest to jedyny przyzwoity budynek w Dwunastu Morzach.

Staram się wymyślić najlepszy sposób załatwienia tej sprawy. Na żaden wyszukany plan nie mam po prostu czasu. Jeśli będę miał szczęście, Iksjal odda kamień bez oporu, ale to nie jest zbyt prawdopodobne. Po pierwsze, na pewno zechce zachować dla siebie tak pożyteczny przedmiot. Po drugie, oznaczałoby to publiczne przyznanie się, że ukradł go delfinom. Taka kradzież nie jest przestępstwem, stanowi jednak tabu; oznaczałaby koniec jego kariery jako głowy klasztoru.

Zwijam się z niecierpliwości, kiedy tłok uliczny blokuje nam drogę. Jedziemy w milczeniu, bo wiemy, że w każdej sekundzie naszej nieobecności Makri może umrzeć.

Kiedy docieramy do ulicy Spokoju i skręcamy w boczną uliczkę prowadzącą do oficjalnej rezydencji, los się do nas uśmiecha, bo oto pojawia się prefekt Toliusz idący ku nam w towarzystwie Iksjala Jasnowidza. Są sami, bez ochrony; bierzemy ich zaskoczenia, zatrzymując się z piskiem kół i wyskakując z powozu.

Prefekt jest zaskoczony, kiedy staje nagle twarzą w twarz z detektywem, barbarzyńcą i czarownikiem, z których każdy jest wściekły. Chce wiedzieć, o co nam chodzi.

O uzdrowicielski kamień. Chcę go dostać natychmiast. – - O czym ty mówisz? – pyta Toliusz. Ignoruję go i zwracam się do Iksjala. – - Uzdrowicielski kamień.

Gurd wsuwa się zza niego i unosi topór. Iksjal przygotowuje się do obrony.

Przypominam sobie jego reputację wojownika. Nie ma czasu na żadne bijatyki.

–Zabij ich zaklęciem wywołującym atak serca – mówię do Astratha Potrójnego Księżyca.

Czarownik unosi rękę. – - Daj im ten kamień! – krzyczy prefekt, nerwowo chwytając się za pierś. – - On nie ma ze sobą takiego zaklęcia – stwierdza Iksjal spokojnie, udowadniając swój talent do jasnowidzenia i rusza w stronę Astratha. Kiedy przechodzi obok mnie, walę go mocno w tył głowy, a on pada na ziemię nieprzytomny.

–Tego nie przewidziałeś – mruczę i zaczynam go obszukiwać, a tymczasem Guni trzyma topór przy szyi prefekta.

–Wiesz, że pójdziesz za to na galery? – charczy Toliusz z furią. Znajduję uzdrowicielski kamień. Mały, czarny, mniej więcej w kształcie krzyża.

–Do zobaczenia na pokładzie – odpowiadam. – Jeśli wejdiesz mi w drogę, doniosę, że masz coś wspólnego ze sprawą złotego posągu.

Toliusz otwiera szeroko oczy i nagle nie ma już nic do powiedzenia. Tak myślałem – miał jakieś konszachty z Iksjalem. To wyjaśnia, dlaczego tak mu zależało na pozbyciu się Grosexa. Wyjaśnia też wiele innych rzeczy, ale o tym pomyślę później.

Wskakujemy z powrotem do powozu. Gurd bierze lejce i ruszamy. Przekazuję kamień Astrathowi, a on go bada, kiedy pędzimy z powrotem na ulicę Kwintesencji. Kurz wznosi się ze spalonej słońcem ziemi, a przechodnie rozbiegają się przed nami.

–Odkryłeś, jak to działa? – pytam czarownika. Tawerna „Pod Mściwym Toporem” jest już bardzo blisko.

–Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Delfiny twierdzą, że spadł z nieba? – obraca kamień w rękach i uważnie mu się przygląda. – Naprawdę nie wiem co to takiego. Ale czuję w nim moc.

Zapadła już zmrok, kiedy docieramy do naszej tawerny. Oceniam, że nie było nas

najwyżej godzinę. Ślę ku niebu krótką modlitwę i biegnę do pokoju, gdzie Makri nadal leży na stole z okropną raną w piersi. Są przy niej Chiaraxi, Tanrose, Mniszek, Soolanis, Palax i Kaby. Brakuje tylko Quen. W powietrzu czuje się rozpacz.

–Mam kamień!

Sądziłem, że zobaczę w ich twarzach nadzieję. Nikt jej nie okazuje.

–Za późno – wzdycha Tanrose. – Makri umarła.

–Nie, nie umarła – protestuję. – Tylko sprawia takie wrażenie. Makri rzeczywiście wygląda na martwą.

–Ma silny organizm – mówię. – Krew Elfów. Krew Orków. Krew...

Chiaraxi potrząsa głową.

Astrath Potrójny Księżyc kładzie dłoń na czole Makri, a potem wyciąga swój kryształ i dotyka jej ciała. Nie rozjarza się w nim nawet najmniejsza iskierka.

–Spróbuj kamienia delfinów! – wrzeszczę.

Kładzie go najpierw na jej czole, potem na ranie i w miejscu tuż pod pępkiem, gdzie znajduje się ośrodek energetyczny. Nic się nie dzieje, tylko Kaby wydaje wielki jęk i osuwa się na podłogę.

Astrath rozgląda się bezradnie. Chwytam kamień i sam próbuję. Bez rezultatu, chociaż kiedy dotykam kamienia, czuję na palcach ciepło.

–Nie działa. Bezużyteczny śmieć.

Astrath, spokojniejszy niż ja, odbiera mi kamień. Dostrzegł, że stopa Mniszka nadal krwawi po wypadku na przystani, schyla się więc, aby dotknąć rany. Na naszych oczach zamyka się ona w cudowny sposób. W ciągu kilku sekund krew przestaje płynąć, a skóra się regeneruje.

Kamień zatem działa. A Makri nadal jest martwa. – - Czy naprawdę...? – mówi Tanrose. – - Obawiam się, że tak – odpowiada Astrath, a Chiaraxi potwierdza skinieniem głowy.

Znów biorę kamień i kładę go na ranie Makri. Bez rezultatu. Stoję tam jak głupiec przez dłuższy czas i czekam, aż Makri powróci do życia. Nie powraca. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Biorę kufel, idę do beczki z piwem, napełniam go, wypijam, znowu napełniam, podchodzę do Makri i osuwam się na podłogę. Nikt się nie odzywa. Jedyne dźwięki to

szlochanie Kaby, do którego przyłączają się inni. Soolanis spiła się tak, że aż wytrzeźwiała; siedzi sztywno na krześle z butelką klee i próbuje znowu się upić.

Przez głowę przelatuje mi niewyraźna myśl, że najprawdopodobniej wiem już prawie wszystko o tym, co działo się z posągiem i Drantaaxem, ale nie jestem w nastroju, aby poskładać w jedną całość elementy tej układanki. W głowie mam tylko dwie rzeczy.

Po pierwsze, zamierzam się upić. Po drugie, zabić Sarin.

Na zewnątrz słyhać kroki stóp odzianych w ciężkie buty. Wchodzi kapitan Rallee.

Jeśli przyszedł się mnie czepiać, wybrał zły moment. Wstaję, żeby mu stawić czoło, gotów wyładować na nim swoją złość.

Nie przyszedł się czepiać. Dowiedział się o Makri. Ktoś zawiadomił strażników, że jakaś dziwna młoda kobieta została zastrzelona na ulicy Kwintesencji. Reszty się domyślił.

Przyszedł złożyć kondolencje. – - Przykro mi – mówi kapitan, patrząc ze współczuciem na ciało Makri. Kaby płacze niepohamowanie. Dostrzegam, że głowa jej chłopaka Palaxa chwieje się na ramionach, a jego oczy mają nieobecny wyraz wskazujący na dużą dawkę dwa. – - Kto to zrobił? – - Sarin Bezlitosna. – - Co się za tym kryje? – - Królewskie złoto – mamrocze. Nie widzę powodu, dla którego miałbym jeszcze coś przed nim ukrywać.

Prowadzę kapitana Rallee do głównej sali tawemy opróżnionej z gości. Tam wyjmuję z kieszeni sakiewkę i otwieram ją, odsłaniając posąg. Złoto iskrzy się w świetle pochodni.

–To jest złoto króla? – pyta. Kiwam głową.

Otwierają się frontowe drzwi.

–Poprawka. To moje złoto.

Iksjal Jasnowidz wchodzi do środka, a za nim podążają zmasowane siły mnichów ze Świątyni Gwiazd. Drzwi na górze otwierają się z hukiem – Posąg jest mój – oznajmia czcigodny Trezjusz, który wkradł się po zewnętrznych schodach i wszedł do tawerny przez moje mieszkanie. Za nim podążają zmasowane siły mnichów ze Świątyni Chmur. Żółci mnisi w milczeniu schodzą po schodach. Czerwoni formują szyk, aby stawić im czoło. Gurd usłyszał rozmowę, przyszedł więc zobaczyć, co się dzieje. Kapitan Rallee patrzy na mnie pytająco.

Ktoś mocnym kopnięciem otwiera zewnętrzne drzwi i pojawia się w nich potężna

postać Toliusza, prefekta dzielnicy Dwunastu Mórz, który wkracza do środka w otoczeniu uzbrojonych mężczyzn. W niektórych z nich rozpoznaje strażników, chociaż żaden nie nosi munduru. Toliusz też nie ma na sobie oficjalnej togi z żółtą lamówką. To zapewne prywatna wizyta. Przyszedł zabrać złoto i zabić wszystkich, którzy wiedzą, że maczał palce w jego kradzieży.

Toliusz szybko ocenia sytuację.

–Niech wszyscy wyjdą! – rozkazuje.

Nikt nie wychodzi. Jego ludzie wyjmują miecze z pochew. Iksjal Jasnowidz obserwuje prefekta, jakby chciał ocenić, czy nadal są partnerami. Sam mógłbym mu odpowiedzieć.

Człowiek, który nie wzdraga się przed okradaniem biedaków z dzielnicy Dwanaście Mórz, nie podzieli się z mnichem złotym posągiem.

Na zewnątrz słychać zamieszanie i kolejni ludzie wdzierają się do środka. To grupa twardzieli pod wodzą Kasaxa. Przyprowadził największych swoich zabijaków i sądząc z wyglądu pozostałych, zapewnił sobie też pomoc szefów gangu z okolicznych dzielnic.

Zastanawiam się, dlaczego. Jeśli wreszcie odkrył, że Quen jest „Pod Mściwym Toporem”, nie potrzebuje armii, żeby ją odbić.

Kasax zdumiewa się na widok mnichów, prefekta i kapitana Rallee, ale szybko się opanowuje. Nawet wybucha śmiechem.

–Przyszedłem odebrać ukradzione złoto – oznajmia zgromadzonemu tłumowi. – Widzę, że nie jestem pierwszy. No cóż, radzę, abyście sobie poszli, jeśli nie chcecie, żebyśmy wam zrobili krzywdę. – Mówiąc to, patrzy znacząco na prefekta Toliusza. Jako przedstawiciel rządu Toliusz powinien kontrolować sytuację, ale w praktyce większą władzę ma tutaj szef Bractwa. Jednak Toliusz zajął dobrą pozycję przy barze i nie zdradza chęci wyjścia. Mnisi również.

Kasax odwraca się do mnie z uśmiechem.

–Szukaliśmy tego złota, odkąd zostało skradzione. Dowiedzieliśmy się, że maczali w tym palce mnisi. Doniesiono nam również, że ty, Thraxasie, spotykałeś się z jakimiś mnichami.

Mierzy mnie ostrym spojrzeniem. – - Powinieneś wiedzieć, że przede mną nie zdołasz ukryć nic, co dzieje się w dzielnicy Dwanaście Mórz. Pewnie dotarlibyśmy tu szybciej, gdybyś nie użył zaklęcia dla ukrycia Quen. – - Zabrałeś ją? – pytam. – - Czy ją zabrałem? Po co? Quen pracuje dla mnie, grubasie. I bardzo sprytna z niej

dziewczyna. Doszliśmy do wniosku, że doprowadzisz nas do złota. Kiedy tylko zobaczyła, jak pokazujesz posąg, przybiegła, żeby mi o tym powiedzieć.

Kasax nie musi się chwalić, ale lubi informować ludzi o tym, że ich przechytrzył. Taki ma charakter.

–Słyszałem, że orkijska dziewczyna nie żyje – dodaje Kasax. – Przykro mi. Nie miałem z tym nic wspólnego. A teraz proszę, aby wszyscy się usunęli, a moi ludzie zabiorą posąg.

Kapitan Rallee staje przed szefem Bractwa.

–Dlaczego ci się wydaje, że zabierzesz posąg, Kasaxie? Ja tutaj reprezentuję prawo i zaaresztuję każdego, kto spróbuje go zabrać.

Kasax wybuchają śmiechem na myśl o tym, że kapitan Straży mógłby wejść w parady szefowi Bractwa, szczególnie w sytuacji, gdy ma on za plecami całą bandę zabijaków.

Wszyscy bandyci się śmieją. Działa mi to na nerwy. Nie chcę tu słyszeć żadnego śmiechu, gdy Makri leży martwa za drzwiami. Staję obok kapitana. Zamierzałem zabić Sarin, ale śmierć w walce z tą hołotą również wydaje mi się w tej chwili niezłym wyjściem.

Mam ochotę kogoś zabić i nie jestem wybredny.

–Chodź więc i weź sobie ten posąg – mówię, wskazując miejsce, gdzie stoi dzieło Drantaaxa, w połowie zanurzone w magicznej sakiewce.

Wszyscy czekają, kto zrobi pierwszy ruch. W tym momencie z pokoju na tyłach wytacza się Soolanis. Nie zwraca uwagi na swoje otoczenie. Dociera za bar bierze z półki butelkę Idee i zataczając się, wraca na tyły. Trudno nie podziwiać jej determinacji.

Kapitan Rallee znów domaga się, aby wszyscy odeszli i pozwolili przedstawicielom prawa zająć się sprawą. Na te słowa prefekt Toliusz rusza w jego stronę i gniewnie żąda, aby przestał się wtrącać. – - Dzielnica Dwanaście Mórz podlega mojej jurysdykcji. – - Owszem. Aleja pracuję dla Pałacu Sprawiedliwości, a kapitan Straży ma obowiązek pilnować przestrzegania prawa w każdej części miasta. Przeszedłeś tu oficjalnie?

Jeśli tak, to dlaczego twoi ludzie nie są w mundurach?

Rallee zwraca się do Trezjusza, który czeka spokojnie u podnóża schodów.

-A czego ty chcesz?

Czcigodny Trezjusz zachowuje milczenie. – - Oni wszyscy przyszli tu po posąg, kapitanie – wyjaśniam. – - Nawet Toliusz? – - Wiedział o nim od początku. To on dostarczył Iksjalowi Jasnowidzowi informację o przesyłce złota. On też udostępnił mu miły domek w Thamlinie, gdzie mógł się spotykać z żoną Drantaaxa i dowiedzieć się od niej wszystkiego, co było mu potrzebne.

-Zabijcie ich – warczy Toliusz. I rozpętuje się pandemonium.

Kiedy miałem dziewiętnaście lat, wyrzucono mnie ze szkoły dla młodych czarowników. Nie miałem rodziny, pieniędzy i niczego lepszego do roboty, dołączyłem więc do kompanii najemników wyruszających na wojnę pomiędzy małymi miastami-państwami Juval, Abelasi i Pargada, daleko na południowym wschodzie. Tam właśnie spotkałem Gurda, wielkiego dwudziestopięcioletniego barbarzyńcę, który przybył z mroźnej północy, aby poznać życie w krajach cywilizowanych. Tak przynajmniej twierdził wtedy, chociaż kilka lat później przyznał, że w rzeczywistości wypędzili go rozwścieczeni krewni pewnej młodej kobiety, z którą nazbyt się zaprzyjaźnił.

Wśród walczących ze sobą miast trudno było połapać się w sytuacji. Co gorsza, każde miasto miało przynajmniej dwóch pretendentów do tronu. Pewnego razu nasza kompania, opłacana przez pewnego księcia z Juval, w środku gęstego lasu złapała w zasadzkę wojska należące do innego juwalskiego księcia. W tym samym momencie Armia Demokratyczno- Ludowa Abelasi wpadła na nas od tyłu. Kiedy ja i Gurd staraliśmy się zdecydować, w którą stronę skierować włócznie, połączone siły niedawno zdetronizowanego króla Abelasi przybyły razem z armią jego sprzymierzeńca, Pargadana. Nikt nie wiedział, co się u diabła dzieje. W ciemnym, gęstym lesie kompanie kopijników szybko zostały rozproszone i cała masa mężczyzn walczyła wkrótce o życie z przeciwnikami, których ledwo było widać.

Zapanowała panika; dezorientowani żołnierze walczyli i z wrogami, i ze sprzymierzeńcami.

Mnie i Gurdowi nie pozostało nic innego, jak tylko przedrzeć się przez tych, którzy stali nam na drodze i mieć nadzieję, że prędzej czy później znajdziemy jakieś puste miejsce, gdzie będziemy mogli pozbierać myśli, znaleźć kilka koni i wydostać się stamtąd. Co nam się wreszcie udało.

Przypomniałem sobie o tym dniu dwadzieścia cztery lata później, kiedy „Pod Mściwym Toporem” zaczęła się bitwa. Wszyscy chcą zdobyć posąg, ale zabierze go tylko ten, kto przeżyje. Mnisi ze Świątyni Chmur i mnisi ze Świątyni Gwiazd naporzają się jak furia, bo wzajemną wrogość wzmaga w nich żądza złota. Ludzie Bractwa, wściekli, że ktokolwiek mógł nawet pomyśleć o popełnieniu przestępstwa na własną rękę w należącej do nich części miasta, rzucają się w wir walki. Członkowie gangu nie są wytrenowanymi wojownikami jak mnisi, ale wielu z nich służyło w wojsku, a wszyscy mają duże doświadczenie w ulicznych walkach wręcz.

Tymczasem prefekt Toliusz zagrzewa swoich ludzi do walki. Ma chyba najwięcej do stracenia, ponieważ jego pozycja w mieście stanęła pod znakiem zapytania. Kiedy tylko rozniesie się wieść, że brał udział w kradzieży złota, ani mrugnie, jak zostanie

pozbawiony urzędu i wysłany na więzienną galerę. Prefektom w Turai wiele się przebacza, ale nie kradzież królewskiego złota. Otoczony własną strażą przyboczną rozpoczyna gwałtowny atak, zdecydowany albo wykończyć wszystkich świadków swego przestępstwa, albo uciec z łupem do jakiegoś odległego kraju, gdzie będzie mógł żyć w luksusie poza zasięgiem praw Turai.

A ja po prostu znalazłem się w samym środku tej wojny. Nie chcę posągu.

Zamierzałem tylko rozwiązać sprawę morderstwa, ale po śmierci Makri to również zniknęło z mojej listy priorytetów. Na myśl ojej zwłokach leżących w sąsiednim pokoju wzbiera we mnie krwawa furia, co mi się nie zdarzyło już od dłuższego czasu. Jestem zadowolony z szansy wyładowania na kimś swojego gniewu.

Kapitan Rallee, jako jedyny obecny tutaj oficjalny przedstawiciel prawa, znalazł się w niezłych opałach. Walczy ramię w ramię z Gurdem i ze mną, a częściowo widoczny posąg chroni nasze plecy. Wyjący mnich ze Świątyni Gwiazd pada pod mieczem kapitana.

Widzę, że Rallee nie stracił swych bojowych umiejętności.

Czterej ludzie Bractwa przebijają się przez cały ten mętlik i rzucają na nas.

Paruję uderzenie, wbijam miecz w udo mego przeciwnika, a potem patroszę go, kiedy się potyka.

Gurd rozcina swego niemal na połowę, Rallee zaś zręcznie odbija uderzenie, a potem wbija miecz w pierś bandyty. Czwarty napastnik wycofuje się i mamy krótki moment wytchnienia pośrodku tego szaleństwa.

–Nie mogłeś przyprowadzić ze sobą kompanii strażników? – warczę do kapitana Rallee. – - Przyszedłem tylko złożyć kondoiencje – odpowiada. – A kiedy to się skończy, chcę z tobą zamienić kilka słów. Co ty sobie myślisz, żeby ukrywać dowody? Ten posąg należało oddać Straży. – - Właśnie miałem to zrobić – mruczę, a potem wracamy do walki. Wyposażenie tawerny ulega poważnym zniszczeniom, bo walczący łapią wszystko, co znajduje się pod ręką. Pochodnie, kufle, nogi od krzesel i całe ławki latają dookoła. Sam Toliusz podnosi duży drewniany stół i rzuca go na nas, a potem każe swoim ludziom ruszyć w stronę posągu.

Kapitan Rallee pada pod naporem wrogów. Gurd podnosi go na nogi, podczas gdy ja powstrzymuję dwóch napastników nożem i mieczem. Trudno się połapać w sytuacji.

Tracę z oczu obu przeciwników, kiedy wtacza się pomiędzy nas kilku mnichów, którzy wrzeszczą i klną, bijąc się nawzajem do nieprzytomności. Widzę, jak młody mnich odbija uderzenie miecza gołymi rękami, potem łamie kark bandycie z Bractwa,

a wreszcie sam pada, dźgnięty mieczem od tyłu. Jego towarzysz wrzeszczy z wściekłości. Przeskakuje ponad ostrzem miecza i wali stopą w twarz zabójcy tak gwałtownie, że jego szyja łamie się jak gałązka.

Iksjal Jasnowidz i czcigodny Trezjusz próbują dotrzeć do siebie, ale uniemożliwia im to masa ciał. Wreszcie Trezjusz, który ma już pewnie z siedemdziesiąt lat, wykonuje skok, z którego dumny byłby każdy młody atleta. Wybija się, robi w powietrzu koziołka, przelatuje przez połowę długości tawerny, lądując odpycha na bok kilku przeciwników i wreszcie staje tuż naprzeciwko Iksjala. Ten wymierza mu cios w twarz, a raczej próbuje, bo Trezjusz zgrabnie się usuwa. Potem rozpoczynają zadziwiającą walkę, w której każdy mistrz demonstruje w pełni bojowe umiejętności, jakie nabywał przez całe życie, ale żaden nie jest w stanie osiągnąć przewagi.

Kolejny stół leci na nas i tym razem to mnie przewraca na podłogę. Gurdowi udaje się odbić uderzenie włóczni, która już miała mnie przebić. Zrywam się na nogi i przystępuję do obrony, ale sytuacja szybko staje się beznadziejna. Jest nas tylko trzech, a teraz atakują nas z jednej strony ludzie Toliusza, z drugiej Kasaxa, między nimi zaś szaleją mnisi.

Wszyscy odnieśliśmy już rany i podłoga pod nami jest śliska od krwi. Wszędzie dookoła leżą ciała; potykamy się o nie, kiedy pod naporem nieprzyjaciół cofamy się ku wielkiej bryle marmuru.

Przypominam sobie, że gdzieś na tyłach przebywa nadal Astrath Potrójny Księżyc i zastanawiam się, czy nie przygotowuje jakiegoś potężnego zaklęcia, żeby nas z tego wydostać. Prawdopodobnie nie. Wyciągnąłem go z domu tak szybko, że nie miał czasu zapamiętać żadnych zaklęć i musiałby mieć księgę, żeby przeczytać nowe. Jeśli ma rozum, powinien uciec przez tylne drzwi, zabierając ze sobą Soolanis i Mniszka. Musimy więc polegać tylko na sile mieczy, a ta zaczyna słabnąć. Używam swego do parowania ciosów przeciwników z prawej, podczas gdy ciosy z lewej desperacko odpieram nożem.

Powalam kolejnego strażnika Toliusza, ale natychmiast atakuje mnie następny. Długo już nie wytrzymam.

–Przyznaj, Thraxasie, że kiedy trzeba używać dwóch ostrzy, radzisz sobie nie lepiej niż eunuch w burdelu – rozbrzmiewa jakiś głos koło mojego ucha.

Obracam się zdumiony. To Makri, z mieczem w jednej ręce i toporem w drugiej.

Wygląda diabelnie zdrowo. – - Co się stało? – - Polepszyło mi się. – - No, nie śpieszyłaś się. Sądzisz, że sam będę walczył z całym Turai?

Makri uśmiecha się szeroko i zaczyna siec wrogów mieczem i toporem. Dzięki umiejętnościom nabytym wśród gladiatorów oczyszcza przestrzeń wokół nas, co się

akurat dobrze składa, bo kiedy Gurd ją zobaczył, tak się zdumiał, że rąbnął głową w uniesione przednie kopyto konia świętego Kwatyniusza i potrzebuje kilku minut, aby oprzytomnieć. – - Makri! – woła, trzymając się za głowę. – iy żyjesz! – - Jasne! – krzyczy Makri i zagłębia swój miecz w piersi odzianego na czerwono mnicha, który był na tyle niemądry, że próbował ją uderzyć kijem. Kapitan Rallee, Gurd i ja czerpiemy nowe siły ze świadomości, że Makri wróciła. Powstrzymujemy napierającą hordę i zaczynamy ją odpychać. Mnisi, gangsterzy i strażnicy padają pod toporem Makri, która kładzie ich pokotem jak demon wypuszczony z piekła w celu zabijania ludzi.

Mam wrażenie, że spotkanie ze śmiercią nie ochłodziło w niej gniewu wywołanego faktem, że jakiś mnich ją kopnął. Walczy z dziką furją, nigdy przedtem nie widzianą w Turai.

Nic dziwnego, że na arenę przeciw niej wypuszczano smoki, tygrysy i całe szwadrony Orków.

Tymczasem trwa intensywna walka. Mnisi zmagają się ze sobą. Czcigodny Trezjusz i Iksjal Jasnowidz, godni przeciwnicy, przestali zadawać ciosy i teraz krążą czujnie wokół siebie. Wreszcie Toliusz wkracza pomiędzy nich, unosi ręce i krzyczy, jak umie najgłośniej.

Prefekt, który jest do pewnego stopnia demagogiem i ma wiele doświadczenia w przemawianiu do wyjących tłumów, zdołał przyciągnąć uwagę otaczających go ludzi.

–Zaprzestańcie tej bezużytecznej walki! – ryczy. – Po prostu ułatwiamy im robotę! – Tu wskazuje na nas. – Pozbądźmy się ich, a wtedy będziemy mogli rozsądnie przedyskutować podział złota.

Pozostali mnisi przerywają walkę i zwracają głowy w stronę, gdzie nasza czwórka stoi przed posągiem. Ludzie Bractwa zerkają pytająco na Kasaxa. Ten kiwa głową, jakby zgadzał się z Toliuszera. Wszyscy zdają się przyznawać, że pomysł prefekta jest dobry.

Teraz, zamiast rozgrywać jedną z wielu bitew odbywających się w tawernie, będziemy musieli stawić czoło skoncentrowanemu atakowi połączonych sił.

Napastnicy rozchodzą się, żeby nas otoczyć, i zaczynają się zbliżać. Nie mamy żadnych szans. Na tej ograniczonej przestrzeni nawet zdumiewające talenty Makri nie wystarczą do odparcia takiej liczby przeciwników atakujących ze wszystkich stron. Najszybsi mnisi już wspinają się na posąg, aby nas zaatakować od tyłu. Inni korzystają z okazji, żeby rzucić kilka gwiazdek, zanim stawią czoło naszym mieczom. Żadne z nas nie nosi zbroi i zarówno Makri, jak i ja, odnosimy bolesne rany.

Trzeba szybko coś wymyślić. Staję na wysokości zadania.

– Magiczna przestrzeń! – ryczę. – Wszyscy do środka! Wskakuję na cokół posągu, zrzucając mnicha, który właśnie zsuwa się z góry. Gurd i Rallee mają pewne wątpliwości, ale kiedy wielka fala napastników zaczyna nas zalewać, wdrapują się obok mnie.

Ujmuję w dłoń brzeg sakiewki i włożę do fioletowej przestrzeni. – - Zupełnie mi się to nie podoba – mówi Gurd, kiedy zaciągam otwór nad naszymi głowami. – - A ja chciałam zobaczyć, jak tu jest – oznajmia Makri.

Potem zanurzamy się całkowicie w magicznej przestrzeni, wymiarze zupełnie innym od naszego, gdzie dzieją się dziwne rzeczy, żyją dziwne stworzenia, a ludzie w ogóle nie powinni przebywać.

Lecimy w dół przez gęstą fioletową atmosferę. Chmury śmieją się z nas, gdy spadamy. Lądujemy łagodnie na zielonej trawiastej równinie. Nad nami lśni wielkie niebieskie słońce. Obok nas stoi posąg, w całej swojej świetności, nie naruszony uderzeniami mojego młota. Na koniu z brązu obok świętego Kwatyniusza siedzi Mistrzynie Zabójców Hanama. – - Witam w magicznej przestrzeni – mówi. – - Cześć, Hanamo – odpowiada Makri. – Co tu robisz? – - Słyszałam, że umarłaś – oznajmia Hanama. – Przyszłam złożyć kondolencje, ale okazało się, że żyjesz. To dobrze. Ponieważ w tawernie panował chaos, wśliznęłam się tu, aby poczekać, aż się uspokoi. Nie spodziewałam się, że do mnie dołączycie.

Patrzę na nią podejrzliwie. To już przesada, żeby Hanama znalazła się tu przede mną.

Równie dobrze mogła tu siedzieć od wielu dni. Kto wie, może nosiłem ją w kieszeni. – - Przyszłaś złożyć kondolencje, tak? Raczej szukałaś Iksjala Jasnowidza. Wiem, że dostaliście zlecenie, aby go zabić. – - Cech Zabójców nie omawia swoich spraw z obcymi – oznajmia chłodno Hanama.

Spokojna z niej kobieta. Trudno ją poruszyć. Jest niewysoka i bardzo blada. To częsta cecha Zabójców. Są to jedyni bladzi ludzie w Turai, za wyjątkiem kilku arystokratycznych dam, które ulegając dyktatom mody, unikają słońca. Drobniutka, w czarnym płaszczu, kiedy siedzi na wielkim koniu wygląda jak dziecko podczas zabawy. A już na pewno nie sprawia wrażenia niebezpiecznej, chociaż jest trzecią co do znaczenia figurą w Cechu Zabójców. Oto kobieta, o której mówią, że tego samego dnia zabiła senatora, czarownika i orkijskiego możnowładcę.

Nie jestem zbyt zadowolony, że znów ją spotykam. Pogardzam wszystkimi Zabójcami, bo to zimni mordercy. Co gorsza, nieustannie unikają konsekwencji swych morderczych wyczynów dzięki poparciu bogatych polityków Turai.

Wchodząc do magicznej przestrzeni, postąpiła jednak pochopnie. Zastanawiam się,

czy zdaje sobie sprawę, jak trudno się stąd wydostać.

–Jakim cudem żyjesz, Makri? – Gurd zadaje pytanie, które mnie też nurtuje.

Makri wzrusza ramionami. Po prostu obudziła się z kamieniem na piersi i strzałą z kuszy leżącą obok. Na jej ciele nie pozostała nawet blizna. Przypominam sobie, że zostawiłem na niej kamień. Dobrze zrobiłem. Zapewne uleczenie jej musiało potrwać dłużej niż w przypadku Iksjala; nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę, że nawet kryształ Astratha przestał na nią reagować, tak już było z nią źle. Ta mieszana krew to nie byle co, myślę sobie. Nigdy już nie uwierzę, że Makri nie żyje, dopóki nie zobaczą, jak spuszcza ją do grobu, a może i wtedy będę miał wątpliwości. – - Zdziwiający przedmiot ten uzdrowicielski kamień delfinów. Zastanawiam się, czy muszę go oddać? – - Oczywiście, że musisz. Delfiny zatrudniły cię, abyś dla nich pracował. – - Nie umówiliśmy się o zapłatę. Jeśli zaofiarują mi ryby, odmówię.

Kapitan Rallee zauważa, że delfiny mogą posiadać jakiś zatopiony skarb, ale w zasadzie wszyscy się zgadzają, że przynoszą one Turai szczęście, nawet nie powinienem więc myśleć o tym, żeby na nich zarobić.

–I uleczyły mnie – zwraca uwagę Makri. – Czuję się świetnie.

–Prawdopodobnie i tak byś wyzdrowiała. Makri wznosi oczy do nieba.

–Fajne niebieskie słońce tu mają. Hej, właśnie zrobiło się zielone. Co jeszcze zdarza się w magicznej przestrzeni?

Marmurowy posąg świętego Kwatyniusza nagle zwraca się do Hanamy.

–Złaż z mojego konia – mówi.

Nawet Hanama, która doskonale potrafi się maskować i ukrywać uczucia, nie potrafi ukryć zdumienia, że posąg wydaje jej rozkazy. Zgrabnie zeskakuje z marmurowego konia i zerka podejrzliwie na świętego. Ten jednak zamilkł. – - Czy on naprawdę przemówił? – pyta Gurd, który już nerwowo uniósł topór. Jako barbarzyńca nie jest przyzwyczajony do żadnych rodzajów magii i to wszystko jest dla niego bardzo dziwne. – - Tak. Tutaj wiele rzeczy mówi.

Rozglądamy się po ciągle zmieniającym kolory krajobrazie.

–Czy to właśnie tu się trafia po zjedzeniu tych grzybów, które Palax zbiera w lesie? – pyta Makri.

Nic z tego nie rozumiem. Nic nie wiem o grzybach zbieranych przez Palaxa. – - No cóż, skoro już tu jesteśmy, jaki będzie nasz następny ruch? – zastanawia się kapitan Rallee, człowiek praktyczny, który nie traci czasu na podziwianie widoków. – - Tak na

marginesie, czy sakiewka jest nadal widoczna w świecie zewnętrznym?

–Tak. – - A my jesteśmy w środku? – Tak. – - A co będzie, jeśli ktoś ją podniesie i wrzuci w ogień?

— Kto by się odważył na coś takiego? W środku znajduje się złoty posąg. – - Prefekt Toliusz mógłby zrezygnować z posągu, gdyby udało mu się pozbyć świadków swego przestępstwa.

Przyznaję, że to niepokojąca myśl.

–Możesz nas stąd szybko wydostać?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo obok przechodzi na dwóch nogach duża świnia i wita nas uprzejmie. Gurd chwyta topór Świnia reaguje oburzeniem. – - Och! Chcesz mnie porąbać, co? Tacy właśnie są ludzie, posiekaliby świnię bez namysłu. Jak by ci się podobało, gdyby ciebie ktoś nagle pokroił i zjadł? – - Rasie ludzkiej dano władzę nad lądowymi zwierzętami – oznajmia święty Kwatyniusz ze swojego konia.

Nadal się cieszę, że Makri żyje. Kiedy jednak pomyślę o tym, że zamiast spędzić to lato spokojnie, sącząc piwo gdzieś w cieniu, znajduję się teraz w magicznej przestrzeni i słucham teologicznej debaty pomiędzy świętym a gadającą świnią, podczas gdy na zewnątrz czekają na mnie turajscy zabójcy, wpadam w lekką depresję. Świnia znika bez ostrzeżenia, a z nieba zaczynają spadać jakieś ciała. Z początku myślę, że to kolejne magiczne stworzenia. Jednak kiedy opadają na trawę – która teraz ma odcień jaskrawopomarańczowy – poznaję Toliusza, Kasaxa i mnichów. Ruszyli za nami w magiczną przestrzeń, bo żądza złota nie ma granic. Znużeni unosimy broń, aby znów ruszyć do walki.

Wasi adwersarze lądują nieco zdezorientowani, wkrótce jednak odzyskują świadomość, bo Trezjusz, Iksjal, Kasax i Toliusz przywracają porządek w szeregach.

–Zabić ich! – ryczy znów Toliusz.

W tym momencie grunt pod naszymi stopami pęka i wypływa spieniona rzeka, która oddziela nas od naszych prześladowców. Zanim zdążyli dość do siebie, dzieli nas strumień szybko płynącej wody o szerokości kilkunastu metrów. Wybucham śmiechem. Bardzo satysfakcjonujący obrót wydarzeń. Leniwie podchodzę do brzegu. – - Cześć, Toliuszu – mówię. – Masz ochotę popływać? Toliusz jest w kropce, ale Iksjal Janowidz nie traci rezonu. – - Rzeka wkrótce zniknie.

–Nie Ucz na to, że i tutaj potrafisz przewidywać przyszłość, Iksjalu Jasnowidzu.

Magiczna przestrzeń zmienia proporcje, nawet w przypadku takiego człowieka jak ty.

Gratuluje powrotu do zdrowia. Teraz, kiedy twoje nogi są w lepszym stanie, będziesz już mógł wkroczyć na szubienicę. Tak na marginesie, to było niemądre z waszej strony, żeby tu wejść za nami. Widać, że w pogoni za złotem zapominacie o własnym bezpieczeństwie. Czy macie pomysł, jak się wydostać z magicznej przestrzeni?

Z wyrazu niepewności, jaki pojawia się na twarzach po drugiej stronie rzeki, wnoszę, że jest to ten aspekt sytuacji, nad którym się jeszcze nie zastanawiali. Naszą rozmowę przerywa krótka, ale gwałtowna ulewa żab. – - Tak więc, Toliuszu – wołam, kiedy ostatnia żaba oddala się, skacząc wesoło.

–Jaki masz plan? – - Zabić ciebie! – ryczy w odpowiedzi. – - Może to nawet niezły plan. Wszystko zależy od punktu widzenia. Mógłbyś także poddać się Kapitanowi Rallee, i stawić czoło konsekwencjom swoich nieprawych czynów.

Toliusz nie pali się do tego. Jego własny plan podoba mu się bardziej. Pomimo strat poniesionych w tawernie, Prefekt i Kasax nadal mają ze sobą wielu uzbrojonych mężczyzn.

Podobnie jak Iksjal Jasnowidz i czcigodny Trezjusz. Najprawdopodobniej więc uda im się spełnić życzenie Toliusza Jeśli ta rzeka nagle zniknie. Udaję jednak, że czuję się zupełnie pewnie, i dalej dokuczam Toliuszowi z naszego bezpiecznego miejsca.

Kapitan Rallee drapie się w głowę. Denerwuje mnie, że jego włosy jeszcze nie posiwiały. Moje są równie długie, ale już poprządkane siwizną. Mimo to nadal

twierdzą, iż wąż mam ładniejszy i że zawsze taki był. – - Posłuchaj, Thraxasie. Na wypadek gdyby jednak udało nam się ująć z życiem – i jeśli wtedy od razu nie zamknę cię w pierdlu za to, że znalazłeś się w posiadaniu królewskiego złota – może byś mi podał parę szczegółów? Ja tylko przyszedłem, żeby ci złożyć kondolencje z powodu śmierci przyjaciółki. Nie byłem przygotowany na spotkanie z połową szumowin z naszego miasta i stadem mnichów walczących o skradziony skarb.

Gdybym o tym wiedział, przyprowadziłbym ze sobą kilku moich ludzi. Zakładam, że to wszystko ma związek z zabójstwem Drantaaxa? – - Pewnie. To skomplikowana sprawa. Przedstawię ją jak najprościej. Te dwie grupy mnichów rywalizują ze sobą. Iksjal Jasnowidz jest głową Świątyni Gwiazd, a Trezjusz – Świątyni Chmur. Ci dwaj rozpoczęli konflikt, częściowo z powodów religijnych, głównie jednak chodziło o to, kto jest najważniejszy. Pewnie zaczęli już wariować, mieszkając tak wysoko w górach. Pamiętasz, jak tam było gorąco, kiedy walczyliśmy z Niojanami na przełęczy? – - Mniejsza o Niojan na przełęczy. Co z tymi mnichami? – - Najpierw spierali się ze sobą, a potem podzielili się na dwie grupy. Oba klasztory potrzebowały posągu. Podsunęło to Iksjalowi Jasnowidzowi bardzo dobry pomysł.

Postanowił ukraść nowy posąg, który Drantaax rzeźbił dla Turai, aby wygrać z Trezjuszem i prawdopodobnie zmusić mnichów ze Świątyni Chmur do powrotu. A wtedy Sarin Bezlitosna, która studiowała u Iksjale sztuki walki, przyszła do niego z jeszcze lepszym pomysłem.

Poznała ona prefekta Toliusza w czasach, gdy sprowadzała do miasta dwa. Brał od niej pieniądze za przymykanie na to oka, co jest normalnym zachowaniem urzędników w naszym mieście – z wyjątkiem ciebie, oczywiście. Czy pomysł był autorstwa Toliusza, czy Sarin, nie wiem, jednak komuś z nich przyszło do głowy, że transporty złota z królewskich kopalni przejeżdżają niedaleko klasztoru Iksjale.

Te transporty to pilnie strzeżony sekret. Trasy i czas przejazdu ustalane są w pokojach wyłożonych Czerwoną Tkaniną Elfów, która chroni przed magią. Prefekt Toliusz ma jednak najwyraźniej kontakty w pałacu i dowiedział się, kiedy pojedzie następny ładunek. Przekazał tę informację Sarin, która z kolei poinformowała o tym Iksjale. Świątynia Gwiazd obrabowała więc konwój, zabijając wszystkich strażników.

Tutaj dochodzimy do najlepszego z ich pomysłów. Zamiast zaszyć się ze złotem w górach, gdzie szybko znaleźliby ich czarownicy z pałacu, przywieźli je prosto do Turai i ukryli w nowym posągu. Rozumiesz, jakie to było sprytne? – - Tak – mówi kapitan, który jest bystrym facetem. – Żaden czarownik nie zajrzyłby do posągu świętego Kwatyniusza. To byłoby bluźnierstwo. – - Właśnie. Plan przewidywał, że złoto zostanie tam do czasu, kiedy mnisi przewiozą statuę do sanktuarium. Gdy sprawa przycichnie, Iksjal zamierzał ją ukraść, otworzyć i wyjąć łup. Potem miałby dużo złota, a na dodatek nowy posąg. Bluźnierstwem zapewne niezbyt się przejmował.

Wtedy właśnie coś poszło nie tak. Czcigodny Trezjusz, który miał szpiega w Świątyni Gwiazd, odkrył, co się dzieje i od tego czasu chciał zdobyć dla siebie zarówno złoto, jak i posąg. Świątynia Chmur przypuściła zmasowany atak na Świątynię Gwiazd, podczas którego Iksjal omal nie stracił życia. Musiał przybyć do miasta, aby się wyleczyć. Do tego czasu Trezjusz dowiedział się już, że złoto znajduje się w Turai, prawdopodobnie ukryte w posągu wyrzeźbionym przez Drantaaxa. Przybył jednak za późno, aby je pizejać, zatrudnił więc mnie, żebym je znalazł. Nie zdawałem sobie sprawy, że święty Kwatyniusz jest pełen złota, chociaż wiedziałem, że dzieje się coś dziwnego.

Zerkam w stronę rzeki. Mnisi nas obserwują. Czy naprawdę sądzą, że w ten sposób działają w interesie swojej religii? Prawdopodobnie tak, jeśli zapewnili ich o tym Iksjal i Trezjusz. Nad nami przelatuje stado srebrnych ptaków, które na naszych oczach zmieniają kolor na złoty, a potem biały. Boska muzyka dolatuje z nieba. Puchate króliki wychodzą, aby bawić się u naszych stóp. W magicznej przestrzeni zrobiło się cukierkowo.

–Największym błędem Iksjala i Toliusza było związanie się z Sarin Bezlitosną.

Kiedy złoto znalazło się w posągu, a Iksjal leżał pokaleczony w górach, ona zdecydowała, że byłoby o wiele lepiej, gdyby nie musiała się z nikim dzielić.

Sarin to sprytna kobieta. Zupełnie bez serca, ale chytra jak simnijski lis.

Wiedziała, że czarownicy z Pałacu Imperialnego i Pałacu Sprawiedliwości szukają tego skarbu.

Sam stary Hazjusz Wspaniały odwiedził dom Drantaaxa. Nie mogła załadować posągu na wóz i wyjechać, bo od razu by ją dostrzeżono. Zaczęła więc szukać jakiegoś bezpiecznego sposobu na zabranie złota. I wtedy wpadła na pomysł z magiczną sakiewką. To rzadko spotykane zabawki, Sarin pamiętała jednak taką sakiewkę z czasów, gdy handlowała dwa.

Przypomniała sobie, że Taliusz Zielone Oko, który już nie liczył się jako czarownik, w taki właśnie sposób szmuglował dwa do pałacu. Poszła więc, zabiła go i ukradła sakiewkę. Potem, jak sędzę, ukradła też posąg, zostawiając kilka żółtych płatków, aby wprowadzić w błąd detektywów.

Mnisi ze Świątyni Chmur obsypują się żółtymi płatkami podczas swoich ceremonii.

Sędzę, że to miał być taki żart.

Potem zdarzyło się coś niezwykłego. Sarin zachowała widocznie resztki człowieczeństwa, ponieważ, kiedy usłyszała, że Iksjala przywieziono do miasta w stanie agonalnym, poszła się z nim zobaczyć. Może odezwały się emocje, bo przecież

była jego uczennicą przez cztery lata. Widziałem, jak próbowała zabić Trezjusza, co by przemawiało za tym, że czuje jakiś sentyment do Iksjala. Sarin zazwyczaj nie zabija dla dobra innych, musiała się więc przywiązać do swego dawnego nauczyciela. Nie na tyle jednak, aby zrezygnować z obrabowania go.

–Skoro Iksjal miał umrzeć, to tak naprawdę go nie okradała – przerywa Makii.

Marszczę brwi.

–Te lekcje logiki i retoryki wywierają na ciebie zły wpływ, Makii Powinnaś była pozostać dzikuską. Sarin omal cię nie zabiła kilka godzin temu. W każdym razie okazała się wystarczająco sprytna, aby nie brać ze sobą sakiewki z posągiem, kiedy poszła zobaczyć się z Iksjałem. To jasnowidz, mógłby więc wyczuć, że Sarin ma przy sobie złoto.

Zostawiła ją u dwóch zbirów, których zatrudniła, aby jej pomogli załadować posąg do sakiewki.

Sama nie była w stanie tego zrobić – można co prawda naciągnąć sakiewkę na posąg od góry, ale potem i tak trzeba przechylić cokół. Zapewne nakazała swoim pomocnikom, aby zniknęli na dzień lub dwa, a potem się z nią spotkali.

Niestety trafili oni do tawerny „Pod Mściwym Toporem”, która stanowiłaby całkiem niezłą kryjówkę, gdyby jeden z nich nie okazał się facetem, którego kilka lat temu wsadziłem do więzienia i który nadal szukał zemsty. Obaj zginęli w walce, co zresztą przyspieszyło ich zgon zaledwie o kilka dni, bo Sarin z pewnością pozbyłaby się ich, kiedy już nie byłiby jej potrzebni.

W ten sposób ja wkroczyłem na scenę. Kiedy Sarin dowiedziała się, gdzie zabito jej pomocników, wiedziała, że brałem w tym udział i doszła do wniosku, że prawdopodobnie mam teraz sakiewkę. Od tego czasu mnie śledziła. Podobnie jak mnisi ze Świątyni Gwiazdchoć nie wiem, czy Sarin opowiedziała Iksjalowi jakąś historyjkę, aby wyjaśnić, skąd mam posąg, czy też on sam się o tym dowiedział. Dzięki temu miałem na ogonie również żółtych mnichów, którym szpiedzy donieśli, co się dzieje.

Patrzę na królika siedzącego na moich stopach, a potem w górę na wielką komętę, która teraz świeci na niebie.

–Tak, kapitanie, kiedy Straż Obywatelska miotła się bezradnie, nie mając pojęcia, gdzie jest złoto, a ci ludzie usilnie go szukali, ja odzyskałem je dla króla.

Proszę mi więc nie wciskać kitu, że niby jest pan oburzony, bo ukrywam jakieś dowody. Rozwiązałem sprawę, przez którą prawdopodobnie zostałby pan zdegradowany do stopnia szeregowca, bo nie robił pan żadnych postępów.

Kątem oka dostrzegam Toliusza. Chyba się zbliża. I to aż za bardzo. – - Do diabła! Dlaczego nikt mi nie powiedział, że rzeka wysycha? – - Byliśmy zbyt zaabsorbowani twoimi wyjaśnieniami – odpowiada Makri. – - To nie czas na sarkazm.

–Nie, naprawdę. Bardzo lubię słuchać twoich wywodów. Rzeka ma teraz ze trzy metry szerokości i mnisi zaczynają przez nią przechodzić.

–Uciekajmy – mówi kapitan.

Uciekamy. Chociaż słońce jest zielone, i tak jest tu gorąco jak w orkijskim piekle.

Wkrótce jestem bardzo spocony i z trudem łapię oddech. Jeśli dotrzemy do gaju żółtych drzew, będziemy mieli jakąś osłonę. Nagle gaj znika. Po prostu rozplywa się w powietrzu.

Praekłeta magiczna przestrzeń. Zatrzymuję się przy posągu świętego Kwatyniusza.

–Rusz na heretyków! – żądam, wskazując ścigającą nas hordę. Posąg się nie porusza.

To chyba nie był dobry pomysł, myślę ponuro i biegnę dalej.

W oddali pojawia się gigantyczny zamek.

–Biegnijmy do zamku! – krzyczy kapitan Rallee. Biegniemy do zamku. Kiedy się zbliżamy, znika. – - Do diabła z tym – mówi Makii; wyjmuje miecz z pochwy i obraca się, aby stawić czoło napastnikom. – Więcej nie uciekam. – - Proszę, Makii, nie teraz.

Makii jednak ustawia się w dogodnej pozycji i czeka, z mieczem i toporem w rękach, aż prześladowcy nas dogonią. – - Dlaczego nie możesz po prostu uciekać jak normalny człowiek? – pytam. – - To niehonorowe. – - Ile honoru było w orkijskiej stajni gladiatorów, na Boga?

–Niewiele. Aleja nie uciekam i tyle. Wzdycham i wyciągam miecz. – - No dobra, jestem zbyt zmęczony, żeby dalej biec. Nigdy się nie spodziewałem, że stoczę ostatnią w życiu walkę pod zielonym słońcem. – - Zrobiło się fioletowe. – - Albo pod fioletowym.

Kapitan Rallee i Gurd nie chcą, aby nas rozsiekano, kiedy zostaniemy sami.

Zatrzymują się więc i stają u naszego boku. – - Za stary jestem, żeby biegać – mówi Gurd z uśmiechem, który przypomina mi, jakim był dobrym, wesołym towarzyszem, kiedy razem walczyliśmy jako najemnicy. – - Ja też – mówię mu. – I za gruby. No cóż, wydostawaliśmy się już z gorszych tarapatów. – - Pewnie. Pamiętasz tę niojańską łódź? Żeglarze myśleli, że jesteśmy krokodylami.

Wybuchamy śmiechem na to wspomnienie, ale wątpię, czy ktokolwiek dał się nabrać.

Toliusz i pozostali są już bardzo blisko. Teraz, kiedy się połączyli i wspólnie przypuszczają atak, wkrótce się nas pozbędą. Nie mamy żadnej osłony i nawet niezwykle bojowe talenty Makri na nic się nie zdadzą, kiedy mnisi nas otoczą i naszpikują gwiazdkami.

Makri ma na sobie tylko bikini z kolczugi. Żadne z nas nie nosi zbroi. Wielu z nich polegnie, ale to oni w końcu wygrają.

Gadająca świnia znów pojawia się u naszego boku. – - Zaatakuj heretyków – proponuję bez większej nadziei. – - Przykro mi bardzo, jestem na wakacjach – odpowiada świnia i znika. – - To miejsce jest do chrzanu – mówię ze złością. – Mógłby na przykład pojawić się smok, przyleciałby z góry, aby nas obronić. Ale nie, mamy tylko świnie, która gada o teologii, a potem wybiera się na wakacje.

Na chwilę przestaję gadać głupstwa. Coś nagle przyszło mi do głowy.

–Makri, właśnie zdałem sobie sprawę, kto naprawdę zabił Drantaaxa.

W tym momencie czcigodny Trezjusz ląduje przede mną, w jakiś sposób odbija dłonią ostrze mojego miecza i kopie mnie tak, że wylatuję co najmniej na metr w powietrze. To boli.

Przygotowuję się na to, że kiedy spadnę na ziemię, będzie bolało jeszcze bardziej; szalona burza ciosów unosi mnie i ciska na drzewo, które wyrosło znikąd. Drzewa pojawiają się wszędzie i nagle seria chaotycznych aktów magii uniemożliwia wszystkim walkę.

Groźne owady w dziwnych kolorach pojawiają się, żeby się nad nami znęcać, podczas gdy wiatr pędzi nad naszymi głowami wielkie chmury fioletowych kulek gradowych. Na pobliskim drzewie dostrzegam spokojnie czekającą Hanamę. Zastanawiam się, czy Iksjal wie, że Zabójcy dostali zlecenie, żeby go zabić.

Ingerencja sił magicznych zmienia bitwę w farsę. Drzewa znikają, ale zanim ktokolwiek zdąży pomyśleć o ponownym podjęciu walki, z ziemi zaczyna wyrastać wulkan.

Wszyscy mają zaniepokojone miny, kiedy zastanawiamy się, czy groźnie wyglądający wulkan zniknie, zanim wybuchnie. Z wierzchołka góry wydobywa się dym i pierwsze strumyki lawy spływają po zboczach. Ziemia zaczyna drżeć.

Kapitan Rallee patrzy na rosnący wulkan, potem na mnie.

–Jak się stąd wydostać? – pyta. Prefekt Toliusz powtarza to pytanie, kiedy grunt trzęsie się i jęczy, a ku nam płyną już nie strumyki, a rwące potoki lawy.

Kasax, człowiek odważny, nie ustępuje ani na krok, ale bandyci z Bractwa zaczynają się niepokoić.

–Dobre pytanie. Prefekt Toliusz powinien był o tym pomyśleć, zanim tu za nami podążył. Ucieczka z magicznej przestrzeni to niełatwa sprawa. A ty? – wołam do Iksjala Jasnowidza. – Masz jakieś propozycje?

Wulkan zaczyna wybuchać.

–Wydostań nas stąd! – ryczy Toliusz.

–Niby dlaczego? Żebyś nas zabił, kiedy wrócimy do tawemy? Zwracam się do Kasaxa.

–Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy razem wrócili do Dwunastu Mórz, jeśli Bractwo ma potem dobrać mi się do skóry, prawda?

Kasax nadal nie zdradza lęku. Zastanawia się przez sekundę lub dwie, a potem wzrusza ramionami.

–Prawdopodobnie nie, detektywie. Ale ja nie gniewam się za to na ciebie. Chcemy zdobyć złoto i nie odstąpię od tego, ale jeśli nas stąd wyciągniesz, zapomnę, że coś przed nami ukrywałeś.

Płynna lawa wylewa się z wulkanu, a dookoła nas zaczynają padać kamienie. W każdej chwili może nastąpić wybuch, a wtedy Thraxas, prywatny magiczny detektyw, nigdy już nie pojawi się w państwie Turai.

Wołam do Toliusza.

–A pan, prefekcie? Jest pan gotów opuścić tawernę „Pod Mściwym Toporem”, jeśli was wydostanę?

Toliusz nie jest tak twardy jak Kasax. – - Tak! – wrzeszczy. – Wydostań nas stąd! – A jeśli chodzi o was, Iksjalu i Trezjuszu, lepiej przysięgnijcie na świętego Kwatyniusza, że po powrocie nie zrobicie nam krzywdy.

Iksjal i Trezjusz kiwają głowami. Z wyrazu oczu kapitana Rallee wnoszę, że nie bardzo wierzy te wszystkie przysięgi. Ja też nie, ale liczę, że nam się upiecze.

Wulkan nie chce zniknąć, a tutaj można umrzeć tak samo jak gdzie indziej. Jeśli mam was wydostać z magicznej przestrzeni, będę musiał zabrać ich wszystkich ze

sobą, chociaż chętnie bym ich zostawił, gdybym mógł.

Odwracam się do Makri.

–Gdzie jest Hanama?

Nie wiem. Zabójczym zniknęła. Rozlega się ogłuszający huk; wierzchołek wulkanu wylatuje w powietrze i kamienie wielkości domów zaczynają padać wokół nas.

Popiół leci z nieba. Trudno jest oddychać. – - Wydostań nas! – woła mnóstwo głosów. – - Dobra. Tylko wezmę kanapkę.

Grzebię w torbie i wyciągam jedną z kanapek, które Tanrose zrobiła mi na czas śledztwa. Po całej tej bieżaninie i walce jest już nieco sfatygowana, ale nadałaby się na drugie śniadanie, gdybym był głodny.

Wszyscy patrzą na mnie z niedowierzaniem. – - Thraxasie, to nie jest czas na myślenie o swoim brzuchu! – krzyczy z furią kapitan Rallee, kiedy płynna lava zaczyna zbliżać się do naszych stóp. – - On z nas szydzi! – warczy Toliusz. – Zabiję go, zanim wulkan zabije mnie!

Zachowując spokój, powoli zdejmuję kromkę chleba; pod nią ukazuje się plaster uwędzonego przez Tanrose mięsa. Z plasterka zdrapuję kilka ziaren soli. Wulkan wybucha jeszcze gwałtowniej niż przedtem. Dwumetrowa fala lawy przelewa się przez brzeg krateru i pędzi ku nam. Młodzi mnisi wrzeszczą i padają na kolana, aby się pomodlić.

Rzucam sól na ziemię. Słysząc jeszcze głośniejszy huk i fantastyczne trzęsienie ziemi rozrywa cały magiczny świat. Nagle wstrząsy ustają, powietrze zaczyna wibrować i magiczna przestrzeń znika. Nieco ogłuszeni, ale poza tym zdrowi stoimy w tawernie „Pod Mściwym Toporem”. Wulkan zniknął. Żadne świny nas nie pouczają. Gurd patrzy na mnie ze zdumieniem.

–Jak...?

–Sól. Magiczna przestrzeń jej nie znosi, To ją niszczy. Taka sztuczka, której nauczyłem się podczas zagranicznych wojaży. Nie ma już magicznej sakiewki.

Przetrwać mogły tylko ciała obce, takie jak my i posąg. Wszyscy mają się dobrze?

Mnisi zaczynają się podnosić z podłogi, oszołomieni przygodą, ale szczęśliwi, że żyją.

Wszyscy najwyraźniej są zdezorientowani. Kiedy tylko sekundy dzieliły cię od śmierci pod wulkanem, a potem nagle znajdujesz się „Pod Mściwym Toporem”,

potrzeba trochę czasu, aby się przyzwycząić.

Prefekt Toliusz pierwszy dochodzi do siebie. Sprawdza, czy jego poplecznik Kasax jest nadal w jednym kawałku, a potem, widząc, że zostało mu jeszcze paru ludzi, odwraca się i wskazuje na mnie.

–Zabijcie tego człowieka! – rozkazuje. Znudziły mi się już te słowa.

Mnisi stoją w miejscu, niepewni, czy powinni się przyłączyć. W momencie, kiedy ze znużeniem unosimy miecze, myśląc sobie, że naprawdę musi istnieć jakiś łatwiejszy sposób zarabiania na życie, prawie wszyscy obecni w tawernie padają nieprzytomni na ziemię.

Makri i ja patrzymy jak głupcy na masę ciał mnichów i gansterów, którzy najwyraźniej ucinają sobie popołudniową drzemkę. Jedyna osoba, która nadal trzyma się na nogach, to Kasax. – - Co się stało? – - Nadal jesteśmy w magicznej przestrzeni? – pyta Makri.

— Jesteście z powrotem „Pod Mściwym Toporem” – oznajmia Astrath Potrójny Księżyc, który pojawia się na szczycie schodów. Zauważam, że wziął sobie dzban piwa. – - Dobra robota, Thraxasie. Byłem nieco zaniepokojony, kiedy wszyscy zniknęliście w magicznej przestrzeni. To nie jest odpowiednie miejsce dla ludzi. Sądziłem jednak, że uda wam się wydostać. Sól?

Kiwam głową.

–Przeglądałem twoją księgę zaklęć.– wyjaśnia czarownik. – Nieco przestarzała, ale to, co w niej znalazłem, wystarczyło mi. Pomyślałem sobie, że potrzebna ci będzie pomoc, kiedy wrócisz, więc przygotowałem sobie zaklęcie nasenne.

Zerka na Makri.

–Widzę, że wasze amulety nadal dobrze działają.

Oboje nosimy na szyi amulety chroniące przed czarami. Astrath zrobił je z Czerwonej Tkaniny Elfów, która jest niezmiernie potężna, wyszył miedzianymi kulkami i drutami, i wzmocnił zaklęciem. Posiadanie takiego amuletu jest rzeczą najwyższej wagi dla kogoś w moim zawodzie. Kiedy zastawiłem swój poprzedni amulet, stałem się łatwym celem dla każdego złośliwego czarownika, na którego bym się natknął. Takie amulety są rzadkie i bardzo drogie, więc tylko najważniejsi urzędnicy miejscy, na przykład konsul, dostają je z urzędu. Dlatego właśnie kapitan Rallee śpi teraz u moich stóp, razem z Gurdem i pozostałymi.

–Biedny Rallee. Powinni mu lepiej płacić. Główka pracuje, Astrath.

Kasax, ważna osobistość w przestępczym świecie, również posiada taki amulet, nie stracił więc przytomności, widzę jednak, że nie ma pojęcia, co robić dalej.

Proponuję, żeby się oddalił, zanim zawołam strażników, aby aresztowali wszystkich, którzy mają jakieś powiązania z kradzieżą królewskiego złota. Twarz gangstera nie zdradza emocji, ale tym razem musi przyznać się do porażki. Nie zdobędzie posągu, bo musiałby zmierzyć się ze mną, Makri i Astrathem Potrójnym Księżycem, a chociaż ma wpływy w mieście nie chciałby, aby go wiązano z kradzieżą złota. To by wywołało reperkusje zbyt poważne nawet dla Bractwa.

Kasax obraca się i wychodzi bez słowa. Teraz musimy tylko zdecydować, co zrobić z resztą, zanim zaczną się budzić. Makri proponuje, żeby zabić przywódców, póki śpią.

Przyznaję, że jest to niezły pomysł, zastanawiam się jednak, czy nie ma jakiegoś mniej drastycznego sposobu, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Za nami rozlega się bardzo cichy dźwięk i zza posągu wychodzi Hanama. Na szyi ma prosty czarny naszyjnik, standardowy amulet przeciw czarom noszony przez najważniejszych Zabójców. Ta kobieta doskonale potrafi znikać i pojawiać się na nowo w najmniej oczekiwanej chwili. – - Cieszę się, że żyjesz – mówi do Makri spokojnie i idzie ku drzwiom. – - Nawet nie próbuj mi dziękować! – wołam do Hanamy. – - Za co? Wiedziałaś, jak wydostać się z magicznej przestrzeni. Zabrałam ze sobą sól.

Cała przygoda najwyraźniej nie wywarła na niej najmniejszego wrażenia. Potrafi zachowywać spokój w sytuacjach kryzysowych, to jej trzeba przyznać.

–Czy to naprawdę królewskie złoto? – pyta, wskazując posąg.

Patrzę na status i kiwam głową. – Tak.

–Dobra robota – mówi Hanama. – Kolejna sprawa rozwiązana dzięki twoim detektywistycznym talentom.

Po czym znika za frontowymi drzwiami. Patrzę za nią podejrzliwie. – - To było dziwne. – - Powiedziała ci komplement – wyjaśnia Makri. – - To właśnie najdziwniejsze. Dlaczego? Zabójcy nie tracą czasu na komplementy.

No dobra, nieważne. Co teraz zrobimy? Mamy jakieś dziesięć minut, zanim wszyscy się obudzą. Naprawdę nie zniosę, jeśli będę musiał znowu uciekać. Znudziło mi się to.

Mam dość całej tej sprawy. Zaczęło się od tego, że po prostu chciałem uratować biednego Grosexa. I patrzcie, gdzie mnie to zaprowadziło. Jeśli jeszcze kiedyś jakiś

prefekt mnie obrazi, powinienem dwa razy pomyśleć, zanim stacę panowanie nad sobą. Ale prawdopodobnie nie pomyślę.

Muszę szybko coś zrobić. Toliusz spadnie na mnie jak klątwa, kiedy się obudzi.

Możemy wrócić do punktu wyjścia, a teraz, kiedy zniszczyłem magiczną przestrzeń, nie ma się gdzie ukryć.

–Mógłbyś opuścić tawernę, zanim się obudzą – proponuje Astrath Potrójny Księżyc.
– Ukryłbyś się u mnie.

Nie podoba mi się ten pomysł. Nie mam ochoty się ukrywać. – - Mógłbym znowu odczytać zaklęcie nasenne i uśpić ich, kiedy się obudzą. – - To prawda. Ale wtedy siedzielibyśmy tu przez cały dzień. Strażnicy prawdopodobnie będą chcieli długo przesłuchiwać tych ludzi. Nie ma jednak sensu pójście na posterunek przy przystani. Tam rządzi Toliusz, więc po prostu zamknęliby nas w kiciu i wątpię, czy kiedykolwiek udałoby się nam wydostać. Moglibyśmy jednak spróbować na posterunku kapitana Rallee. Kiedy jego ludzie usłyszą, że ma kłopoty, przyjdą tu. – - A co z posągiem?

–Bez magicznej sakiewki nikt nie zdoła go szybko zabrać. To oznacza, że musimy zostawić śpiącego Gurda, ale będzie bezpieczny, bo Astrath ma wszystko pod kontrolą. Im zresztą nie o Gurda chodzi. Makri i ja zbieramy się do wyjścia. Kiedy mijamy Iksjala, doświadczam dziwnego wrażenia. Bardzo dziwnego wrażenia. Schylam się, aby obejrzeć Jasnowidza. – Nie żyje.

–Nie żyje?

Z jego piersi sterczy cienka strzałka, zanurzona tak głęboko, że na pewno sięgnęła serca. Broń Zabójców. Potrząsam głową.

–Dlatego właśnie Hanama skierowała naszą uwagę na posąg. Trudno nie podziwiać umiejętności tej kobiety. W ciągu kilku sekund, odwróciwszy naszą uwagę, wbiła strzałkę w pierś Iksjala, zabiła go jakby mimochodem, kiedy przechodziła obok. I nikt nie może powiedzieć, że był świadkiem tego zabójstwa.

–Nikt się nie wymknie Cechowi Zabójców – wzdycham. – Chodź, wezwiemy strażników.

Znam większość strażników na posterunku kapitana Rallee, co nie oznacza, że jestem tam częstym i mile widzianym gościem. Kapitan Rallee zabrania im przekazywać mi informacje. Jednak kiedy wkraczam i oznajmiam, że ich kapitan śpi teraz „Pod Mściwym Toporem”, razem z ludźmi Bractwa, Toliuszem i mnichami z dwóch klasztorów, i wszyscy oni po obudzeniu będą chcieli go zaatakować, a ponadto w pobliżu znajduje się skradzione złoto Króla, posterunek szybko pustoszeje. Zatrzymuję się po drodze, aby wysłać wiadomość do wicekonsula

Cyceriusza. Jeśli za odzyskanie złota wyznaczono nagrodę, nie chcę, aby moja działka dostała się jakiemuś chciwemu strażnikowi.

Powrót zabiera nam dwadzieścia minut. Kiedy wracamy, tawerna świeci pustką.

Astrath jest speszony.

–Przykro mi, ale nie miałem kolejnego zaklęcia, aby ich powstrzymać przed ucieczką.

Kapitan Rallee nadal ziewa. Patrzy gniewnie na Astratha, który go uśpił, chociaż przyznaje, że w tych okolicznościach nic innego nie można było zrobić. – - Powiniem pan sobie kupić amulet, panie kapitanie. – - Z mojej pensji?

Zaczyna wykrzykiwać rozkazy. Wysyła ludzi do Pałacu Sprawiedliwości i Pałacu Imperialnego z wieścią o tym, co się stało. – - Myślisz, że prefekt Toliusz zostanie w mieście i będzie próbował utracić oskarżenie dzięki swoim koneksjom? – - Wątpię. Tym razem przesadził. Jego koneksje nie uratują go przed oskarżeniem o kradzież królewskiego złota. Sądzę, że do tego czasu już się spakował i uciekł z miasta.

Podobnie jak mnisi. Czy Bractwo brało udział w kradzieży?

Potrząsam głową. Oni po prostu próbowali zdobyć, co się da. Kasax i tak najprawdopodobniej zdołałby się wykręcić od odpowiedzialności, biorąc pod uwagę ilość łapówek, jakie Bractwo może w razie potrzeby rozdać ławnikom. Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby ławnicy mogli go skazać za to, że podążył za detektywem i kapitanem Straży do magicznej przestrzeni z zamiarem dokonania zabójstwa. W kręgach prawniczych Turai dawno już ustalono, że statuty miasta nie mają zastosowania do wydarzeń w magicznej przestrzeni.

Kilku strażników owija ciało Iksjala, aby przetransportować je do kostnicy.

Kiedy kapitan zobaczył strzałkę, nie musiałem mu mówić, co się stało. – - Hanama? Widziałeś, jak to zrobiła? Potrząsam głową. – - Jest na to za sprytna.

–Nienawidzę tych morderców – mruczy kapitan. – Chętnie zobaczyłbym ich wszystkich na szubienicy.

Wie, że to mało prawdopodobne. Cech Zabójców jest pod niezłą ochroną, bo od czasu do czasu okazuje się całkiem przydatny dla Senatu. Plotka głosi, że również dla króla. Poza tym rzadko zostawiajakieś ślady. Jeśli strażnicy poproszajakiegoś czarownika, aby zbadał strzałkę, okaże się, że pokryto ją fragmentami Czerwonej Tkaniny Elfów albo że jest chroniona przez jakieś zaklęcie. Może też istnieć jakiś inny sposób znany tylko Zabójcom, aby nie można jej było z nikim połączyć. Próba skazania Hanamy za zabójstwo Iksjala to jak łapanie morskiej bryzy.

Rallee przyjmuje od Gurda piwo. To wbrew zasadom, aby strażnicy pili na służbie, ale oni nie zwracają większej uwagi na takie przepisy. Kapitan jest zadowolony, że odzyskał złoto. Widzę jednak, że coś go trapi.

–Sądzę, że teraz bezzwłocznie pójdziesz do sądu i zaprezentujesz dowody, że Grosex jest niewinny?

Kończę piwo.

–Zaraz idę do niego.

Soolanis i Mniszek pojawiają się wraz z Palaxem i Kaby. Ubywali się w wozie za tawerną. Kapitan Rallee patrzy na nich przenikliwie.

–Dwa cię zabije, jeśli nadal będziesz je brała – mówi.

–Albo ja to zrobię – dodaję.

Soolanis była wystarczająco nieznośna jako pijaczka. Jeśli weźmie się jeszcze za dwa, już teraz może sprzedać willę ojca i wyprowadzić się na ulicę. Z kolei Palax i Kaby wkładają tak wiele czasu i wysiłku w granie na ulicach, że nie rozumiem, dlaczego chcą je jeszcze tracić na bezużyteczny narkotyk. Jeśli chodzi o Mniszka, nic mnie nie zaskoczy.

Wyjmuję uzdrowicielski kamień i wręczam go tej cudaczce, ale nawet teraz jej puste oczy nie stają się przytomniejsze. – - Oddaj to delfinom, kiedy odzyskasz siły. Pytam Makri, czy pójdzie ze mną do sądu. – - Myślisz, że Sarin nadal się tu kręci?

Potrząsam głową. Sarin na pewno już się dowiedziała, że złoty posąg znalazł się poza jej zasięgiem. Nie będzie nas więcej niepokoić.

–Może szuka zemsty, bo zabito Iksjala.

–Wątpię. Nie sądzą, aby posunęła się tak daleko w lojalności wobec dawnego nauczyciela. Sarin koncentruje się na własnych potrzebach. Poza tym to nie nasza wina, że Iksjal oddał togę. To Trezjusz zatrudnił Cech Zabójców. Wiesz, nie przypuszczam, żeby Sarin sprawiało przyjemność cokolwiek poza zabijaniem. Zastanawiam się, po co jej w ogóle złoto.

Gdyby je już zdobyła, zapewne nie potrafiłaby się nim cieszyć. Ale i tak ją zabiję.

Makri daje mi do zrozumienia, że to nie będzie konieczne, jeśli ona pierwsza natknie się na Sarin. Potem idzie na górę, aby założyć tunikę przed wyjściem na ulicę. – - Ładne ciało – ocenia kapitan Rallee, kiedy zostajemy sami. – - Pewnie masz rację. – - Pewnie? Dwadzieścia lat temu wyłbyś do księżycy, gdyby przeszła obok w tym bikini,

i nie przeszkadzałyby ci jej orkijska krew.

–Dwadzieścia lat temu nie byłem stary, otyły i pełen piwa. Czuję się zupełnie wyczerpany. Kapitan Rallee zabiera nas do sądu powozem Straży. Jedziemy w milczeniu w świetle wczesnego poranka. W zasadzie powinienem być szczęśliwy jak pijany najemnik, bo zatriumfowałem, choć miałem małe szansę. Tak naprawdę jednak chcę tylko spać.

W sądzie zjawiamy się mniej więcej godzinę przed rozpoczęciem ostatniego dnia procesu. Słońce pali. Od tygodni miasto nie zaznało nawet jednego podmuchu wiatru. Śmierdziszki słabo machają skrzydłami na posągach przy forum. Pod tuniką splywa po mnie pot. Mam dość upału. Mam dość tego, że mam dość upału. W swojej czarnej mundurowej tunice Rallee męczy się tak samo jak ja. Dostrzegam, że w sądzie strażnicy i urzędnicy nadal traktują go z szacunkiem. Rycjusz wprowadzie wywalił go z pałacu, ale wszyscy wiedzą, że kapitan jest dziesięć razy więcej wart od niego.

Na forum przy budynku sądu zbierają się wszyscy, którzy mają tu dziś coś do załatwienia: od drobnych złodziejasków w drodze na galery do bogatych kupców z Czcigodnego Stowarzyszenia uwikłanych w skomplikowane procesy związane z prawem handlowym. Widzę nawet kilku złotowłosych, ubranych na zielono Elfów. Siedzą przed fontanną z adwokatem i doradcami prawnymi, czytając jakieś stare zwoje.

–Podjęli się przewieźć ładunek srebra i ich oskubano – wyjaśnia kapitan. – Nie pojmuję, jak Elfy mogą nadal liczyć na uczciwość turajskich kupców.

Makri przechodząc, wita ich w królewskim języku. Elfy z przerażeniem zrywają się na nogi w przekonaniu, że jakiś wielki elfijski możnowładca niespodziewanie pojawił się w mieście. Kiedy zdają sobie sprawę, kto ich powitał, prawie się przewracają ze zdumienia.

Makri uśmiecha się szeroko i idzie dalej.

–Naprawdę myślałem, że Grosex zabił Drantaaxa – mówi kapitan Rallee, prowadząc nas do celi. – To taki smutny mały człowieczek. Było mi go żal, choć nie na tyle, aby go nie powiesić. Tym razem, Thraxasie, należą ci się brawa.

Określenie „smutny mały człowieczek” pasuje do Grosexa, kiedy do niego docieramy.

To ostatni dzień procesu, chłopak wie, że zostanie uznany za winnego i wkrótce powieszony.

Kiedy wkraczamy do celi, leży na pryczy. Na mój widok jego twarz rozjaśnia się nadzieją. – - Thraxas! Myślałem, że spisałeś mnie na straty. – - Nigdy nie spisuję na straty swoich klientów – mówię. – Nigdy ich też nie tracę.

Milknę, rozglądając się po celi. Jest zupełnie pusta. Za wyjątkiem Grosexa nie ma na czym zawiesić wzroku. – - Chociaż, formalnie biorąc, nie jesteś moim klientem.

Prefekt Toliusz wyciągnął cię z pokoju zanim zdążyłeś dać mi zaliczkę i nigdy nie sformalizowaliśmy naszej umowy. Pech. – - Dlaczego? – - Gdybyś był moim klientem, mógłbym o tym jeszcze pomyśleć. Nie lubię oddawać swoich klientów sądom. To nie w moim stylu. Nawet kiedy klient okazuje się winny, raczej wyślę go z miasta na szybkim koniu niż oddam władzom. Ale ty nie jesteś naprawdę moim klientem i rzeczywiście zabiłeś Drantaaxa...

Rozkładałam ręce.

Grymas przerażenia wykrzywia twarz Grosexa.

–To nieprawda!

Jestem zmęczony. Ta rozmowa nie sprawia mi przyjemności. Chcę ją zakończyć jak najszybciej. – - Przykro mi, Grosexie. Zbadałem wszystkie możliwości. Stawiałem czoło zabójcom, mnichom, Bractwu i Bóg jeden wie komu jeszcze. Makri o mało nie zabito, a wielu innych naprawdę straciło życie. Kiedy ktoś zaczyna się bawić taką ilością nielegalnego złota, sytuacja szybko wymyka mu się spod kontroli. Nie powinieneś być się w to mieszać. Tak czy siak, sprawa by cię przerosła. – - Twierdzisz, że Grosex jest winny? – pyta kapitan Rallee. – - Niestety tak. Drantaax nic nie wiedział o kradzieży złota. Nie miał powodu.

Interesy szły dobrze. Nie miał długów ani problemu z piciem. To była historyjka wymyślona przez Grosexa, abyśmy uwierzyli, że rzeźbiarz miał motyw, żeby w to wejść.

Jednak osobą, do której Iksjal zwrócił się z propozycją ukrycia złota w posągu nie był Drantaax, tylko Grosex.

Patrzę na czeladnika. Gapi się na mnie bezradnie jak królik.

–Dlaczego to zrobiłeś?

Biedny Grosex nie może wykrztusić słowa. Makri i kapitan Rallee przyglądają się z zainteresowaniem.

–Tak naprawdę nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiłeś. Może po prostu potrzebowałeś pieniędzy. Drantaax nie płacił ci dobrze. Widziałem pokoik, w którym mieszkałeś w dzielnicy Dwanaście Mórz. Może Kalia cię zachęciła. Nie byłbyś pierwszym czeladnikiem oszukanym przez panią domu, która chce się pozbyć męża. Ale jeśli ona jest to wplątana, wątpię, czy chciała, abyś zabił Drantaaxa.

Zwracam się do kapitana.

–Wyjechała z Drantaaxem na wakacje. – Co?

–Na wakacje. W czasie, gdy ukradziono złoto, odpoczywali od upału w Ferias.

Jednak Grosex zjawił się w moim biurze i powiedział, że razem z Drantaaxem od wielu dni ciężko pracowali nad tym posągiem. Gdy Drantaax wyjechał, Grosex załatwił sprawę złota, To wszystko ułożyło mi się w logiczną całość dopiero wtedy, kiedy znaleźliśmy się w magicznej przestrzeni, gdzie coś mi o tym przypomniało.

Nie wspominam, że była to gadająca świnia.

–Tak jak powiedziałem, Drantaax nic nie wiedział o złocie. Grosex umieścił je w posągu, kiedy jego chlebodawca był w Ferias. Iksjał wszystko załatwił z Grosexem. A kiedy ludzie Sann przyszli po złoto do warsztatu, rzeźbiarz dowiedział się, co się dzieje. Wrócił wcześniej z jakiegoś spotkania i przyłapał ich, kiedy zabierali posąg. Wtedy Grosex go zabił.

Wbił w niego nóż. Takie proste. Miał jednak pecha, bo Kalia wróciła i zaczęła wołać strażników jeszcze zanim zdążył zabrać narzędzie zbrodni. Potem zdał sobie sprawę, że pozostawienie w ciele noża, na którym znajdowała się jego aura nie było najmądrzejsze, więc uciekł. Nie miał odwagi, aby próbować dostać się do bram miasta, zatem wylądował w moim biurze.

–I to była jedyna mądra rzecz, jaką zrobił – kończę ponuro. – W pewnych kręgach mam opinię osoby umiejącej uratować człowieka, który znalazł się w wątpliwej sytuacji.

Na tym kończą się wyjaśnienia, jakich jestem gotów udzielić. Zwracam się do wyjścia, ale kapitan Rallee łapie mnie za tunikę. – - Chcesz powiedzieć, że rozpętałeś to wszystko bez powodu, Thraxasie? To Grosex zadźgał Drantaaxa? Tak właśnie od początku twierdzili strażnicy! – - No cóż, od czasu do czasu musicie mieć rację. – - Wielkie dzięki za to, że wciągnąłeś nas w magiczną przestrzeń i o mało nie zabiłeś!

–Odzyskałem złoto, tak? Kapitan Rallee nie jest zadowolony.

–Zapamiętam sobie, co powiedziałeś o wysyłaniu winnych klientów z miasta na szybkim koniu – mówi kwaśno. – Spróbuj tego raz jeszcze, a spadnę na ciebie jak kłątwa.

Wychodzę szybko, aby nie patrzeć Grosexowi w oczy. Tak bardzo chcę wyjść z budynku, że gdy docieramy do wyjścia, prawie biegnę. Kiedy dogania mnie Makri, jestem już w drodze do najbliższej tawerny.

–Nie przejmuj się – mówi i bierze piwo, aby mi dotrzymać towarzystwa. – To nie twoja wina, że twój klient okazał się winny.

–I tak mnie to martwi. – - Gdyby dał ci zaliczkę, czy rzeczywiście wydostałbyś go z

miasta? – - Być może. Nie lubię oddawać klientów w ręce władz. To źle wpływa na interesy.

Ale Grosex na to zasłużył. Zamordował Drantaaxa z zimną krwią. Rzeźbiarz może mu dobrze nie płacił, ale nie zasłużył sobie na śmierć.

Wypijam piwo i zamawiam następne. Upał, znużenie i świadomość, że wszystkie moje wysiłki doprowadziły do tak smutnego finału, powodują, że nie jestem w najlepszym nastroju. Złoszczę się na Grosexa i jestem wściekły na samego siebie, że dałem się nabrać na jego smutne miny. Czuję się upokorzony, bo wyobrażam sobie, jak kapitan Rallee opowiada swoim kolegom w Straży, że przez cały czas to oni mieli rację, a stary Thraxas stracił nosa.

Ponadto kapitan Rallee złości się teraz na mnie, a jest w stanie utrudnić mi życie.

Bractwo też nie jest ze mnie zadowolone. Niewątpliwie nabrali mnie z tą Quen. To było sprytne posunięcie ze strony Kasaxa, że umieścił u mnie szpiega. Podejrzewam, że knajpa „Pod Głową Dzika” spłonęła przez przypadek, a Kasax natychmiast dostrzegł w tym szansę, aby wprowadzić kogoś do tawerny „Pod Mściwym Toporem”. Główna pracuje. Mógłbym to uznać za komplement: kiedy usłyszał o złocie ukradzionym przez mnichów natychmiast doszedł do wniosku, że jestem człowiekiem, który może je odnaleźć. Tymczasem jednak czuję, że wyszedłem na głupka, bo niczego nie podejrzewałem. Przez cały ten czas członkowie Bractwa wraz ze swoim uległym czarownikiem włóczyli się po okolicy udając, że szukają Quen, podczas gdy w rzeczywistości szukali złota. Przeszkodziło im jedynie to, że Astrath chronił tawernę zaklęciem, ale ja musiałem wpaść na pomysł, żeby wyjąć posąg tuż pod nosem ich szpiega. Ta myśl sprawia, że zaczynam złościć się na Makii To ona zaoferowała Quen schronienie, kiedy ta udawała, że ucieka. Mam właśnie zamiar wyładować na Makri swój gniew, kiedy przypominam sobie, iż przecież jestem zadowolony, że nie umarła. Prawdopodobnie powinienem o tym wspomnieć. – - Cieszę się, że nie umarłaś – mówię. – - Dziękuję. Jakoś trudno to wyczuć w twoim tonie. – - Naprawdę się cieszę. Jednak to nie było najmądrzejsze z twojej strony, żeby wprowadzić szpiega Bractwa do naszego domu. – - Nie wiedziałam, że Quen jest szpiegiem.

Informuję Makri ostro, że wpędzi nas w kłopoty, jeśli będzie nadal przyprowadzać każdego nieszczęśnika, który szuka schronienia. – - Na pewno będą to mniejsze kłopoty niż te, w które wpędzisz nas ty, biorąc sobie klientów winnych morderstwa – odpowiada Makri gniewnie. – W ogóle nie musiałeś brać tej sprawy. Po prostu zirytowałeś się, bo Toliusz uraził twoją wybujałą ambicję. – - Wybujałą ambicję? A ja mam dość tej twojej głupiej obsesji na punkcie honoru. W magicznej przestrzeni mogliśmy przez ciebie zginąć, bo nie chciałaś uciekać przed przeważającą liczbą wrogów. Dobrzy wojownicy wiedzą, kiedy się wycofać. – - Nie musisz mi wyjaśniać, jak się zachowuje dobry wojownik – mówi Makri. – Gdybym nie spędziła połowy

życia, dzielnie walcząc u twojego boku, już dawno byłbyś martwy. – - Czyżby? – pytam, waląc pięścią w bar. – Myślisz, że skoro udało ci się pokonać kilku orkijskich gladiatorów, to już jesteś mistrzynią? Walczyłem na ulicach jeszcze przed twoim urodzeniem.

Makri jest wściekła. Upał ją również rozdrażnił. Goście odsuwają się od nas i zastanawiają się, czy wyciągniemy miecze. – - Skoro masz już tyle lat, być może powinieneś pomyśleć o emeryturze – mówi Makri. – Skup się na picciu. – - To mi się podoba. Następnym razem gdy ktoś strzeli do ciebie z kuszy, nie oczekuj, że ocalę ci życie.

–Gdybyś na mnie nie wpadł, uniknąłabym tej strzały i niepotrzebne by było żadne ratowanie życia.

Makri i ja stoimy teraz oko w oko, mierząc się groźnymi spojrzeniami. – - Ach, tak! – ryczę. – Nie oberwałaś strzałą dlatego, że na ciebie wpadłem. To dwa osłabiło ci refleks. – - Nie brałam dwa! – krzyczy Makri. – - Nie? Widziałem, jak się potknęłaś, kiedy się spotkaliśmy na ulicy Kwintesencji. Ile czasu spędzałaś w wozie Kaby razem z Mniszkiem i Soolanis?

Makri jest sina z gniewu. Goście, którzy się ostrożnie odsuwali, teraz zostawiają wokół nas dużą wolną przestrzeń. – - Ty zapity grubasie! – wrzeszczy Makri. – - Nie nazywaj mnie grubasem, ty narkomanko o spiczastych uszach! – odparowuję. – - Jak śmiesz coś takiego mówić! – - Uraziłem twoje uczucia? Dlaczego więc nie pójdziesz i nie poskarżysz się swojej przyjaciółce Hanamie? Ona zawsze szuka sensacji.

Przez sekundę Makri ma minę, jakby naprawdę chciała wyciągnąć miecz. Zamiast tego wali kuflem w bar tak, że rączka się odłamuje, a potem wybiega z tawerny.

Krzyczę za nią coś niegrzecznego.

–Jeszcze jedno piwo – zwracam się do barmana. Przez chwilę ma minę, jakby chciał mnie wyprosić z tawerny, ale kiedy widzi wyraz mojej twarzy, zmienia zdanie i przynosi mi piwo.

Jestem zły jak zraniony smok. Nie mogę znieść, że Grosex okazał się winny, skoro ja zdecydowałem, że tak nie jest. Kończę piwo i biorę następne. Potem jeszcze następne.

Wreszcie nudzi mnie towarzystwo, w którym się znalazłem, mówię więc parę obraźliwych rzeczy o prawnikach i ruszam do Kushni, gdzie upijam się spektakularnie w gronie trzech najemników z Misan i zawodowego gracza w kości z dalekiego zachodu. Dzięki temu udaje mi się zapomnieć, dlaczego właściwie jestem taki wściekły.

Budzę się pod krzakiem. W nocy wkradłem się do małego parku i usnąłem.

Przynajmniej zachowałem dość rozsądku, aby się nie kłaść w rynsztoku. Śmierzę piwem, potem i różnym nieznanymi świństwami, w jakie wlałem na ulicy. Ścigając mnichów po całym mieście, zapomniałem o myciu. Jeśli wkrótce nie odwiedzę łaźni, niedługo zamkną mnie, bo uznają za zagrożenie dla zdrowia mieszkańców. Kilku żebraków patrzy na mnie pustym wzrokiem, kiedy zbieram się na nogi. Szybko szukam sakiewki. Nie zginęła. Wesóło mówię im dzień dobry i ruszam z powrotem do Dwunastu Mórz.

Silę się na podsumowanie. Jestem w stosunkowo dobrej formie. Nie mam kaca. Już przedtem zauważyłem, że liść lesada chroni przed kociokwikiem przez kilka dni.

Powinienem popłynąć na południe i przywieźć pełen statek. W tym mieście zbiłbym na nich majątek. Życie mniej mi doskwiera. Grosexa prawdopodobnie powieszają. Nie moja wina.

Strażnicy i Bractwo siedzą mi na ogonie? Niech będzie. Dotąd radziłem sobie w Turai, chociaż miałem niewielu sprzymierzeńców. Sądzę, że i teraz sobie poradzę.

W stosunkowo optymistycznym nastroju docieram z powrotem do tawerny „Pod Mściwym Toporem”. Nie ma nic lepszego na odegnanie smutków, niż noc spędzona na obrzydliwym pijaństwie w towarzystwie najemników. Ich przywódca był wielki jak wół i głupi jak Ork, ale szczodry i chętnie stawiał piwo, kiedy się dowiedział, że jestem starym żołnierzem z dużym doświadczeniem bojowym. Przypominam sobie dowcip o mojańskich dziwkach i elfijskim możnowładcy, który opowiedział jeden z nich, i śmieję się w głos.

Przechodzę przez Pashish. Kiedy skręcam w Drogę Aniołów, wąską uliczkę między wysokimi domami, przypominam sobie, że ten właśnie adres podał mi Trezjusz. Nie jest to najzdrowsze miejsce, ale mnichom pewnie odpowiada. W górach przyzwyczaili się do gorszych warunków.

Zastanawiam się, czy Trezjusz nadal przebywa w mieście i czy powinienem do niego zajrzeć. Jest mi winien pieniądze, skoro już o to chodzi. Znalazłem posąg. Nie poszło tak, jak planował, ale to nie moja wina. Zdaję sobie sprawę, że to mało prawdopodobne, aby cokolwiek mi zapłacił. Będę miał jednak okazję dać mu do zrozumienia, co myślę o ludziach, którzy mnie oszukują. A potem zatrudniają Zabójców, aby po nich posprzątali.

Kamienica nie jest tak obskurna, jak wiele podobnych w Turai, ale ściany z szarego kamienia sypią się, a wyblakłe od słońca drewniane bale trzymają się na słowo

honoru. Nie chciałbym tu mieszkać. Na kamieniach dzieciaki wydrapały swoje imiona, a drzwi frontowe są obluzowane. Podobnie jak wszystkie drzwi frontowe w Turai zostały pomalowane na biało, ale wątpię, czy ten kolor przyniósł mieszkańcom szczęście. Otwieram je. Wewnątrz nie palą się pochodnie i na schodach jest ciemno. Wchodzę na górę. Trezjusz powiedział mi, że mieszka na poddaszu. Kiedy docieram na najwyższe piętro, jest tak ciemno, że już nic nie widzę. Macając rękami, trafiłem prosto na drzwi. Rozlega się przekleństwo, kiedy otwierają się i uderzają kogoś w środku; potem słychać odgłos ciała ciężko padającego na podłogę. W jednej chwili wpadam do środka z wyciągniętym mieczem. Rozpoznałem ten głos.

Tuż przy drzwiach na nogi gramoli się Sarin Bezlitosna. Opieram czubek miecza na jej gradle, jako zachętę, aby została tam, gdzie jest. Światło z pokoju oświetla korytarz. Patrzę na nią groźnie, a Sarin odwzajemnia mi spojrzenie. Kątem oka dostrzegam coś żółtego.

Zerkam spod oka. Widzę coś, co wygląda jak kupka płótna leżąca na progu pomiędzy dwoma pokojami.

–Czcigodny Trezjusz, jak sądzę?

Sarin nie odpowiada. Ostrzegam ją, żeby się nie ruszała. – - Ucieszyłbym się, gdybym mógł przebić twoją szyję na wylot. – - Dlaczego więc tego nie robisz?

Właściwie nie wiem. Znów zerkam na odziane na żółto ciało. – - Złota dawno już nie ma. Dlaczego go zabiłaś? – - Zatrudnił Zabójców, aby zamordowali Iksjala. – - No i co? Co cię to obchodzi?

Sarin nie odpowiada. Gdyby chodziło o kogoś innego, zrozumiałbym bez problemu.

Kiedy ktoś zabija twego nauczyciela, nie możesz tak tego zostawić, jeśli spędziłeś kilka lat w górach, ucząc się pod jego kierunkiem. Nie spodziewałem się jednak, że Sarin ma uczucia.

Ale przecież poszła go odwiedzić, kiedy umierał. – - Pomściłaś więc Iksjala. A jednak byłaś gotowa go wyrolować i uciec z miasta ze skradzionym złotem. – - Oczywiście. – - Naprawdę jesteś zimna jak serce Orka, Sann.

Zastanawiam się, co zrobić. Los zrządził, że kobieta, którą zaledwie wczoraj przysięgałem zabić, znalazła się w moich rękach. Po prostu wszedłem sobie i przewróciłem ją. A ona najwyraźniej właśnie zabiła Trezjusza, mojego klienta. Co prawda kiepski był z niego klient. Nie czuję ochoty, aby go pomścić. Jest jednak jeszcze Soolanis.

Obiecałem jej, że znajdę zabójcę jej ojca.

–I oto cię znalazłem. Być może nie zdołam udowodnić strażnikom, że zabiłaś Taliusza, jednak jego córka zapewne będzie usatysfakcjonowana, kiedy usłyszy, że morderczyni nie żyje.

Przyciskam czubek miecza do jej szyi. Sarin patrzy na mnie z pogardą. Wydaje się niezdolna do okazania lęku. Może nie potrafi go odczuwać. Chyba nie potrafi, bo chociaż leży bezbronna na podłodze o krok od śmierci, nie waha się mnie obrażać. – - Thraxasie, jesteś beznadziejnym głupcem. Nie pojmuję, jak ludzie mogą cię zatrudniać, abyś prowadził dla nich śledztwo. Nie zabiłam Taliusza. Oczywiście zrobiłabym to, gdybym musiała. Nikt by za nim nie tęsknił poza córką-pijaczką. Ale nie było potrzeby. Po prostu ukradłam magiczną sakiewkę, kiedy leżał zamroczony dwa. Wiedziałam, gdzie ją trzyma, i to okazało się proste. Odkąd jednak Świątynia Chmur dowiedziała się o planach Świątyni Gwiazd, jej ludzie chodzili za mną po całym mieście. Sądzę, że czcigodny Trezjusz zabił Taliusza później tego samego dnia. – - Oczekujesz, że w to uwierzę? – - Nie obchodzi mnie czy wierzysz, czy nie. Jeśli jednak zajrzysz pod jego habit znajdziesz coś ciekawego.

Nadal trzymam miecz na gardle Sarin i po raz kolejny zastanawiam się, dlaczego ta morderczyni odziana w prostą męską tunikę i mająca krótko ostrzyżone włosy nosi tyle kolczyków. Z jakiegoś powodu wydaje mi się to niewłaściwe. Nogą zsuwam żółty habit z piersi Trezjusza. Wypada sakiewka, płaska, ale długa, kształtem dopasowana do piersi mnicha. Schylam się ostrożnie i oglądam ją. Jest pełna białego proszku.

–Dwa, – - Właśnie. Nie zauważyłeś, że twój klient był narkomanem? – - Nie. Przecież tak walczył i skakał... – - A jednak był uzależniony. Dlatego właśnie Iksjal przejął klasztor i wyrzucił starego. I dlatego Trezjusz, kiedy poszedł za mną do domu Taliusza i zabił go, nie mógł się oprzeć pokusie obrobienia czarownika z jego zapasu.

Patrzę na Sarin. To bezlitosna morderczyni, całkowicie niezdolna do wyrzutów sumienia, wydaje mi się więc mało prawdopodobne, żeby zwracała sobie głowę opowiadaniem kłamstw. Nie podobają mi się jednak wnioski, jakie można z tego wyciągnąć.

Wczoraj miałem troje klientów. Dzisiaj jeden klient ma zostać powieszony, a drugi okazuje się mordercą ojca trzeciej mojej klientki. Przekleństwo Thraxasa. Jeśli to się rozejdzie, moje interesy bardzo na tym ucierpią. Ale przynajmniej rzuca to pewne światło na postępowanie Sarin. – - Wiedziałaś, że Trezjusz ma zapas dwa. Łatwo je sprzedać. Powetujesz sobie utratę złota. Niewątpliwie z tego właśnie powodu go zabiłaś, a nie żeby pomścić Iksjale. – - Te dwie sprawy szczęśliwie się łączą.

Co za śledztwo. Dwa, złoto, mnisi wojownicy i Sarin Bezlitosna. Prawdopodobnie nigdy się w tym całym nie połąpię. Sarin czeka na okazję, aby wysunąć się spod mego miecza, ale bardzo się pilnuję, żeby jej tego nie umożliwić. – - Prawie zabiłaś Makri. – - Strzałę wymierzyłam w ciebie. Zginąłbyś, gdyby nie zboczyła z toru przez

twoje zaklęcie ochronne.

Nie mówię jej, że nie noszę takiego zaklęcia i tylko szczęśliwy traf pomógł mi uniknąć strzały. Sarin patrzy na mnie wyzywająco. Wydaje mi się, że w jej oczach dostrzegam ślad szyderstwa. Wie, że nie zabiję jej z zimną krwią. Nie mogę. Mam dość tego wszystkiego. Chowam miecz do pochwy. Sarin zgrabnie zrywa się na nogi. – - Jesteś głupcem – mówi. – - Już to słyszałem. – - Jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę zabiję cię. – - To też często mi mówiono,

–Czy Makri umarła? – pyta Sanna. – Nie.

Może nawet ucieszyła się z tej wiadomości. Trudno powiedzieć. Podnosi kuszę, potem zabiera dwa.

–Dzięki tobie, detektywie, nie wzbogacę się na królewskim złocie. Ten zapasik na razie wystarczy.

Nie próbuję jej powstrzymać. Sarin wymyka się za drzwi i ulatnia się.

Zerkam na ciało Trezjusza.

–Naprawdę zabiłeś Taliusza? – pytam i oczywiście nie otrzymuję odpowiedzi. – Zatrudnienie Zabójców, aby uśmiercili Iksjala, było dym pomysłem – mówię dalej do trupa. – Zatrudnianie Zabójców to zawsze zły pomysł. Zgładzą twojego wroga, ale na tym się nie skończy. Zawsze zostanie ktoś, kto pragnie zemsty.

W piersi Trezjusza tkwi głęboko strzała z kuszy, jednak pomimo tego jego pomarszczona twarz ma spokojny wyraz. Zastanawiam się, czy powinienem przeszukać pokój. Rezygnuję z tego. Niech ktoś inny rozwikła tę sprawę.

Mój optymistyczny nastrój zniknął. Thraxas-grabarz znowu w akcji. Wygląda na to, że nie potrafię przejść przez miasto, nie znajdując jakiegoś trupa. Nie byłoby to takie złe, gdyby nie chodziło o ludzi, z którymi pozostawałem związany w taki czy inny sposób.

Grosex niedługo będzie wisiał. Iksjal i Trezjusz nie żyją. Trezjusz najprawdopodobniej zabił ojca Soolanis. Wzdycham i ruszam do domu. Jest gorąco jak w orkijskim piekle. Po kiego czorta zbudowano tutaj miasto? Żebrak wyciąga wysuszone ramię. Rzucam w jego dłoń małą monetę. Ze stacji Cechu Posłańców wysyłam anonimową wiadomość, informując kapitana Rallee o zwłokach Trezjusza.

Prawdopodobnie powinienem był zabić Sarin, kiedy miałem okazję. Kiedyś znowu się na nią natknę, prowadząc jakąś inną sprawę, i najprawdopodobniej wsadzi mi strzałę w brzuch. Uśmiecham się krzywo. Przynajmniej ona nadal sądzi, że noszę ze sobą zaklęcie ochronne. Wszyscy tak myślą. Bądź co bądź jestem magicznym

detektywem, a przynajmniej za takiego mnie uważają. Obecnie nie mam już jednak dość siły, żeby nosić ze sobą to zaklęcie.

Ale i tak nie mogłem jej zabić. Nie potrafiłbym z zimną krwią dźgnąć ją w gardło mieczem. W ciągu ostatnich dni widziałem dosyć trupów.

Wpadam do łaźni i doprowadzam się do porządku, a potem przedzieram się obok budowy na ulicy Kwintesencji. Murarze klną swoich czeladników, którzy z wysiłkiem wciągają kołowrotem na rusztowanie ciężkie bloki; majstrowie wrzeszczą gniewnie na stolarzy i hydraulików, którzy męczą się w upale. To ulga wrócić do domu.

Makri czyści stoły.

–Hej, Makri, słyszałaś dowcip o elfijskim możnowładcy i dwóch niojańskim dziwkach?

Makri rzuca mi nienawistne spojrzenie i odchodzi zagniewana.

Do diabła. Zapomniałem o tej kłótni. Wspomnienia powracają. Czy naprawdę nazwałem ją narkomanką o spiczastych uszach? Wzdycham. Teraz nie będę nawet mógł spokojnie wypić piwa, co pomogłoby mi w zmaganiach z losem.

Pojawia się Mniszek. Właśnie ta osoba, której nie chcę widzieć.

Mniszek uśmiecha się do mnie bardzo słodko i wręcza mi małą sakiewkę z taniego płótna. Wyhaftowała na niej moje imię.

–To od delfinów – wyjaśnia. – To znaczy sakiewka jest ode mnie, ale to co w środku jest od nich. Przyjmij podziękowanie za odzyskanie uzdrowicielskiego kamienia.

Otwieram sakiewkę. W środku znajduję pięć starożytnych złotych monet poczerniałych od długiego przebywania pod wodą i mały zielony klejnot. Wyciągam jedną monetę. Pochodzi z czasów króla Ferzjusza. Obecnie rzadko się je widuje, zwłaszcza w dzielnicy Dwanaście Mórz. Warta jest około pięćdziesięciu guranów. Pięć monet – dwieście pięćdziesiąt guranów. To dobra zapłata. Jako zaliczkę biorę trzydzieści. I jeszcze klejnot.

Wycenie go u pasera Priso. – - Podziękuj ode mnie delfinom – mówię Mniszkowi. – Powiedz im, że to hojna zapłata. – - Wiedziała, że jesteś odpowiednim człowiekiem, aby im pomóc – oznajmia Mniszek. Potem szczebiocze o tym, że mam jakieś gwiazdne aspekty dobrze ustawione w relacji z delfinami. Jestem zbyt wyczerpany, aby ją obrażać, więc po prostu żegnam się grzecznie i ruszam na górę do swojego pokoju. Siadam przy biurku i patrzę przed siebie.

Potem zdaję sobie sprawę, że jestem głodny. Potrzebuję gulaszu Tanrose. Jeśli

pójdę na dół, Makri prawdopodobnie rozpląta mnie szczotką do podłóg. Chyba już czas na jej lekcję retoryki. Może zaryzykują.

Tanrose nakłada mi dużą porcję gulaszu, dodaje stos naleśników do zbierania sosu z talerza, ale kiedy wybieram cztery czy pięć ciastek na deser, rzuca mi dziwne spojrzenie. – - Makri jest rozdrażniona. – - Zauważyłem. – - Dlaczego powiedziałaś, że jest nadcomanką? – - Miałem zły nastrój.

Wydaje mi się, że to wystarczające wyjaśnienie, ale Tanrose jest innego zdania.

–Nic dziwnego, że się obraziła. A już to twoje oskarżenie, że byłaby gotowa przekazywać informacje Cechowi Zabójców! Wiesz, jaka Makri jest lojalna.

Bezradnie unoszę ręce. – - Wcale jej nie oskarżyłem. To była tylko insynuacja. Czułam się rozdrażniony.

Właśnie wysłałem swojego klienta na szubienicę. Czego ode mnie oczekiwała – że będę wiwatował? Poza tym ona też nieźle mnie obraziła. – - No cóż, jesteś już dorosły, Thraxasie – oznajmia Tanrose. – I znasz połowę mieszkańców Turai. Jest wiele miejsc, gdzie możesz pójść, aby zapomnieć o swoich kłopotach. Sądzę, że potrafisz przeżyć parę obelg. Makri z kolei jest młoda, nadal czuje się tu obco i ma mnóstwo kłopotów z powodu swojej orkijskiej krwi. Ona prawdopodobnie szuka w tobie oparcia. – - Szuka oparcia? A co z tymi bogatymi paniami z Ligi Kobiet Wyzwolonych? – - Wątpię, czy uważa je za przyjaciółki. – - Fajnie. Teraz na dodatek czuję się winny. Co według ciebie powinienem zrobić?

–Daj jej kwiaty – natychmiast odpowiada Tanrose. Śmieję się.

–Tanrose, chyba zanadto wierzysz w uzdrowicielską moc bukietu kwiatów.

Przyznaję, że ostatnim razem, kiedy Makri była zirytowana, zadziałały jak złoto, ale to jednorazowy środek.

Uśpiłem ją wówczas przypadkowo zaklęciem nasennym, w wyniku czego przewróciła się na oczach przeciwnika; naturalnie kobieta, która tak lubi walczyć jak Makri, była z tego powodu bardzo zirytowana. Poszedłem więc za radą Tanrose i ku memu zdumieniu Makri przyjęła jeden niezbyt duży bukiet. Potem rzuciła mi się na szyję, wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju. Tanrose zinterpretowała później to zachowanie jako znak, że wszystko już jest w porządku. Wydaje mi się jednak, że po prostu nikt przedtem nie dawał Makri kwiatów.

Nie jest taka głupia, żeby dwa razy się na to nabrać.

–Spróbuj – radzi Tanrose.

Wzdycham. Jeśli nawet Tanrose nie potrafi wymyślić czegoś lepszego sytuacja prawdopodobnie jest beznadziejna. Makri wpada przez frontowe drzwi. – - Świetna lekcja retoryki – informuje kucharkę. Potem dostrzega mnie przy barze i przechodzi obok mamrocząc, że warto przewietrzyć to miejsce, aby się pozbyć przykrego zapachu. – - Do diabła z tym – mruczę i wybiegam na zewnątrz, niezbyt uradowany zadaniem, jakie przede mną stoi. Kwiaciarz Baxos uprawiał swój zawód na rogu ulicy Kwintesencji przez trzydzieści lat i przez ten czas nigdy nic u niego nie kupiłem. Co się działo, kiedy pojawiłem się kilka miesięcy temu, szukając kwiatów dla Makri! Tym razem nie jest lepiej. – - Hej, Rox – woła do sprzedawcy ryb. – Thraxas znowu kupuje kwiaty. – - Nadal ma tę swoją przyjaciółkę, co? – pyta Rox, wystarczająco głośno, żeby usłyszała go cała ulica. – - Tak trzymać, Thraxasie! – krzyczy Birix, jedna z najbardziej zapracowanych prostytutek dzielnicy. – - To prawdziwy dżentelmen! – wrzeszczy jej koleżanka ku uciechu robotników na najbliższej budowie, którzy zaczynają dodawać własne niecenzuralne komentarze.

Szybko wracam do domu. Wiem, że to nie zadziała. Powiem Tanrose kilka ostrych słów, kiedy Makri spróbuje wepchnąć mi te kwiaty do gardła. Wpadam do tawerny „Pod Mściwym Toporem”, gdzie Makri właśnie opowiada Tanrose o lekcji. Wpycham jej kwiaty do ręki, nie mówiąc ani słowa i idę za bar. Walę pięścią w ladę i żądam piwa.

Trzeba przyznać, że tym przeprosinom brakuje nieco wdzięku.

Niemal natychmiast ktoś poklepuje moje ramię. To Makri. Obejmuje mnie, wybucha płaczem, a potem wybiega z pokoju. Wspominam poprzedni raz i jestem przekonany, że to dobry znak, ale na wszelki wypadek pytam Tanrose. – - Czy to znaczy, że wszystko już w porządku? – - Oczywiście.

Wydaje mi się to bardzo dziwne. – - Wiesz, Tanrose, uważam, że to niezwykle. Co jest takiego wspaniałego, u diabła, w tym bukiecie kwiatów? – - Mnóstwo rzeczy, jeśli połowę życia spędziło się w orkijskiej stajni gladiatorów.

Nie mieli tam wiele kwiatów, jak sądzę. Makrii prawdopodobnie nigdy przedtem nie dostała prezentu.

Pewnie nie. – - Myślisz, że podziałałoby to na moją żonę? – - Na pewno by nie zaszkodziło. Nigdy nie dawałeś jej kwiatów? – - Oczywiście, że nie. Nie wiedziałem, iż powinienem. Żałuję, że cię nie znałem, kiedy byłem młodszy, Tanrose. To by mogło wszystko ułatwić.

Biorę piwo i gulasz, a potem siadam przy moim ulubionym stole, zastanawiając się nad tajemniczymi obyczajami kobiet. Pewnie to nie moja wina, że nigdy sobie z nimi nie radziłem. W szkole magów niczego nas na ten temat nie uczyli.

Sytuacja wraca do normy. Nadal panuje upał. Ulica na zewnątrz roi się od robotników budowlanych, a ja na resztę lata porzucam wszelkie myśli o pracy. Słynna „Wiarygodna kronika wszystkich wydarzeń światowych” poświęca artykuł za artykułem sprawie wypełnionego złotem posągu, opisując mnie całkiem pochlebnie, co dobrze wpływa na interesy.

Udaje mi się uzyskać część nagrody za odnalezienie królewskiego złota. Jest to mniej, niż mi się uczciwie należało. Kiedy strażnicy, prawnicy, urzędnicy pretora i inni kanceliści miejscy wzięli już swoje działki, niewiele zostało dla człowieka, który to złoto naprawdę znalazł. Musiałem stanowczo przedstawić swoje żądania wicekonsulowi Cyceriuszowi, żeby dostać choć tyle.

Siedzimy za tawerną. Palax i Kaby grają na flecie i na mandolinie. W tawernie nie ma już gości. Mniszek znów zamieszkała na plaży, a Soolanis wróciła do Thamlina, gdzie – jak twierdzi Makri – pije mniej i organizuje oddział Ligi Kobiet Wyzwolonych. – - Kto to wszystko rozpoczął – Iksjal czy Trezjusz? – - Nie wiem. Kiedy już jest po wszystkim, niełatwo się w tym połapać. Trudno powiedzieć, kto co zrobił albo kto był gorszy. Kiedy zaczynałem pracować jako detektyw, myślałem że każda sprawa zaczyna się od przestępstwa, a kończy prostym rozwiązaniem.

Często jednak jest zupełnie inaczej. Istnieje po prostu grupa ludzi robiących różne rzeczy, a jeden zachowuje się gorzej od drugiego, tak że w końcu nie wiadomo nawet, kto popełnił jakie wykroczenie. Twierdzą, że wszyscy dostali to, na co zasłużyli, szczególnie Grosex.

Powieszono go w zeszłym tygodniu. Nie byłem obecny na egzekucji. Kalia wróciła do Pashish, i zapewne tęskni za Iksjałem bardziej niż za Drantaaxem. Przynajmniej zostały jej cenne posągi wyrzeźbione przez męża, które zapewnią jej utrzymanie na starość. – - Wiesz, że żadne z nich nawet mi nie zapłaciło? Z wyjątkiem delfinów, oczywiście.

Cała ta bieganina w magicznej przestrzeni, ryzykowanie śmiercią z rąk Sarin Bezlitosnej – wszystko za darmo. Chyba się starzeję. W tym tempie nigdy nie wydam się z Dwunastu Mórz. – - To ci pomoże – mówi Makri i z sakiewki na szyi wyjmuje złoty palec. – Odłamałam go z ręki posągu, kiedy wróciliśmy z magicznej przestrzeni – wyjaśnia. – Sądziłam, że należy nam się jakaś nagroda. Podzielę się nim z tobą. – - Dobrze pomyślane.

Patrzę na złoty palec. Połowa przyniesie mi niezłą sumkę. Tak naprawdę nie najgorzej mi poszło. Kilka prostych spraw w zimie, ewentualnie jakaś dobrze opłacana praca dla Cechu Przewoźników, być może nawet dla Czcigodnego

Stowarzyszenia Kupców i niewykluczone, że jednak uda mi się wyrwać z tej dzielnicy. W lecie jest tu piekło, a w zimie nie lepiej. W czasie gorącej pory deszczowej, która zacznie się za miesiąc, ulice zmieniają się w rzeki i żebracy toną na naszych oczach. Nawet nie chcę o tym myśleć.

I nie muszę. Podnoszę wielki kufel piwa zwany „radością mistrza cechu” i kładę się w cieniu. Słucham muzyki Palaxa i Kaby, zapominam o mnichach, zabójcach i gangsterach.

Wreszcie usypiam.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/